TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI
Komu w Polsce odbiera się dzieci
Z czego Putin pozwala śmiać się Rosjanom
Stanisław Wokulski wchodzi do G20
Nasza debata: religia kontra polityka
Strachota i Żulczyk: jak się kolegować
DODATEK: Festiwal Nowe Oświecenie

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 7–13 października 2026 | nr 41 (4031)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Pomoc w kryzysie



POŁOWA POLAKÓW MA DOSTĘP DO SZYBKIEGO I BEZPŁATNEGO WSPARCIA PSYCHIATRYCZNEGO. CO Z RESZTĄ? RAPORT STR. 10-15

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

29. Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI®

w Krakowie

22-25 października 2026 r.

EXPO Kraków | ul. Galicyjska 9



UWAGA: DRUGI CZŁOWIEK

Agnieszka Osiecka







ksiazka.krakow.pl

30 lat Targi w Krakowie

EXPO KRAKOW

REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 CPN. Ceny paliw niestabilne
MAREK RABIJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Serwerownie niepokoju
MICHAŁ TOMCZUK:
Dla mieszkańców miejscowości, w których wyrastają kolejne centra przetwarzania danych na potrzeby AI, takie sąsiedztwo to udręka

20 Z życia wzięte
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Komu odbiera się w Polsce dzieci?

23 Na publicznej kroplówce
STEFAN SĘKOWSKI:
Czy nadal powinniśmy topić miliardy w polski sport wyczynowy?

■ ■ ŚWIAT

28 Bezbożna komuna krąży po Ameryce
MACIEJ JARKOWIEC:
Lewica w USA przeżywa swoje pięć minut i zmienia oblicze

32 Barbarzyństwo za zasłoną
WŁODZIMIERZ WRÓBEL:
Dlaczego USA są za karą śmierci

33 Rzymskie aluzje
PAWEŁ BRAVO:
Promoskiewski generał może zachwiać układem sił na włoskiej prawicy

36 Byle nie urazić prezydenta
BARTŁOMIEJ MAYER:
W neototalitarnym państwie Putina humor jest dziś dozwolony, o ile służy władzy

■ ■ WIARA

40 W krzywym zwierciadle polityki
MICHAŁ RZECZYCKI:
Działalność polityczna oznacza konieczność znalezienia sobie wroga. Jeśli chrześcijanin chce być wierny Ewangelii, musi porzucić tego typu ambicje

43 Święte miejsca, świetny biznes



ARCHIWUM PRYWATNE

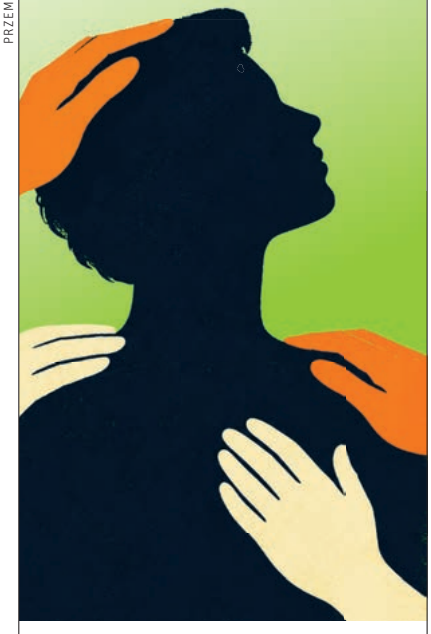
ROZMOWA Z PROF. KATHRYN HURLOCK, HISTORYCZKĄ IDEI:
Dopiero w 1300 roku zorientowano się w Rzymie, że pielgrzymi mogą być źródłem bogactwa

TEMAT TYGODNIKA

10
Pomoc w kryzysie
ANNA GOC

Połowa Polaków ma dostęp do szybkiego i bezpłatnego wsparcia psychiatrycznego. Co z resztą?

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"



■ STRONY SPECJALNE ■

63 FESTIWAL NOWE OŚWIECENIE

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
o polskiej wojnie paliwowej

27 OLGA DRENDA
o kłamstwach i kłamstewkach

38 ELIZA KĄCKA
z tramwaju nr 9

49 ZUZANNA RADZIK
o „radosnych tajemnicach" macierzyństwa

84 PAWEŁ BRAVO
o dzikim sąsiedztwie

90 TOMASZ STAWISZYŃSKI
o nieoczekiwanym

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS
& MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MAREK RABIJ

46 Pociąg do medytacji
MACIEJ BIELAWSKI:
Koncept duchowości bez Boga zawdzięczamy birmańskiemu urzędnikowi

48 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

50 Mogiły w Hołosku
KRZYSZTOF PIĘCIAK ZE LWOWA:
Żołnierzy poległych pod Lwowem we wrześniu '39 chowano pospiesznie. Teraz państwo polskie po nich wróciło

■ ■ NAUKA

54 Dzieje pod presją
ROZMOWA Z PETEREM FRANKOPANEM:
Niemal wszystkie wielkie teksty świata ostrzegają przed jakąś katastrofą środowiskową

58 Dieta, której nie było
ŁUKASZ KWIATEK:
Nowe odkrycia archeologiczne są kłopotliwe dla zwolenników paleolitycznego stylu życia

■ ■ KULTURA

72 Wokulski: tygrys Europy
MONIKA OCHĘDOWSKA:
Dwie ekranizacje „Lalki" pokazują Polskę, z której jesteśmy dumni

76 Zadanie z gwiazdką



PIOTR NOWAK / PAP

ROZMOWA Z PAWŁEM MAŚLONĄ, REŻYSEREM:
W ekranizacji nie ma znaczenia, co chciał powiedzieć autor powieści

78 Wieśniara
PIOTR KOSIEWSKI: *Nagrody dla Małgorzaty Mycek wciąż wzbudzają kontrowersje*

81 Polecamy

82 Drugie imię Róży
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Róża" austriackiego reżysera Markusa Schleinzera

83 Królik, świat odzyskany
LEKTOR *o książce „Tobiasz i wielki liść" Ingi Iwasiów*

■ ■ PSYCHE

86 Jak się kolegować
ROZMOWA Z JAKUBEM ŻULCZYKIEM I JULIUSZEM STRACHOTĄ *o przyjaźni*

KS. ADAM

Boniecki: *Chrześcijanie w polityce*


GRAŻYNA MAKARA

Napisano o tym tak wiele, że trudno o coś nowego. Z drugiej jednak strony: kolejne pokolenia chcą o tym dyskutować (jak się przekonacie w tym numerze w dziale Wiara), a sam problem nie znika i nie można udawać, że wszystko jest tak, jak było. System wartości też uległ... czemu? Zapomnieniu? Zakwestionowaniu?

Oczywiście media (w tym społecznościowe) podpowiadają, że wartości przestały istnieć, ale one istnieją. Stawiam hipotezę, że obecny stan to raczej stan przejściowy, nie zaś kolejny etap dziejów gatunku. Nawet jeśli polityka przypomina coraz bardziej wynik rachunku prawdopodobieństwa, a jej celem wydaje się zgarnięcie całej puli. Miłość bliźniego, przebaczenie? Najwyżej jako manewr, nigdy kosztem sprawców czy prawdziwego przebaczenia. Siła, zręczność i nade wszystko nieczułość na cierpienia innych – to zapewnia zwycięstwa, bogactwo, spokojną przyszłość. Komu? Najsilniejszym, to jasne.

Tu jednak należy się zatrzymać. Wiem, że przyjęło się myśleć, że politycy kłamią. I choć zdaję sobie sprawę, że kłamcy się zdarzają, to przecież są i tacy, którzy kłamcami nie są. Nie mówią wszystkiego, np. z uwagi na bezpieczeństwo państwa, ale nie okłamują społeczeństwa nawet wtedy, kiedy społeczeństwo wolałoby być okłamane.


GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Co z resztą?*

Czy stać państwa na terapię? – spytał kilka lat temu rodziców dziecka pewien psychoterapeuta, zaczynając sesję z nastolatkiem. Terapeuta, dodajmy na wszelki wypadek, jak najbardziej prywatny. Nie wiem, czy pytał o to każdego, ani czy każda odpowiedź przecząca oznaczała wsparcie bezpłatne, do którego dostęp ów terapeuta był rzeczywiście w stanie ułatwić. Wiem, że samo zadanie tego pytania było wyjątkowe w świecie, w którym za naturalne uznaliśmy coś nienormalnego („Połowa Polaków ma dostęp do szybkiego i bezpłatnego wsparcia psychiatrycznego. Co z resztą?" – pytamy na okładce).

ANNA GOC skupia się w okładkowym tekście na dostępie do psychiatrii, podział zaś „pół na pół", którego dokonuje, nie ma charakteru ekonomicznego – chodzi o te części Polski, których (nie) obejmują Centra Zdrowia Psychicznego. Ale problem dotyczy szerzej pojmowanej pomocy w kryzysach psychicznych, a cenzus finansowy jest równie istotny. Ponad 40 proc. Polaków żyje – i od lat jest podobnie, bez względu na kolejne rządy – poniżej minimum socjalnego, co oznacza stan daleki od głodu, ale też odległy od marzeń w rodzaju dostępu do kultury, prywatnej edukacji czy właśnie płatnego psychoterapeuty.

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 39
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

I są też ciągle wśród nas ludzie, którzy poświęcają swoje siły dobru wspólnemu. Ludzie, którzy mogliby prosperować w małym kosmosie spraw prywatnych, a działają publicznie. Ludzie zasad. Nie mówię „chrześcijańskich”, ale zasad, pośród których prym wiedzie troska o dobro wspólne. Nie dobro mojej partii, nie dobro moje własne, ale dobro wszystkich.

Polityk nie jest w sytuacji komfortowej: prawda może być czasem źle przyjęta. Ale polityk, jak każdy, ma jakieś zasady. A polityk-katolik w zmieniającym się świecie może popadać w konflikt sumienia. Wyborcy np. domagają się swobody w sprawie aborcji, a jego przekonania są tu odmienne. Prawo, nie chcąc zajmować stanowiska innego niż medyczne, w wielu krajach ustala czas dopuszczalności usunięcia (zabicia) płodu. Wiara katolicka mówi „nigdy”, bo człowiekiem jest się od poczęcia, a człowieka (niewinnego!) nie wolno zabijać. Co ma zrobić polityk wierzący, stojący na czele rządu w kraju, w którym zdania na ten temat są podzielone? Na pewno chrześcijanie nie są po to, by masowo do zasad swojej wiary przymuszać: chodzi o to, by ich postawa poruszała, dawała do myślenia, a mówiąc dokładniej: otwierała na inny wymiar.

Z całą nieśmiałością myślę o Chrystusie. On nie założył żadnej organizacji, nie miał władzy ani środków (bogatych), a Jego Kościół dwa tysiące lat istnieje... I pytanie, czy siłą Kościoła są święci, różni, bardzo różni, do siebie niepodobni, lecz zawsze dyspozycyjni wobec Pana Boga, czy może o jego trwałości decydują struktury? Bez tych drugich oczywiście nie sposób się obejść, ale często są aż za bardzo z tego świata. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

Jak bardzo odległy? Otóż do psychiatry w mieście można się dostać od ręki, ale płacąc 300-450 zł za dwudziestominutową wizytę. Psychoterapia? Ta na cito nie jest oczywista nawet komercyjnie, a jej koszt zaczyna się zwykle od 200 zł tygodniowo. A teraz weźmy tę sumę ok. półtora tysiąca miesięcznie i spójrzmy na mapę dostępności do pomocy bezpłatnej – tylko te dwie zmienne pokażą nam, jaka jest stawka pytania, z którym mierzymy się na stronach Tematu Tygodnika.

Nietrudno w ostatnich latach o żart, że nikt tak skutecznie – w ramach własnych środowiskowych awantur – nie szarga sobie wzajem psychicznego zdrowia jak ci, którzy mają nam pomagać. Ale sam fakt, że o meblowanie naszego systemu spierają się, a czasami spektakularnie kłócą psychiatrzy (o wspomniane CZP), psychoterapeuci (o ustawę dotyczącą tego zawodu), psycholodzy (też o ustawę) – można brać za dobry znak. Podobnie jak istnienie fundacji i stowarzyszeń, które ułatwiają dostęp do pomocy gorzej sytuowanym, czy eventy w rodzaju Letniej Konferencji Laboratorium Psychoedukacji, która w tym roku wzięła na warsztat właśnie nierówności w dostępie do pomocy.

Oby to wszystko dało zmiany, w efekcie których pytanie z początku tekstu – czy państwa stać? – nie będzie musiało w ogóle padać. ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

JAKUB JAKÓBOWSKI:
Co Chiny robią w Polsce? Co dla naszej gospodarki i codzienności oznacza rosnąca z każdym rokiem dominacja Państwa Środka w kolejnych sektorach rynku?

MAREK RABIJ:
Adresat nieznany. Jak przegapiliśmy powolną, ale trwającą od lat agonię Poczty Polskiej? Co kryzys tego największego krajowego operatora logistycznego oznacza dla mieszkańców dużych i małych miejscowości?

MICHAŁ OKOŃSKI:
Piłkarska Watergate. Manchester City, najbogatszy klub świata, przyłapany na serii malwersacji i oszustw. Czy jeden z najlepszych napastników globu, Erling Haaland, trafi do angielskiej trzeciej ligi?

JACEK STAWISKI:
Mark Brzeziński, syn Zbigniewa Brzezińskiego, o nieznanych faktach z politycznego życiorysu doradcy Jimmy’ego Cartera.



MAGAZYN CONRAD 03:
kolejne oblicza nieposłuszeństwa, tuż przed festiwalem.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

28 WRZEŚNIA – 4 PAŹDZIERNIKA 2026

UKRAINA ZINTENSYFIKUJE ATAKI na rosyjskie rafinerie – zapowiedział Wołodymyr Zełenski. To odpowiedź na nową doktrynę wroga, który usiłuje sparaliżować jej infrastrukturę krytyczną, atakując także mosty w Kijowie. Prezydent potwierdził odbicie ponad 140 km² Donbasu i ujawnił amerykańską propozycję powrotu do trójstronnych rozmów pokojowych jeszcze w październiku. ■■■ **NIEUDANA EGZEKUCJA** miała miejsce w USA: skazanej na śmierć (jeszcze w 1996 r. i od tamtej pory czekającej na wykonanie wyroku) Christy Pike nie zabiły dwa zastrzyki z trucizną. Po makabrycznym odkryciu władze stanu Tennessee ogłosiły zawieszenie wszystkich egzekucji do końca roku. Od przywrócenia w 1976 r. kary śmierci w USA stracono 18 kobiet i 1663 mężczyzn. ■■■ **BREXIT** przyniósł więcej szkód niż korzyści – powiedział brytyjski premier Andy Burnham podczas konferencji Partii Pracy, zapowiadając zacieśnienie relacji Wlk. Brytanii z UE. ■■■ **W HISZPANII** trwają wielotysięczne manifestacje – efekt odrzucenia przez parlament rządowych propozycji zwiększających prawa najemców i ograniczających ceny wynajmu. Zarzewiem protestów była eksmisja 87-letniej mieszkanki Madrytu z lokalu, który zajmowała od siedmiu dekad (nowy właściciel, korzystając z luki prawnej, trzykrotnie podwyższył jej czynsz). Premier rozpisał wybory. ■■■ **WE FRANCJI** protestują uczniowie szkół średnich, domagający się skrócenia planów lekcji, zmniejszenia liczebności klas i zaradzenia niedoborom kadr nauczycielskich. W wielu miejscach dochodzi do starć młodzieży z policją. ■■■ **NA ŁOTWIE** centrowa Zjednoczona Lista premiera Kulbergsa utrzyma władzę: 42 na 100 mandatów zdobyte przez nią w wyborach to rekord w dziejach głosowania w tym kraju. ■■■ **ZMARŁ ANATOLIJ KASZPIROWSKI** (87 lat), słynny w latach 80. i 90. hipnotyzer, znany także z występów w polskiej telewizji. ■■■ **NAGRODA NIKE** przypadła Szczepanowi Twardochowi za książkę „Null". ■■■ **W POLSCE** staniało paliwo: Karol Nawrocki ugiął się i podpisał umożliwiającą redukcję cen ustawę o nadmiarowych zyskach koncernów paliwowych. Prezydent zapowiedział, że nowe prawo skieruje do Trybunału Konstytucyjnego w trybie tzw. kontroli następczej i ostro skrytykował politykę Donalda Tuska, ale komentatorzy nie mają wątpliwości, że w tym starciu górą jest rząd. ■■■ **KONIE** w zasobach Kancelarii Prezydenta stały się przedmiotem kolejnej politycznej wojny na szczytach władzy. Otoczenie Karola Nawrockiego tłumaczy, że w rezydencjach głowy państwa zwierzęta mieszkają od początku lat 90.; członkowie rządu publikują w mediach społecznościowych swoje dawne zdjęcia w siodle, podkreślając, że jeździli „za swoje". ■■■ **OBYWATELE** tymczasem mają własne priorytety. Blisko połowa Polaków badanych przez IBRiS dla PAP deklaruje, że spakowałaby się do ewakuacji w 30 minut, a ponad dwie trzecie deklaruje, że ma w swoim otoczeniu osobę, do której może zwrócić się o pomoc w sytuacji kryzysowej. ©℗



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

POWYŻEJ:
Około 75 złotych zaoszczędzili kierowcy, którzy z zatankowaniem 50 litrów benzyny 95 wstrzymali się od piątku do soboty. Na zdjęciu: stacja benzynowa w Łodzi, 3 października 2026 r.

CPN. CENY PALIW NIESTABILNE

Początek października przynosi nieco ulgi podczas tankowania, ale to tyle dobrych wieści z rynków paliwowych. Trzymajmy się za kieszenie.

MAREK RABIJ

Finał tej legislacyjnej telenoweli jest szczęśliwy – bez względu na to, czy waszym zdaniem prezydent Karol Nawrocki stchórzył w starciu z rządem i podpisał ustawę o podatku od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych, czy raczej wykazał się polityczną odpowiedzialnością i przy okazji zaplątał Tuska w jego własne sidła.

Litr benzyny 95, który 2 października trudno było kupić za mniej niż 8 zł, trzy dni później kosz-



Skąd ta cena?

PODPISANA przez prezydenta ustawa nakłada z mocą wsteczną (od marca br.) aż 60 proc. podatku na każdą złotówkę zarobioną przez producentów paliw w Polsce ponad średnią ich zysków z lat ubiegłych, powiększoną o 20 proc. Brzmi skomplikowanie? To uprośćmy i wyobraźmy sobie każde 100 zł, które zarabia na czysto Orlen i pomniejsi producenci paliw. Jeśli koncern w ostatnich latach zarabiał 100 zł, a w tym roku 180 zł, to od 120 zł zapłaci zwykły podatek, a pozostałe 60 zł rząd obłoży mu nową ekstraordynaryjną daniną.

PREZYDENT chciał innego rozwiązania, czyli ustawowego ograniczenia marży producentów paliw, argumentując, skądinąd słusznie, że każdy podatek nakładany z mocą wsteczną stanowi groźny fiskalny precedens. Rząd bronił jednak swojego rozwiązania, podnosząc z kolei, że administracyjna ingerencja w rentowność producentów paliw może ich skłonić w pewnym momencie do zmniejszenia produkcji. ©℗ MR

tuje w całej Polsce najwyżej 6,73 zł. Ustawa, o którą rząd wojował z prezydentem od miesięcy, ma przynieść budżetowi około 4 mld zł, które pozwolą pokryć dziurę powstałą wskutek obniżenia VAT-u na paliwa z 23 do 8 proc. oraz ścięcia akcyzy. W ten sposób rząd chce wyhamować inflację (między sierpniem a wrześniem ceny w Polsce podskoczyły średnio o 0,7 proc.), a przy tym nie obciążyć jeszcze bardziej budżetu, który i tak trzeszczy od blisko 7 proc. deficytu.

TANKOWAĆ BĘDZIEMY więc taniej co najmniej do końca roku, bo na tyle rząd wprowadza obniżkę VAT. Czy to wystarczy, żeby przetrwać wstrząs podażowy na rynkach, który wiosną wywołały USA i Izrael swoim atakiem na Iran? Dość przypomnieć, że od tamtej pory rząd już dwukrotnie sięgnął po takie rozwiązanie, a i tak pod koniec wakacji ceny paliw znowu wybuchły mu w twarz. Dotacje są więc dla rządu groźną zabawką: na stałe nie sposób ich wprowadzić, nie mówiąc o tym, że w ten sposób państwo wspiera najmocniej tych, którzy tankują najwięcej. Czyli bynajmniej nie najuboższych.

Ropa i jej produkty pochodne podlegają oczywiście rynkowej grze podaży i popytu, ale pierwszy z tych czynników w ostatnich latach wysuwa się wyraźnie na prowadzenie. Jeszcze w 2021 r. marże rafineryjne producentów paliw szorowały po dnie, na które zepchnęły je pandemiczne lockdowny i ograniczenia w produkcji (w latach 2019-2020 światowy popyt na ropę spadł ze 100,3 do 91,2 mln baryłek dziennie). Wszystko to zniknęło jednak jak za dotknięciem różdżki, gdy o świcie 24 lutego 2022 r. wojska rosyjskie wyłamały szlabany na przejściach granicznych z Ukrainą. Nieuniknione w tej sytuacji sankcje i ograniczenia w dostępie do rosyjskich węglowodorów doprowadziły do gwałtownego skoku światowych cen paliw. Orlen, który w 2021 r. na każdej przerobionej baryłce ropy zarabiał średnio 2,4 dolara, już rok później podniósł marżę rafineryjną do 17,6 dolara od baryłki – w ślad za całą branżą, która po prostu spodziewała się najgorszego. Z dziką kartą w talii, jaką jest nieprzewidywalny Donald Trump, rynek paliwowy jeszcze długo nie będzie mógł sobie pozwolić na trwałą przecenę ryzyka.

W TEJ RYNKOWEJ UKŁADANCE jest jednak jeszcze jeden element, którego znaczenia, a nawet obecności, nie dostrzega większość komentatorów. Ceny paliw pną się w górę nie tylko dlatego, że USA i Rosja, dwaj kluczowi dostawcy węglowodorów, wirują w upiornym wojennym tańcu. Globalne zapotrzebowanie na paliwa ropopochodne i samą ropę wykracza dziś dalece ponad możliwości produkcyjne – i nie chodzi tylko o dostęp do samego surowca.

Prestiżowy brytyjski Energy Institute szacuje, że w latach 2015-2025 światowy popyt na ropę naftową wzrósł o 13,1 proc., podczas gdy moce wytwórcze wszystkich rafinerii poszły w górę o zaledwie 5,7 proc. Za ten globalny wzrost mocy rafineryjnych na dodatek odpowiadają przede wszystkim inwestycje w Azji, głównie w Chinach (skok o 3,17 mln baryłek dziennie) i na Bliskim Wschodzie (2,25 mln baryłek dziennie). Ameryka Północna w tym samym czasie właściwie nie zmieniła swojej wydajności, a rafinerie w Europie ścięły ją aż o 1,42 mln baryłek dziennie. Kolejne przestarzałe rafinerie po prostu wycofywano z użytkowania, szykując się do technologicznego przełomu, jaki zgodnie z wciąż obowiązującą agendą UE ma w roku 2035 przynieść zakaz rejestracji nowych samochodów z napędem spalinowym.

EUROPA SKUTECZNIE OGRANICZYŁA więc własne moce przetwórcze, ale nie uwolniła się od zależności od węglowodorów z importu. To jedynie pogłębia dziś niepewność, za którą płacimy wszyscy słone rachunki (zwłaszcza za diesla, którego importujemy coraz więcej). Dla wielu Europejczyków ceny na stacjach stanowią wręcz kolejny argument za tym, że czas dać sobie spokój z bajkami o surowcowej suwerenności, którą miała zapewnić UE czysta energia, i wrócić do sprawdzonego naftowego *status quo*.

Złorzecząc przy dystrybutorze, łatwo jednak zapomnieć, że kryzys surowcowy tym razem nie kończy się na ropie. Wojna w Zatoce wywindowała do nieoglądanych od lat poziomów także ceny gazu ziemnego, który jest niezbędny przemysłowi, stanowi główny surowiec przy produkcji nawozów azotowych dla rolnictwa i na masową skalę jest wciąż używany w energetyce. Tymczasem w wielu krajach Starego Kontynentu zapasy gazu spadły w okolice 50 proc. pojemności magazynów, a nawet poniżej, jak w Holandii.

Polska na tym tle ma się całkiem dobrze. Nasze moce rafineryjne się nie zmieniły. Mamy niewielkie, ale niemal pełne magazyny gazu. Jednak tej zimy wokół słowa „ogrzewanie" i tak zrobi się gorąco. ©℗



Laboratorium radykalizmu

JACEK STAWISKI

Setki zamkniętych szkół, wiele budynków szkolnych uszkodzonych, straty rzędu kilku milionów euro, ranni wśród protestujących uczniów, ranni policjanci, zastraszani nauczyciele. Francja przeżywa kolejną falę burzliwych protestów.

Tym razem protestują uczniowie, wspierani również przez studentów oraz część nauczycieli i wykładowców. U podstaw protestu: żądania poprawy sytuacji w wielu szkołach, zwiększenie wydatków na oświatę, poprawa stanu budynków szkolnych, zmniejszenie klas i zagwarantowanie, że w szkołach jest wystarczająca liczba nauczycieli.

Protesty są burzliwe i w wielu miejscach przeradzają się w starcia z siłami porządkowymi; zradykalizowani protestujący podpalają szkoły, plądrują i niszczą całe ulice. Zamieszki objęły wiele regionów Francji, często mniejsze miasta oraz przedmieścia metropolii, gdzie mieszkają najczęściej potomkowie imigrantów z krajów Maghrebu, Bliskiego Wschodu czy Afryki, i gdzie bardzo często dochodziło w ostatnich latach do zamieszek i starć z policją.

Protesty uczniowskie są gwałtowne i przypominają protesty ruchu „żółtych kamizelek" z 2018 r., gdy wielu obywateli Francji przyłączyło się do sprzeciwu wobec rosnących kosztów utrzymania i komunikacji, szczególnie poza wielkomiejskimi ośrodkami. Symbolem protestu „żółtych kamizelek" była uszkodzona fasada Łuku Triumfalnego w Paryżu, ważnego miejsca, gdzie odbywają się państwowe ceremonie upamiętnienia konfliktów zbrojnych XX wieku.

Wsparcia protestującym udziela radykalnie lewicowa partia Francja Nieujarzmiona Jeana-Luca Mélenchona, który aspiruje do fotela prezydenckiego. Mélenchon i jego ludzie formalnie odcinają się od przemocy podczas protestów, ale deklarują, że wszystkie postulaty protestujących są uzasadnione.

Centrowy rząd francuski, słaby i niepopularny, argumentuje, że część żądań protestujących jest zasadna, zarazem grożąc, że policja będzie przeciwstawiać się agresywnym młodocianym. Rząd wręcz oskarża partię Mélenchona o to, że aktywiści skrajnej lewicy przeniknęli w szeregi protestujących, i że zamieszki są tej formacji na rękę, ponieważ liczy ona na głosy zradykalizowanej młodzieży.

Z kolei radykalna prawica Marine Le Pen obserwuje sytuację uważnie – i być może stanie się największym beneficjentem burzliwych protestów. Zgromadzenie Narodowe nie zamierza wspierać rządu i stojącego za rządem prezydenta Macrona, a jednocześnie może prezentować się większości obywateli jako skuteczna zapora przed ekscesami zrewoltowanej lewicy.

Ulice Francji stały się po raz kolejny laboratorium radykalizmów przed wyborami prezydenckimi w 2027 roku. ©℗



THOMAS SAMSON / AFP / EAST NEWS

Protesty uczniów w Paryżu, 2 października 2026 r.



Po bólu

BARTOSZ KABAŁA

Od czasów słynnego austriackiego patologa Carla von Rokitanskiego, który w drugiej połowie XIX w. jako pierwszy odkrył ogniska błony śluzowej macicy (endometrium) poza tym narządem, postęp medycyny pozwolił lepiej poznać przyczyny oraz czynniki ryzyka występowania endometriozy. Już w 1927 r. amerykański lekarz John Sampson zaproponował koncepcję wstecznego miesiączkowania – w czasie menstruacji część krwi oraz komórek złuszczonego endometrium cofa się i poprzez jajowody dociera do jamy miednicy. Wówczas komórki endometrium wszczepiają się w przypadkowe miejsca, najczęściej w obrębie miednicy, w jajnikach, mięśniu macicy, jelitach, ale w bardzo rzadkich przypadkach również w odległych narządach (np. w płucach czy mózgowiu, co przeczy koncepcji Sampsona jako jedynej możliwej).

Ogniska endometriozy, tak jak błona śluzowa macicy, są wrażliwe na zmiany hormonalne w przebiegu cyklu miesiączkowego, dlatego jedną z form terapii już od lat 40. XX w. jest podawanie hormonów steroidowych. Dziś stosowane są przede wszystkim gestageny i środki antykoncepcyjne, które jednak mogą powodować skutki uboczne. Drugim filarem terapii są zabiegi chirurgiczne, które bywają uważane za ostateczność i nie zawsze dają pełne wyleczenie.

Coraz większą rolę w patogenezie choroby upatruje się w układzie immunologicznym. Kilka lat temu naukowcy z Washington State University w badaniu na mysich modelach endometriozy przyjrzeli się populacji obecnych w miednicy komórek odpornościowych. Stwierdzono, że specyficzny typ makrofagów (FRβ+) w jamie miednicy może odpowiadać za nasilony proces zapalny i rozwój ognisk endometriozy. Okazało się również, że znany lek przeciwpasożytniczy, niklozamid, zmniejsza populację owych makrofagów i hamuje rozwój endometriozy.

Zespół prof. Kanako Hayashi z Uniwersytetu Waszyngtońskiego opublikował właśnie kolejną pracę, w której autorzy opisują precyzyjną technologię dostarczenia niklozamidu wyłącznie do makrofagów FRβ+. Po jej zastosowaniu u myszy spadła nie tylko liczba niepożądanych makrofagów, ale również ogniska endometriozy zmniejszyły swoją objętość, a badane zwierzęta były mniej podatne na ból.

To jednak dane przedkliniczne. W badaniu drugiej fazy (z udziałem ludzi) jest natomiast vipoglanstat, hamujący mediatory stanu zapalnego, ale o jego skuteczności dopiero się przekonamy. Podstawą dalej jest chirurgia i leki hormonalne, a endometrioza pozostaje ogromnym problemem dla co dziesiątej kobiety. Aż do wyczekiwanego przełomu. ©

Nike dla Szczepana Twardocha



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Szczepan Twardoch podczas wręczenia Nagrody Literackiej Nike 2026. Warszawa, 4 października 2026 r.

KSIĄŻKA ▪ Tytułowy „Null" to nie tylko konkretne miejsce na mapie, to także punkt, w którym po raz kolejny przekroczyliśmy granice człowieczeństwa.

Bitwa o Krynki trwała wiele miesięcy, od października 2023 do lipca 2024 r. Utrzymanie przyczółka na wschodnim brzegu Dniepru, po jego rosyjskiej stronie, miało umożliwić Ukraińcom potencjalne natarcie w kierunku Krymu. W mediach określano tę misję mianem beznadziejnej, o ile nie samobójczej: z każdej strony Ruscy, za plecami rzeka.

„Widziałem piekło i nazywa się ono Krynki", mówili dziennikarzom ukraińscy żołnierze. „Krynki, miejsce najgorsze" – pisała na naszych łamach Antonina Palarczyk. Do zdarzeń rozgrywających się właśnie w tym miejscu nawiązuje „Null" Szczepana Twardocha, wyróżniony w niedzielę podwójną Nagrodą Nike. Oto, jak czytamy w powieści, „odcięty rzeką kawałek świata, którego nie można oddać, choć się go nie ocali".

Ale tytułowy „null" to nie tylko konkretne miejsce na mapie, to także punkt, w którym po raz kolejny przekraczamy granice człowieczeństwa. Jedną z tych granic jest sposób relacjonowania wojny, którą umożliwiają media społecznościowe.

Za sprawą wszechobecnych dronów spoglądamy w twarz żołnierzom, którzy za moment zginą rozerwani na kawałki. Zdjęcia przerażonych ludzi okrążają internet niczym wiral. Zresztą nie tylko o ujęcia twarzy tu chodzi, a w ogóle sposób, w jaki nagrania z frontu (nie tylko tej wojny) funkcjonują w mediach.

Kolejna granica? Automatyzacja dronów. Coraz częściej to po prostu oprogramowanie – bez udziału operatora – decyduje o życiu i śmierci. Wszystko to w powieści Twardocha ma swoje odbicie w języku, który przeobraża się i zmienia, im bliżej „nulla" się znajdujemy.

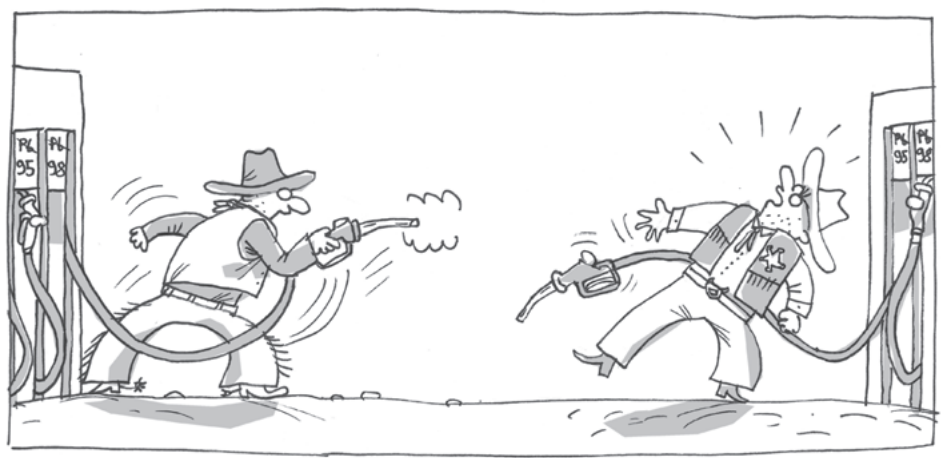
Powieść zebrała w tym roku wiele ważnych nagród. Została bestsellerem Empiku w kategorii literatura piękna, otrzymała też wyróżnienie w plebiscycie czytelniczek i czytelników portalu Lubimyczytać. Od kilku dni jest Ambasadorką Nowej Europy – to nagroda przyznawana przez Europejskie Centrum Solidarności za publikację, która „w odważny i bezkompromisowy sposób obala stereotypy definiujące Europę i jej mieszkańców oraz szuka odpowiedzi na pytanie o to, czym dzisiaj jest Europa".

Powieść w przekładzie Olafa Kühla zajęła także 2. miejsce w zestawieniu 20 najlepszych książek tygodnika „Der Spiegel". Dlatego cieszy werdykt kapituły Nike, bo nagroda, obchodząca jubileusz 30-lecia, miała przecież polskie powieści wzmacniać i wspierać. Wedle wyliczeń redakcji „Notatnika Literackiego" (nr 1/2025) w naszym kraju przyznaje się ok. 80 nagród literackich, tyle że wśród nich nie ma właściwie żadnej, która wyróżniałaby wyłącznie powieści. Jest co prawda Nagroda im. Jerzego Żuławskiego, ale za fantastykę, jest Nagroda Wielkiego Kalibru, ale za najlepszy kryminał. Nagroda im. Marka Nowakowskiego wędruje do twórcy najlepszych opowiadań, a Nagroda Literacka Gdynia lubi raczej krótsze formy prozatorskie, literackie eksperymenty.

Pominięcie klasycznej powieści wpływa nie tylko na to, co trafia na półki naszych księgarń, ale też na to, w jaki sposób postrzegamy świat. I dziś ten świat to raczej zbiór nonsensownych historii niż logiczna, szukająca syntezy opowieść.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA



POMOC W KRYZYSIE

Połowa Polaków ma dostęp do szybkiego i bezpłatnego wsparcia psychiatrycznego. Co z resztą?

ANNA GOC

Nie skończę studiów" – od tej myśli się zaczęło. Agnieszka studiowała wtedy psychologię. Potem były kolejne: „do niczego się nie nadaję", „już nigdy nie będę zdrowa", „wszystko jest bez sensu".

Gdy próbowała zasnąć, myśli nie dawały jej spokoju. Wywoływały napięcie, które czuła w ciele. Ścisk w żołądku, spięte mięśnie, spocone ręce, przyspieszony puls. Jakby ciało grało w grę, której zasady dyktuje coś z zewnątrz.

Jedna nieprzespana noc w tygodniu, dwie, cztery z rzędu. Jeden dzień w tygodniu z odsypianiem, dwa w łóżku, rozbity cały tydzień.

Miała wrażenie, że jej umysł pracuje coraz gorzej. Myliła autobusy, ciągle o czymś zapominała. Nie potrafiła się skoncentrować. Gubiła słowa w czasie wystąpień publicznych, więc coraz częściej z nich rezygnowała. Odwoływała spotkania ze znajomymi. Trudnością stawało się robienie zakupów, gotowanie i sprzątanie. Dni były za długie, zwłaszcza latem. Przestawała rozumieć, co innym daje radość. Po co się uczą, chodzą do pracy, zakładają rodziny – skoro „to wszystko nie ma sensu".

Po jakimś czasie następowała zmiana.

Dręczące myśli znikały. Agnieszka zasypiała, ale czuła przypływ dziwnej siły, miała wrażenie, że wcale nie potrzebuje snu. Pamięć podpowiadała jej zwroty w języku niemieckim, którego od lat nie używała. Kupowała karnet na siłownię, umawiała się do fryzjera. Dzwoniła do znajomych, planowała wakacje. Robiła wszystko mocniej, szybciej, bez zatrzymania. Po jakimś czasie – znów była zmęczona.

I tak na zmianę.

– Moja choroba sprawiła, że gubiłam tożsamość – mówi. – Nie wiedziałam, którą Agnieszką jestem. Tą, która nie daje rady, bo jest bezsilna, czy tą, która nie daje rady, bo siła ją wykańcza.

Scenariusz pierwszy: prawdziwy

Agnieszka zarezerwowała prywatną wizytę u psychiatry. Opowiedziała o objawach, dostała receptę. Przez jakiś czas brała leki, ale gdy zaczynała czuć się lepiej, odstawiała je.

Potem znów szukała lekarza, znów prywatnie, nie chciała się przyznać, że odstawiła leki. Powtórzyła ten schemat kilka razy, za każdym razem – z innym lekarzem.

O diagnozie: chorobie afektywnej dwubiegunowej, nie powiedziała na początku nikomu. Bała się przyznać i przed znajomymi, i przed bliskimi. Głównie – przed sobą.

– Pani Agnieszko, zawalczymy o to, żeby nie żyła pani od skrajności do skrajności. Zawalczymy o środek – usłyszała od psychiatry na NFZ, do którego dostała się na wizytę po miesiącach oczekiwania. Nie zrozumiała jednak, o co chodzi ze „środkiem".

Lekarz namówił ją na psychoterapię, ale w przychodni usłyszała, że najwcześniejszy termin będzie za dwa lata. I znów: brała leki, gdy było gorzej. Odstawiała, gdy się poprawiało.

Aż pogorszyło się zupełnie. Prawie nie spała. Miała wrażenie, że coś jej zagraża, ktoś ją obserwuje – patrzy na nią w autobusie albo przez okno, gdy jest w domu. Miała wrażenie, że świat przesłania jej mgła, potem obraz się wyostrzał. Zapachy były intensywniejsze. Próbowała opowiedzieć o tym najbliższym, ale czuła, że nikt jej nie rozumie.

Wtedy pojawiło się wyobrażenie o lepszym, alternatywnym świecie. A ten należał do ptaków. Ptaki wysyłały jej znaki. Przesłanie, że ich świat nadejdzie. I obietnicę, że ją do niego zabiorą. Niech tylko jeszcze trochę wytrzyma. W snach unosiła się, zbliżała do ptasiego świata.

– Ten ptasi świat to była już dekompensacja psychotyczna, czyli załamanie, które pojawiało się po latach niewłaściwego leczenia i braku wiedzy o chorobie.

– Jak się masz, gdy do tego wracamy? – pytam.

– Opowiadam niewiele z tego, co się wtedy działo. I głównie po to, by pokazać, że może nie musiało do tego dojść – tłumaczy.

Załamanie przyszło w 2016 r. Partner Agnieszki zamówił wtedy prywatną wizytę u psychiatry, najszybszą z możliwych. Nie chciała wejść do gabinetu lekarza, którego nie znała. Więc zadzwonił do przychodni NFZ, do tego lekarza, u którego się leczyła. Przyjął Agnieszkę jeszcze tego samego dnia, na końcu kolejki. Gdy zobaczył, w jakim jest stanie, i dowiedział się, że nie bierze leków, zdecydował o szpitalu. Nie zgodziła się, a wtedy, zgodnie z procedurą, wezwał karetkę pogotowia i policję.

Szpital był na obrzeżach miasta, więc jechali prawie godzinę. Agnieszka rozpłakała się. Ratowniczka usiadła naprzeciw niej, powiedziała, że rozumie jej lęk, i zapewniła, że zabierają ją do miejsca, gdzie będzie bezpieczna. Lekarka, która ją przyjmowała w szpitalu, zapytała, czy wie, co się dzieje i gdzie jest. Agnieszka przytaknęła. Także na pytanie, czy chce zostać.

W szpitalu spędziła dwa miesiące: najpierw na oddziale, gdzie byli chorzy w silnych objawach, potem na oddziale, gdzie powoli ustępowały. Na pierwszym zaskoczyło ją, jak dużo ludzi choruje. Że kobieta na łóżku obok była w pasach. Że jakaś dziewczyna zamknęła się w łazience i głośno płakała. Że jakiś mężczyzna chodził po korytarzu i krzyczał. Że w oknach były kraty.

Na drugim oddziale zrozumiała, że z tego się wychodzi. Że zdrowienie jest możliwe, bo objawy mogą się zmniejszyć lub ustąpić zupełnie.

Miała szczęście, bo niedługo po wyjściu ze szpitala dostała telefon, że termin na refundowaną psychoterapię, którą rezerwowała prawie dwa lata wcześniej, właśnie się zwolnił. A psychoterapeutka, do której chodziła raz w tygodniu, skierowała ją jeszcze na oddział dzienny – najpierw jeden, a potem drugi, na których łącznie spędziła kolejne pół roku, zdrowiejąc.

Scenariusz drugi: możliwy

– Jak mogłoby to wyglądać dzisiaj? – zastanawia się Agnieszka. – Być może gdybym zgłosiła się do centrum zdrowia psychicznego, które jest w moim mieście, i powiedziała, że chyba mam kryzys, byłoby inaczej.

Tego, co działoby się dalej, jest pewna. Bo schemat w każdym centrum jest podobny. Poszłaby do punktu zgłoszeniowo-koordynacyjnego. Bez skierowania, bez kolejki. Tam mogłaby od razu porozmawiać ze specjalistą – terapeutą środowiskowym, pielęgniarką psychiatryczną albo psychologiem, bo to oni pracują w punktach, a nie osoby, które mogą jedynie zarejestrować i powiedzieć, kiedy będzie pierwszy wolny termin. Opowiedziałaby o objawach i dowiedziałaby się, co jest pilnie potrzebne, a z czym można zaczekać. Wyszłaby z planem leczenia.

– Czy w tym scenariuszu trafiłabym na kilka miesięcy do szpitala? Trudno powiedzieć, być może nie – opowiada. ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Centra zdrowia psychicznego, czyli przełom

↦ Centra zdrowia psychicznego (CZP) zaczęły działać w 2018 r. w ramach pilotażu. I miały zmienić przyszłość leczenia psychiatrycznego dorosłych (podobnego modelu, jak dotąd, nie wprowadzono w psychiatrii dzieci i młodzieży).

Specjaliści są zgodni: to przełom na długiej drodze, którą przeszła polska psychiatria od sierpnia 1994 r., kiedy Sejm przyjął ustawę o ochronie zdrowia psychicznego.

Wśród celów reformy było – obok prewencji kryzysów psychicznych i destygmatyzacji chorujących – wprowadzenie psychiatrii środowiskowej. Czyli stworzenie nowej organizacji opieki nad zdrowiem psychicznym, która nie opiera się głównie na dużych szpitalach psychiatrycznych, lecz na opiece ambulatoryjnej, dziennej, środowiskowej i oddziałach psychiatrycznych w szpitalach ogólnych. – Dzięki tym formom leczenia, a także współpracy z ośrodkami organizowanymi przez pomoc społeczną, pomagamy chorującym nie tylko pokonać objawy choroby, lecz także wrócić do rodziny, pracy i innych ról społecznych – mówi prof. Andrzej Cechnicki, psychiatra i psychoterapeuta, który model psychiatrii środowiskowej wdrażał od ponad pół wieku.

„Pod koniec drugiej dekady XXI w. aż 70 proc. środków na leczenie zaburzeń psychicznych było lokowanych w szpitalach psychiatrycznych" – pisze o dotychczasowym modelu Artur Kochański, psychiatra i dyrektor CZP w Lublinie, w książce „Przełom w opiece psychiatrycznej w Polsce: Centra Zdrowia Psychicznego w latach 2018-2025". I zestawia to z 30 proc., które na leczenie szpitalne wydawały kraje na podobnym poziomie rozwoju gospodarczego.

W 2018 r., gdy zaczynał się pilotaż, działalność rozpoczęło 27 centrów w 14 województwach i mogło z nich korzystać 2,9 mln dorosłych. Dziś jest ich 117, a swoim zasięgiem obejmują połowę dorosłych mieszkańców Polski. Jedno centrum odpowiada za pełną opiekę w obszarze zamieszkałym przez nie więcej niż 150 tys. mieszkańców, a jest to najczęściej powiat, miasto albo jego dzielnica.

Żeby się zapisać do centrum, trzeba sprawdzić, pod które, zgodnie z adresem zamieszkania, się podlega. Centra zapewniają wszystkie podstawowe formy opieki – poradnie zdrowia psychicznego, oddział psychiatryczny szpitalny, oddział psychiatryczny dzienny i zespół leczenia środowiskowego, który, w razie potrzeby, prowadzi leczenie w domu chorego. W każdym jest otwarty dla wszystkich punkt zgłoszeniowo-koordynacyjny, gdzie mogą się zgłosić też bliscy chorujących, jeśli ci, z różnych powodów, nie są w stanie zrobić tego samodzielnie.

Do zespołów terapeutycznych centrów dołączyli koordynatorzy opieki, których zadaniem jest zapewnienie ciągłości leczenia. Mogą także wspomóc osoby, które przeszły kryzys psychiczny, w kontakcie z instytucjami aktywizującymi społecznie i zawodowo. Są też terapeuci środowiskowi, którzy wspierają w odbudowaniu czegoś, co nazywa się strukturą dnia – a więc w powrocie do godzin pobudki, pracy, zobowiązań i pełnienia ról społecznych, kiedy choroba już ustępuje. I asystenci zdrowienia, czyli osoby po przejściu kryzysu, które w oparciu o własne doświadczenia pokonywania choroby wspierają pacjentów w leczeniu, przekonują np., by nie odstawiali samodzielnie leków, uczestniczyli w psychoterapii i kontynuowali leczenie po ustąpieniu ostrych objawów. Asystentem może zostać osoba w remisji, która przeszła psychoterapię indywidualną i ukończyła specjalny kurs, odbyła praktykę i zdała egzamin.

– Centra są przełomem po pierwsze dlatego, że zapewniają dostępność od razu – mówi Marek Balicki, który reformą polskiej psychiatrii zajmuje się od kilku dekad, jako psychiatra, były minister zdrowia, doradzający także kolejnym ekipom. – Zapewniają ciągłość leczenia, bo w ramach jednego centrum i jednego zespołu specjalistów dysponują wszystkimi formami wsparcia.

Na to samo zwraca uwagę prof. Cechnicki: – To była absolutna rewolucja. Odejście od dawnego modelu, w którym cierpiący człowiek przychodził do gabinetu psychiatry, lekarz zapisał objawy, wypisał receptę i ustalał termin następnej wizyty, a wszystko w 15 minut i do widzenia. Pacjent po wyjściu musiał radzić sobie sam. Albo: trafiał do szpitala.

Prof. Cechnicki podkreśla, że pacjent nie może odbijać się od jednej instytucji do drugiej. – Potrzebna jest pełna odpo-

REKLAMA



wiedzialność za leczenie i współpraca wszystkich terapeutów i zespołów, aby zrealizować indywidualny program leczenia, rehabilitacji i zdrowienia. To istota reformy, którą zaczęliśmy – mówi.

Drugą zmianą jest to, że centra są odpowiedzialne za wybraną populację. – Kierownik CZP w Koszalinie odpowiada za zapewnienie opieki mieszkańcom Koszalina i nie może nikomu powiedzieć „proszę szukać pomocy gdzie indziej" – mówi Balicki. – W starym modelu placówka opieki psychiatrycznej odpowiadała jedynie za tych, którzy się do niej zgłosili i doczekali przyjęcia.

Po trzecie, CZP działają według nowego modelu finansowania. Stary opierał się na „fee-for-service", czyli płatności za usługę, a nie na ryczałcie. – W starym modelu szpital psychiatryczny, który miał 300 łóżek, zawierał kontrakt z NFZ na 300 łóżek pomnożone przez 365 dni roku. Jeśli pobyty w szpitalu się skracały o 10 proc., a łóżka pozostawały puste, dostawał o tyle mniej pieniędzy, ale te środki nie trafiały do poradni czy do oddziału dziennego – wyjaśnia Balicki. – Teraz każde centrum otrzymuje rocznie określoną kwotę w przeliczeniu na mieszkańca i na tej podstawie planuje budżet. W tym nowym modelu szybsze wypisanie pacjenta ze szpitala nie powoduje straty środków.

– W systemie, w którym obowiązywało rozliczanie na zasadzie „fee-for-service", lekarze byli wynagradzani za to, że łóżko w szpitalu psychiatrycznym było pełne, a w modelu, który proponuje terapia środowiskowa za to, że było puste. Dzięki temu, że oddział całodobowy jest częścią centrum, konieczność leczenia w szpitalu i jego czas jest powiązany z potrzebami pacjentów – dodaje prof. Cechnicki.

Nieskuteczność modelu opartego na leczeniu szpitalnym – podkreśla nasz rozmówca – polegała też na tym, że przez wiele lat polska psychiatria nie miała struktur, które pomagałyby osobom w kryzysie wracać do kondycji psychicznej po wyjściu ze szpitala. A to w leczeniu psychiatrycznym jest kluczowe, gdyż pokonywanie poważnych zaburzeń trwa latami. – To, jak dalece pacjenci odzyskają satysfakcjonujące życie pomimo trwania choroby, będzie zależało obok dobrze dobranych leków również od dostępności pomocy, szybkości interwencji i ciągłości leczenia – mówi prof. Cechnicki.

Na opiekę psychiatryczną w Polsce wydaje się 4,6 proc. nakładów z puli na ochronę zdrowia. Średnia europejska to blisko 9 proc., Wielka Brytania – 11 proc., a Niemcy – 13,5 proc.

I dodaje: – Dotąd w podejściu do chorych panowało fatalistyczne i piętnujące myślenie, które wiązało się z niezrozumieniem i odrzuceniem społecznym. Ale było też piętno strukturalne: złe przepisy, niedofinansowanie i brak świadomości, na czym polega zdrowienie w chorobach psychicznych wśród tych, którzy decydowali o jego kształcie.

Dla porównania: na opiekę psychiatryczną w Polsce wydaje się 4,6 proc. nakładów z puli na ochronę zdrowia. Średnia europejska to blisko 9 proc., Wielka Brytania – 11 proc., a Niemcy – 13,5 proc.

Przekonaliśmy mieszkańców, że znajdą u nas pomoc

Piotr Stoń, psychiatra i psychoterapeuta, który kieruje centrum zdrowia psychicznego w Szpitalu Specjalistycznym w Kościerzynie, zaczyna naszą rozmowę od tego, że pilotaż CZP miał wytworzyć energię społeczną także z tego powodu, że sporo kompetencji zostało oddanych personelowi centrów. – Każde centrum jest inne, bo i ludzie w poszczególnych regionach są różni. Mają inną historię, inne przyzwyczajenia. Znamy nasz region i naszych pacjentów. Dzięki temu mogliśmy dostosować możliwości pomocy do ich potrzeb – opowiada. – I mieliśmy poczucie przez te parę lat, że nasza praca ma sens.

Opowiada, że w Kościerzynie, gdzie dotąd funkcjonował niewielki oddział psychiatryczny w szpitalu wielospecjalistycznym, personel CZP musiał najpierw przekonać mieszkańców, że mogą szukać pomocy też u nich.

– Musieliśmy ich przyzwyczaić, że istnieje coś takiego jak punkt zgłoszeniowo-koordynacyjny, gdzie mogą przyjść, gdy mają kryzys psychiczny. I że to miejsce jest pięćdziesiąt metrów od izby przyjęć i SOR-u – opowiada. – A potem musieliśmy pokazać, że leczenie nie musi oznaczać pobytu w szpitalu psychiatrycznym. I to się udało.

Choć, jak podkreśla, są wyzwania, na które do dziś prawie nikt nie jest gotów. Wśród nich dwa najpilniejsze: wsparcie psychiatryczne dla osób starszych i dla tych, u których zaburzenia pojawiają się w konsekwencji przyjmowania substancji psychoaktywnych. A pacjentów obu tych grup przybywa.

Z raportu „Przełom w opiece psychiatrycznej w Polsce" wynika, że centra zniwelowały różnice terytorialne w dostępie do leczenia. – Widać wyraźnie, że tam, gdzie są centra, liczba świadczeń, zwłaszcza tych najbardziej potrzebnych, psychologicznych czy psychoterapeutycznych, w stosunku do liczby mieszkańców wzrosła nieporównanie bardziej niż tam, gdzie centrów dalej nie ma – mówi Balicki.

Ze szpitala psychiatrycznego wychodziło się w pustkę

Katarzyna Szczerbowska jest dziennikarką, asystentką zdrowienia, od 2018 r. przez 5 lat była rzeczniczką Biura ds. Pilotażu NPOZP i członkinią Rady ds. Zdrowia Psychicznego przy Ministrze Zdrowia. Ma diagnozę schizofrenii i działa na rzecz osób z doświadczeniem kryzysu psychicznego i ich bliskich.

Do szpitala po raz pierwszy trafiła w 2008 r. Miała wtedy 38 lat, wspólnie z partnerem wychowywali trzynastoletnią córkę, która właśnie zaczynała gimnazjum. Katarzyna zniknęła z życia córki na kilka miesięcy, bo w odwiedziny na oddział psychiatryczny można przyjść dopiero po ukończeniu szesnastu lat. Nie ma tam miejsc na wizyty rodzinne.

– Przez pierwsze dwa tygodnie w szpitalu nie przyjmowałam jedzenia, odmawiałam picia, nie otwierałam ust, miałam ciągle zamknięte oczy. Podawano mi kroplówkę. Gdy odzyskałam świadomość, nie wiedziałam, gdzie jestem ani kim jestem – opowiada.

Do Katarzyny przychodziła wtedy mama i pokazywała jej zdjęcie córki. Mówiła: „To jest Ola, pamiętasz Olę? A to jesteś ty – Kasia". Pamięć wróciła po czterech miesiącach. ↦

↦ Jednak po wyjściu ze szpitala nie było żadnej rehabilitacji ani wsparcia. – Miałam wrażenie, że lekarze w tamtych czasach, próbując nas wspomóc, celowo zatrzymywali nas na dłużej w szpitalu. Wiedzieli, że nie mamy dokąd pójść.

Dodaje: – Miałam to szczęście, że wtedy było mnie jeszcze stać na prywatną wizytę u psychiatry, który przepisał leki. Ale to było trudne, bo miałam depresję psychotyczną, intensywne myśli samobójcze. I ten moment, gdy człowiek wychodzi ze szpitala, jest najtrudniejszy. Bo wychodzi w pustkę. A właśnie wtedy musi się skonfrontować ze swoim życiem, które jest już inne. Dane pokazują, że przy moim rozpoznaniu, czyli schizofrenii, 47 proc. osób traci pracę przy pierwszym epizodzie choroby.

Gdy w ubiegłym roku znów przeszła kryzys, była już pacjentką centrum zdrowia psychicznego. Rodzina wezwała lekarza z zespołu leczenia środowiskowego do domu. Katarzyna znała tego lekarza i to on przekonał ją, że powinna wsiąść do karetki. – W szpitalu mieli całą historię mojej choroby, bo w centrum jest dobry przepływ naszych danych – mówi. – Hospitalizacja trwała miesiąc. Przy wypisie dostałam szczegółowe instrukcje: jak długo powinnam spać, ile jeść warzyw i owoców na dobę, ile wody pić, jak długo spacerować. I termin wizyty u psychiatry po tej hospitalizacji. Gdy to zobaczyłam, miałam łzy w oczach – opowiada.

Dalsze plany Ministerstwa Zdrowia i protest środowiska

Ministerstwo Zdrowia zapowiedziało, że przedstawi tzw. rozporządzenie koszykowe po zakończeniu pilotażu CZP, w tym także to, jak mają funkcjonować same centra od stycznia 2027 r. Projekt dokumentu ukazał się w czerwcu 2026 r.

Po jego publikacji środowisko Kongresu Zdrowia Psychicznego, Stowarzyszenia Centrów Zdrowia Psychicznego i Porozumienie na rzecz realizacji NPOZ, którego przewodniczącym jest prof. Cechnicki, zgłosiło do niego blisko 900 uwag.

– W projekcie ministerialnym zostały naruszone istotne fundamenty reformy i pilotażu, m.in. zintegrowana struktura centrów, ich autonomia czy zasady finansowania – mówi prof. Cechnicki.

Prof. Piotr Gałecki, psychiatra, seksuolog, konsultant krajowy w dziedzinie psychiatrii i przewodniczący Rady ds. Zdrowienia Psychicznego, z której odeszła część specjalistów, poprosił o przesłanie pytań mailem. Odpowiadając, tłumaczy, że jego rola ma charakter ekspercki, a ostateczne zasady finansowania CZP pozostają w kompetencjach MZ i NFZ: „Raport zespołu powołanego w grudniu 2024 r., za kadencji minister Izabeli Leszczyny, przewidywał trzy elementy finansowania: budżet populacyjny, komponent zadaniowy oraz komponent jakościowy. NFZ w komunikacie z 1 czerwca 2026 r. przedstawił założenie tego samego modelu, jedynie przy użyciu innego słownictwa: trójskładnikowego ryczałtu, uwzględniającego zasoby placówki, wielkość populacji objętej opieką oraz wskaźniki jakości. Nie oznacza to jednak prostego utrzymania dotychczasowego ryczałtu populacyjnego bez zmian. Ministerstwo podkreśla powiązanie finansowania z rzeczywistą aktywnością centrum, liczbą leczonych pacjentów, intensywnością opieki i jej jakością".

Prof. Gałecki doprecyzowuje: „Zmiana wynika m.in. z doświadczeń pilotażu, który miał to testować. Przy takim samym ryczałcie populacyjnym poszczególne centra obejmowały faktyczną opieką bardzo różny odsetek populacji – od poniżej 1 proc. do około 6 proc. – a jednocześnie brakowało mechanizmu powiązania finansowania ze wskaźnikami jakości".

Biuro Komunikacji Ministerstwa Zdrowia potwierdziło, że finansowanie CZP będzie się opierało na formule ryczałtu trójskładnikowego. „Ma łączyć stabilność finansowania z mechanizmami motywującymi do zapewnienia opieki wysokiej jakości, odpowiadającej potrzebom pacjentów" – czytamy w odpowiedzi na nasze pytania. Dalej ministerstwo tłumaczy, że zamierza odchodzić od finansowania opartego wyłącznie na rozliczaniu pojedynczych świadczeń.

Resort podkreśla, że projekt „zakłada utrzymanie odpowiedzialności terytorialnej CZP", a centra mają nadal zapewniać kompleksową opiekę psychiatryczną, oraz że rozwiązania te mają „zapewnić ciągłość świadczeń udzielanych dotąd w ramach programu pilotażowego". I dodaje, że priorytetem pozostaje rozwój psychiatrii środowiskowej. „Celem jest objęcie całego kraju siecią CZP, zwłaszcza obszarów, które dotychczas nie uczestniczyły w pilotażu" – czytamy w odpowiedzi.

Nie wszystkich to przekonuje. Po zgłoszeniu wspomnianych 900 poprawek do projektu ministerialnego psychiatrzy, pacjenci i rodziny wydali oświadczenie: „Skala uchybień formalnych i merytorycznych oraz wadliwie określony cel projektu są tak poważne, że nie jest możliwe usunięcie wad projektu poprzez zgłoszenie pojedynczych uwag do poszczególnych przepisów. Apelujemy o odrzucenie projektu w całości i przygotowanie zgodnych z Konstytucją oraz celami Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego rozwiązań legislacyjnych, które zagwarantują rzeczywistą poprawę i unowocześnienie opieki psychiatrycznej w Polsce".

W ramach protestu jedenastu członków Rady ds. Zdrowia Psychicznego przy Ministrze Zdrowia zrezygnowało z członkostwa w Radzie. Wśród nich wszyscy przedstawiciele organizacji Pacjentów i Rodzin oraz m.in. Marek Balicki i Andrzej Cechnicki.

– Decyzją o odejściu z Rady zasygnalizowaliśmy opinii publicznej, że dzieje się coś niepokojącego – wyjaśnia Balicki. – Jeśli model, który ministerstwo przedstawiło w maju, wejdzie w życie, nie wszystkie wypracowane w pilotażu zmiany pójdą na marne, jednak kilka najważniejszych zostanie zgubionych. A tymi najważniejszymi są odpowiedzialność terytorialna i płatność ryczałtowa. Bo to one pozwalają centrom planować leczenie pacjentów, a nie skupiać się na „wyrabianiu" punktów, jak jest w modelu „fee-for-service". Centrum wie też, za jakich pacjentów odpowiada. Ministerstwo chce natomiast wrócić w zakamuflowany sposób do modelu, który nie sprawdził się ani w psychiatrii, ani zresztą w całym systemie opieki zdrowotnej.

– Obawiam się, że staniemy się zakładnikami procedur – mówi Piotr Stoń. – Urzędnicy nie patrzą w oczy pacjentom, my – tak. Skoro ministerstwo, podpisując zgodę na program pilotażowy, uznało, że wiemy, co robimy, i potrafimy najlepiej pomagać naszym pacjentom, to dlaczego nie możemy tego kontynuować?

– W pierwszych miesiącach 2026 r. do Biura Rzecznika Praw Pacjenta wpłynęło

ponad dwa tysiące skarg związanych z leczeniem psychiatrycznym, tylko pół procent z nich było związanych z działalnością centrów zdrowia psychicznego – dodaje prof. Cechnicki. – Czy to nie świadczy o tym, że się sprawdziły?

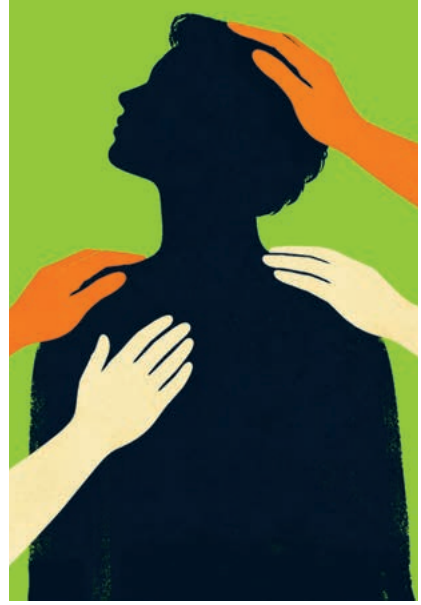
Codziennie rano tu na siebie czekamy

Agnieszka jest dziś asystentką zdrowienia, pracuje m.in. na oddziale dziennym jednego z centrów zdrowia psychicznego i w środowiskowym domu samopomocy dla osób chorujących psychicznie.

Pytań i wątpliwości, które słyszy od pacjentów, jest dużo. Gdy pacjenci chcą wiedzieć, po co im oddział dzienny, opowiada, jak dużo daje powrót do zaplanowanej struktury dnia: pobudek, zobowiązań, harmonogramu, zadań. Gdy pytają o muzykoterapię, opowiada o spiętych mięśniach i oddechu. Gdy pytają o wycieczki, mówi, że warto, by próbowali wziąć na siebie organizację wyprawy, bo to dobry trening w pełnieniu różnych ról. Gdy pytają o zajęcia plastyczne, odpowiada, że poza chorobą są jeszcze oni i ich talenty.

Zaglądamy z Agnieszką do Centrum Seniora dla osób chorujących psychicznie. Krystiana Roloff, która kieruje centrum, i Wiktoria Fyda, psycholog, zapraszają do sali, w której codziennie podopieczni się spotykają, by sobie opowiedzieć, co każdy z nich robił poprzedniego dnia, po wyjściu z placówki. – Większość z naszych uczestników to osoby samotne. A to, że nazajutrz opowiedzą innym, co robili, mobilizuje.

KATARZYNA:
Przy wypisie dostałam instrukcje: jak długo spać, ile jeść warzyw i owoców, jak długo spacerować. Gdy to zobaczyłam, miałam łzy w oczach.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Tuż przed wyjściem przysiada się do mnie pani Bożena. Do domu seniora dla chorujących psychicznie skierowała ją psychiatra. Opowiada o mężu, który zmarł, i o trojgu dzieci, które wychowywała sama.

Rozmawiamy o ponad 70 krakowskich parkach, które planują odwiedzić z grupą seniorów. O tym, że codziennie ktoś inny gotuje obiad. Dzisiaj akurat dyżur ma pani Bożena: będzie wątróbka, ziemniaki i ogórek. Opowiada, że lubi zwłaszcza zajęcia ze śpiewu, bo podnoszą ją na duchu i relaksują. I zajęcia gimnastyczne, bo wtedy puszczają mięśnie. Wspomina też o znajomych z ośrodka, o tym, że codziennie rano na siebie czekają. I sprawdzają, kto w jakiej jest formie. – Jeśli któraś z nas zachoruje, odwiedzamy się, przynosimy sobie zupę – mówi.

I o tym, że opiekują się kwiatami. – O, proszę spojrzeć, jakie są piękne.

Na parapecie nad nami stoi rząd doniczek, w jednej z nich – beniaminek.

– Nie jest z nim łatwo, coś o tym wiem – przyznaję i opowiadam o moim, przywiezionym do domu rodzinnego, który odratowała moja mama.

Na co pani Bożena: – Musi mieć bezpieczne miejsce, wtedy odżywa.

©℗ ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

SERWEROWNIE NIEPOKOJU

Eksperci widzą w nich szansę na cyfrową suwerenność kraju. Dla mieszkańców miejscowości, w których wyrastają kolejne centra przetwarzania danych na potrzeby AI, takie sąsiedztwo to udręka.

MICHAŁ TOMCZUK



Piaseczno, 16 września. Ludzie zebrali się na skwerze przed placem budowy przy ul. Energetycznej. Wspólnie chcą powstrzymać budowę cyfrowego centrum przetwarzania danych, które ma tam stanąć za trzy lata.

Niektórzy ze zgromadzonych będą z nim dosłownie sąsiadować. Jak dowiaduję się od założycielki inicjatywy „Stop Serwerowni Piaseczno", Magdaleny Potockiej, najbliższy dom jednorodzinny jest zlokalizowany 35 metrów od placu budowy. – Gdy wydawano pozwolenie na budowę obiektu, żaden z okolicznych mieszkańców nie został o tym powiadomiony – zapewnia.

Słowom przytakuje Piotr, jeden z mieszkańców osiedla. – Nie spotkałem nikogo, kto otrzymałby w tej sprawie list. To kompletna manipulacja ze strony inwestora – komentuje. Tuż potem jego syn, 16-letni Adam, opowiada mi o swoich obawach związanych z inwestycją. Wie, że za kilkanaście lat teren wokół jego domu może znacznie stracić na wartości. – Jakość życia też się pewnie pogorszy z uwagi na brak wody i przerwy w dostawach prądu. No i ten ciągły odgłos – wskazuje na imitujący pracę serwerowni dźwięk, dochodzący z głośnika demonstrujących.



MICHAŁ TOMCZUK

Protest mieszkańców Piaseczna przeciwko budowie centrum przetwarzania danych przy ul. Energetycznej. 16 września 2026 r.

Istotnie, uciążliwe buczenie sprawia, że ciężko zebrać myśli. Iwona, jedna z członkiń inicjatywy przeciwko budowie serwerowni, objaśnia nam, że odgłos ten wcale nie wynika z żadnej usterki technicznej sprzętu. – Właśnie tak będzie brzmiało centrum danych, które chcą wybudować obok naszych domów. Deweloper twierdzi, że uda mu się powstrzymać ten odgłos w obrębie działki. Ciekawa jestem, w jaki sposób zamierza to zrobić. Poprosi go o to? – ironizuje.

„Bezkonfliktowa inwestycja"

W raporcie zleconym przez inwestora, przedsiębiorstwo Sien Real, jeszcze w 2023 r. firma konsultacyjna z zakresu informatyki, Atmoterm S.A., stwierdziła, że „inwestycja nie powinna być źródłem powstawania konfliktów społecznych". Za przyczynę takowych podaje m.in. „chęć ochrony środowiska w swoim otoczeniu" oraz „negatywne doświadczenia z istniejącymi obiektami i wynikającą stąd nieufność do nowych inwestycji".

Wśród czynników mogących wpływać na frustrację lokalnej społeczności spółka uwzględnia również „czynniki związane z kształtującą się demokracją (prawo własności, zawiązywanie się grup interesów, negatywne oddziaływanie mediów)", jak i odmienne „wartości, będące przedmiotem sporu, które często trudno ze sobą porównać i ocenić".

Ponad trzy lata przed konfliktem panuje więc założenie, że inwestycja przy ul. Energetycznej nie powinna wzbudzić podejrzeń lokalnej społeczności. Eksperci wyrażają opinię, że centrum danych „zostało zaprojektowane z poszanowaniem występujących w obszarze oddziaływania uzasadnionych interesów osób trzecich" i że „w fazie eksploatacji nie ograniczy dostępności wody, energii elektrycznej i cieplnej ani środków łączności".

Kiedy rozmawiam z inicjatorką przeciwnej serwerowni „grupy interesów", dość prędko staje się jasne, że wyrażona w raporcie opinia nie pokrywa się z prawdą. Co więcej, Magdalena Potocka zwraca również uwagę na błędy i prawne nieścisłości, do jakich miał dopuścić się inwestor, a które nie zostały odpowiednio ocenione przez urząd gminy i miasta Piaseczna przed wydaniem pozwolenia na budowę.

Będzie głośno i sucho

Najwięcej wątpliwości budzi kwestia hałasu. Bo choć prognoza inwestora wskazuje na to, że dźwięk dochodzący z serwerowni nie będzie przekraczał dozwolonych norm (50 decybeli w trakcie dnia i 40 nocą), mieszkańcy mają wątpliwości co do rzetelności owych obliczeń. Potocka zauważa, że w projekcie, który został zaakceptowany przez gminę, nie ma wymienionych wszystkich źródeł hałasu, a tylko wybrane. – Jest uwzględniony jedynie dźwięk płynący z postawionych na dachu dry-coolerów. Nie ma mowy o hałasie z agregatów prądotwórczych, które w sytuacjach awaryjnych będą przecież pracować razem z nimi – zauważa.

Mieszkanka Piaseczna wspomina również, że w złożonym przez inwestora projekcie zwiększyła się powierzchnia serwerowni; zmniejszono natomiast ekrany akustyczne. – Podczas gdy w decyzji środowiskowej jest zapisane, że budynki mają mieć trzy kondygnacje i zamontowane wokół ekrany akustyczne o wysokości powyżej pięciu metrów, w pozwoleniu zamiennym dopuszczone są czteropiętrowe budynki, otoczone ekranami poniżej 5 metrów wysokości – zaznacza Magdalena Potocka. Dodaje również, że nie ma tam uwzględnionego hałasu samolotów, które i tak przelatują nad głowami mieszkańców Piaseczna raz na kilka minut.

Potocka zwraca mi również uwagę na ilość wody, którą serwerownia może pobierać dziennie. – Inwestycja dostała zgodę na pobór 286 m/s wody na dobę. To tyle, ile przypada osiedlu, na którym mieszka od dwóch do trzech tysięcy mieszkańców. I choć inwestor twierdzi, że będzie zużywać mniej, prawnie rzecz biorąc właśnie tyle mu przysługuje – zaznacza.

Istnieją też spore nieścisłości pomiędzy inwestycją a miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego. – Działki, ↦

↦ na których powstaje serwerownia, oznaczone są symbolem „5 UC". To oznacza, że są przeznaczone na usługi komercyjne, a nie przemysłowe. Definicja takich usług to: handel, hotelarstwo i usługi komunikacyjne – wylicza.

Burmistrz na rozdrożu

Winą za uciążliwą inwestycję mieszkańcy Piaseczna obarczają burmistrza. – Powinien mieć przede wszystkim na uwadze interes mieszkańców, a nie inwestora – mówi Grzegorz, mieszkaniec osiedla przy ul. Energetycznej i członek inicjatywy przeciwko budowie serwerowni. – Problem polega na tym, że zarówno lokalne samorządy, jak i rząd Polski nic nie robią, aby pomóc osobom w naszej sytuacji – dodaje.

Co do ostatniego, podobnie uważa sam burmistrz Piaseczna, Daniel Putkiewicz. – Prawo nie nadąża za rozwojem tego typu instalacji, a samorządowcy pozostają w dużej mierze bez wystarczającego wsparcia regulacyjnego – komentuje. Dodaje również, że centra danych nie są infrastrukturą wyszczególnioną w rozporządzeniu w sprawie przedsięwzięć mogących znacząco oddziaływać na środowisko, dlatego przy ich ocenie trzeba korzystać z innych regulacji i wskazanych w nich wymagań oraz parametrów.

Putkiewicz zapewnia, że zarówno kwestie poboru energii, jak i wody są odpowiednio monitorowane. I że rozumie lęki i frustrację, jaką odczuwają obywatele Piaseczna. – Docierają do mnie od mieszkańców argumenty za i przeciw. Jedni mówią o tym, że AI doprowadzi nas do zagłady, a drudzy, że powinniśmy zadbać o suwerenność cyfrową i w związku z tym potrzebujemy mieć takie instalacje na własnym terenie – twierdzi.

Centra obrony Polski

Skupiając się na zagadnieniu suwerenności technologicznej, burmistrz Piaseczna wpisuje się w kluczową w ostatnich latach narrację dotyczącą obronności – zagadnienie to przestało przecież dotyczyć wyłącznie inwestycji militarnych. W bezpieczeństwo państwa zaangażowane są dziś także samorządy, szkoły, różne organizacje i stowarzyszenia, a także sami obywatele.

Choć nie mówi się o tym jeszcze zbyt głośno, obronność jest również ważnym aspektem suwerenności technologicznej. W miarę postępującej cyfryzacji państwa będzie ona odgrywała coraz większą rolę w zakresie zabezpieczenia Polski na wypadek konfliktu zbrojnego. Do 2035 r. Polska ma podnieść wydatki na ten cel do 5 proc. PKB (tyle przeznaczamy dziś na armię). Co więcej, właśnie dla suwerenności technologicznej polski rząd zainwestował w minionych latach ponad miliard złotych w rozwój fabryk sztucznej inteligencji, jak przekazuje mi Aleksandra Tomaszewska, dyrektorka Departamentu Badań i Innowacji w Ministerstwie Cyfryzacji.

Tomaszewska podkreśla wyjątkowość sytuacji naszego kraju. – Polska jest jedynym państwem w Europie, które w ramach unijnego programu Invest AI rozwija dwie fabryki sztucznej inteligencji na swoim terytorium – PIAST-AI w Poznaniu i Gaia AI w Krakowie. Miejsca te mają dysponować ponad tysiącem akceleratorów GPU, wykorzystywanych między innymi do trenowania i rozwijania modeli sztucznej inteligencji. Będą wspierać jej zastosowanie w medycynie, finansach, przemyśle. Jednocześnie uczestniczymy w konsorcjum LUMI AI Factory w Finlandii oraz zadeklarowaliśmy udział w przyszłych gigafabrykach AI. W ten sposób budujemy silne zaplecze obliczeniowe dla polskiej nauki, przedsiębiorstw i administracji – podsumowuje.

Robert Pękal, pełnomocnik dyrektora Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego, które nadzoruje budowę PIAST-a, również zwraca uwagę na strategiczną istotność tego projektu. – Nie wyobrażam sobie, żeby instytucje publiczne trzymały dane w zagranicznej infrastrukturze, która jakimś dekretem lub kaprysem może zostać wyłączona – zaznacza.

Uczynić świat gorszym

Jak jednak zwraca uwagę dr hab. Katarzyna Śledziewska, autorka licznych książek o transformacji energetycznej oraz kierowniczka Katedry Ekonomii Cyfrowej na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, w suwerenności technologicznej bynajmniej nie chodzi o bezwarunkowe wspieranie budowy centrów danych.

– Kluczowe nie jest to, ile centrów danych powstanie w Polsce, ale kto będzie miał do nich dostęp, kto poniesie koszty energii i infrastruktury oraz jaka część wartości gospodarczej pozostanie w kraju. Jeśli centra danych mają służyć wyłącznie jako miejsca wynajmu mocy obliczeniowej dla globalnych przedsiębiorstw, korzyść dla polskiej gospodarki będzie ograniczona do podatków i miejsc pracy przy budowie oraz przy utrzymaniu obiektów. Bez rozwoju polskich kompetencji w projektowaniu modeli, oprogramowania czy usług opartych na AI – podkreśla.

Mając to na uwadze, odwołanie się burmistrza Piaseczna do argumentu o suwerenności technologicznej w kontekście budowy serwerowni nie jest zgodne z taką strategią cyfryzacji, o którą zabiega ekspertka. Putkiewicz bazuje bowiem na przekonaniu, że rozwój wyrażony jest w samym fakcie powstania centrum danych. Śledziewska przekonuje, że jest inaczej.

– Po tym, jak szef Anthropica zaapelował o spowolnienie rozwoju najbardziej zaawansowanych modeli, akcje firm zależnych od budowy *data centers*, od producentów energii po dostawców „chmury", mocno straciły na wartości. To pokazuje, jak kruchy jest ten model wzrostu – zaznacza.

Zdaniem Śledziewskiej suwerenność technologiczna nie powinna oznaczać, że sztuczna inteligencja będzie wdrażana „tylko dlatego, że sama technologia stała się modna". Wtóruje jej obecny na proteście w Piasecznie Daniel Petryczkiewicz, pisarz, fotograf i aktywista, znany choćby z organizacji „marszu żałobnego dla Odry" w 2022 r. – Czy chcemy mieć za płotem fabrykę AI, która uczyni nasz świat i życie gorszym, a jeszcze do tego zużyje nasze ograniczone zasoby? – pyta.

Europa wiedzie prym?

Kluczowa nie jest moc samej technologii, ale to, jak i po co zostanie ona wprowadzona do użytku państwa oraz jego obywateli. – Ocena AI musi również obejmować jej koszt środowiskowy: zużycie energii i wody, emisje, trwałość sprzętu oraz możliwość odzyskiwania ciepła. Energooszczędne modele i efektywne centra danych nie są dodatkiem do polityki AI. Są częścią jej odpowiedzialnego projektowania – przekonuje Katarzyna Śledziewska.

Co więcej, jak twierdzi prosząca o anonimowość osoba z Komisji Europejskiej, która bierze udział w nakreślaniu unijnej polityki w zakresie sztucznej inteligencji, właśnie z uwagi na regulacje, które UE już zdążyła wprowadzić, to Europa, a nie Chiny czy USA, może wyznaczać nowe

standardy użytkowania tej technologii. Zwraca mi uwagę na projekt standaryzacji pomiaru energii i wody (ma powstać do końca 2026 r.), wykorzystywanych przez konkretne systemy i modele AI.

– Obecnie ta kwestia jest skrajnie niezdefiniowana. Nie wiemy, jak wydajna jest technologia Anthropica w porównaniu z technologią OpenAI, Mistrala lub waszego polskiego PLLuM-u, pod kątem zużycia energii. Dzięki takiej standaryzacji wpływ środowiskowy każdej z firm stanie się jawny i prosty do obliczenia – dodaje.

Proces standaryzacji wskazuje na istotną zmianę w podejściu do sztucznej inteligencji. – Nie chodzi nam o to, by ścigać się z Chinami czy Stanami Zjednoczonymi, czy o to, kto zdoła stworzyć „lepszy" model. Chodzi o to, by znaleźć najbardziej optymalne zastosowanie sztucznej inteligencji w przemyśle, medycynie i codziennym funkcjonowaniu administracji państwowej, ale przy jak najmniejszym wpływie na środowisko naturalne – przekazuje osoba z Komisji.

Jak budować rozsądnie

Również energooszczędne modele sztucznej inteligencji zużywają masę energii elektrycznej. Jak informuje mnie Pękal, w ciągu roku nawet fabryka relatywnie małej wielkości, jak poznański PIAST, pobiera jej niebotyczne ilości. – Roczny rachunek za prąd dla fabryki AI to kilkanaście milionów złotych – zaznacza.

Zdaniem Katarzyny Śledziewskiej, właśnie to będzie jedną z największych zagwozdek rozwoju technologicznego w Polsce. – Ogromnym wyzwaniem będzie nie tylko zapewnienie energii dla nowych centrów danych, lecz także odpowiedź na pytanie, skąd ta energia ma pochodzić i czy można ją dostarczyć do konkretnych lokalizacji? Duża serwerownia jest odbiorcą o wysokim i w dużej mierze ciągłym zapotrzebowaniu na moc. Jej wpięcie w system nie polega na wykonaniu zwykłego przyłącza, lecz wymaga, by lokalna sieć miała odpowiednią przepustowość, stabilność i rezerwę mocy – podkreśla. – Inaczej konieczna może być budowa lub rozbudowa stacji elektroenergetycznych, linii przesyłowych i transformatorów. Oznacza to dodatkowe koszty, procedury oraz czas potrzebny na realizację inwestycji.

Jak informuje mnie Śledziewska, w projekcie planu rozwoju Polskich Sieci



MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA ŚLEDZIEWSKA:

Jeśli centra danych mają służyć wyłącznie jako miejsca wynajmu mocy obliczeniowej dla globalnych przedsiębiorstw, korzyść dla polskiej gospodarki będzie ograniczona.

Energetycznych moc przyłączeniowa centrów danych została oszacowana na wzrost z około 200 MW w 2024 r. do około 3,5 GW w 2036 r. i około 5 GW w 2040 r., co odpowiada zapotrzebowaniu na energię elektryczną na poziomie 0,6 TWh w 2024 r., 17,4 TWh w 2036 r. i 29,4 TWh w 2040 r. Są to na razie założenia planistyczne, jednak ukazują potężną skalę potencjalnej zmiany.

Czy można więc mówić nie tyle o rozwoju cyfrowym, co o rewolucji? Zdaniem ekspertki, budowy pochłaniających energię serwerowni mogą stać się testem dla zdolności całego, dostępnego obecnie w Polsce systemu elektroenergetycznego.

– Według szacunków centra danych mogą odpowiadać nawet za około 7 proc. krajowego zapotrzebowania na energię elektryczną w 2036 r. i około 11 proc. w 2040 r., choć pozostaną mniejszym odbiorcą niż przemysł, którego zużycie energii ma przekroczyć 50 TWh rocznie – mówi Katarzyna Śledziewska.

Przy czym skala poboru wody i energii przez fabryki AI, jak i towarzyszący temu procesowi hałas, wynikający z konieczności ciągłego chłodzenia umieszczonych w serwerowniach procesorów, nie oznacza, że infrastruktury takie jak PIAST czy Gaia muszą jednocześnie wpływać negatywnie na życie społeczności żyjących obok nich. Dlaczego? Według Roberta Pękala powód jest dość prosty: – W przeciwieństwie do głośnej w ostatnim czasie budowy centrum danych w Piasecznie, PIAST powstaje w oddaleniu od gospodarstw domowych – informuje on, dodając, że w celu ograniczenia hałasu, jak i po to, by działać energooszczędnie, liczba generatorów prądotwórczych jest minimalna.

Oblężona stolica

Wciąż nie wiadomo, czy ostatecznie dojdzie do budowy serwerowni w Piasecznie. Pewne jest jednak, że w całej Polsce powstaje coraz więcej centrów przetwarzania danych. Z danych serwisu Data Center Map wynika, że obecnie w naszym kraju jest ich 112, w tym 47 w obrębie stolicy. I właśnie wokół Warszawy znajdują się największe z nich: kampus Data4 w Jawczycach (moc: 60 MW) czy serwerownia ATMAN złożona z czterech kampusów o łącznej mocy 68 MW.

W budowie jest ponad 20 kolejnych centrów. Niektóre, jak choćby projekt w podwarszawskich Regułach (skądinąd największy planowany, o mocy 130 MW), doczekały się zmian z uwagi na protesty lokalnych społeczności. Inne, jak choćby plan inwestycji w Bobrowcach pod Piasecznem (moc nieujawniona), mogą z tego powodu w ogóle nie powstać.

Niezależnie od lokalnych konfliktów, w naszym kraju buduje się coraz więcej infrastruktury stanowiącej podstawę dla rozwiązań w „chmurze" i systemów sztucznej inteligencji. Zgodnie z raportem Polish Data Centre Association w ostatnich trzech latach moc polskich centrów danych podwoiła się i obecnie wynosi ok. 250 MW. Przy utrzymaniu obecnego tempa rozwoju za pięć lat ta wielkość wzrośnie do ok. 550 MW. Jak zaznacza Śledziewska, impet ten może wyhamować z uwagi na coraz większą liczbę regulacji.

Wierzy w to również 20-letnia Wiera, protestująca przed placem budowy na ul. Energetycznej. – Liczy się precedens. Jeśli obok naszego osiedla powstanie centrum danych, innym inwestorom łatwiej będzie tworzyć kolejne takie miejsca i zasłaniać się tym, że skoro samorząd wydał pozwolenie na budowę jednego, powinien wydać pozwolenie na następne – przewiduje, ale zaraz dodaje: – Dopóki serwerownia przy Energetycznej nie stanęła, wszystko można jeszcze powstrzymać.

© MICHAŁ TOMCZUK



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak na Kongresie Dzieci i Młodzieży. Warszawa, 15 grudnia 2025 r.

Z życia wzięte

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PRZEMOC | Każdego dnia około czterdziestki dzieci rozstaje się z biologicznymi rodzicami. Czy te liczby odzwierciedlają skalę wychowawczych patologii, czy może ukazują nadgorliwość służb?

Tę historię, zapamiętaną ze zwykłego spaceru, opowiada mi sędzia rodzinna Dorota Hildebrand-Mrowiec. Zamość, starówka, pani sędzia natrafia na pijanego mężczyznę, który prowadzi „wężykiem" ok. pięcioletniego chłopca. Kobieta prosi o wyjaśnienie sytuacji, ale w odpowiedzi słyszy stek wyzwisk. Wtedy się przedstawia i zapowiada, że jeśli po dziecko nie stawi się ktoś z rodziny, wezwie policję. Mężczyzna na szczęście się uspokaja i obiecuje, że odprowadzi syna do matki.

– Poszłam razem z nimi, a gdy okazało się, że chłopiec jest bezpieczny z mamą, sprawdziłam, czy rodzina ma kuratora. Okazało się, że tak, więc zawiadomiłam go o sytuacji – opowiada Hildebrand-Mrowiec, dodając, że w tym akurat przypadku nie skończyło się na interwencyjnym odebraniu dziecka z rodziny.

Historia, którą opowiada, ma swój oczywisty kontekst. Jest nim niemal bliźniacze zdarzenie z udziałem rzeczniczki praw dziecka, które nie tak dawno obiegło media.

Rzeczniczka kontra matka

14 sierpnia, Monika Horna-Cieślak czeka na autobus na warszawskiej Białołęce. W pobliżu młoda matka szarpie jedno ze swoich dzieci i wyzywa je od „ku...w", Horna-Cieślak podchodzi więc i próbuje interweniować. Matka nie przestaje zachowywać się agresywnie, więc RPD decyduje się wezwać policję (ta sama historia z punktu widzenia matki wyglądała inaczej: kobieta nie szarpała dziecka, tylko chwyciła je, udaremniając wybiegnięcie na ulicę; wyzywała nie dziecko, a wtrącającą się w jej sprawy rzeczniczkę).

Patrol przyjeżdża na miejsce, nie stwierdzając potrzeby zabezpieczenia dzieci. Ale już kolejna interwencja funkcjonariuszy zakończy się odizolowaniem dzieci od rodziców, później unieważnieniem tej decyzji przez sąd i ogólnonarodowym skandalem z oskarżeniami RPD o nadużycie swych uprawnień.

Historie z Zamościa, Warszawy i setek innych miejsc skłaniają do kilku pytań, wśród których tylko jedno – czy należy reagować na krzywdę dziecka na ulicy? – ma oczywistą odpowiedź. Te mniej oczywiste brzmią: czy polskie państwo nie wkracza aby w życie rodzin zbyt pochopnie? A może odwrotnie: wchodzi za późno, przedkładając tradycyjny rodzinny mir ponad ochronę dziecka?

Warianty rozstania

Rzut oka na statystyki może skłonić odruchowo do twierdzącej odpowiedzi na pierwsze z pytań. W zeszłym roku do pieczy zastępczej – a więc sfery, w której z założenia przebywać mają dzieci zagrożone przemocą i zaniedbaniami – trafiło ich 14 410, co przekłada się na liczbę robiącą jeszcze większe wrażenie: niemal 40 przypadków dziennie. Warianty rozstań rodziców z dziećmi mogą być różne – bywa, że nie musi ich w ogóle wymuszać państwo.

Ten pierwszy ma zastosowanie kilkaset razy rocznie: biologiczna matka uznaje, i to zwykle jeszcze w szpitalu, że nie chce albo nie jest w stanie zająć się dzieckiem. Pozostawia je na oddziale, podpisując zrzeczenie się opieki, co skutek prawny zyska po sześciu tygodniach (państwo słusznie zakłada, że ten okres jest konieczny choćby po to, by wykluczyć efekt pochopnej decyzji albo np. depresji poporodowej). Ten wariant ma też nieco bardziej problematyczną wersję: to owiane w Polsce tyleż romantyczną, co wedle wielu ekspertów niezasłużenie

dobrą sławą „okna życia". Podrzucone tu dziecko zyska – podobnie jak to zostawione w szpitalu – szansę na rychłą adopcję, równocześnie jednak tracąc prawo do własnej historii i tożsamości. Polskie prawo nie nakłada bowiem na rodzica zostawiającego w „oknie" potomka choćby obligu sporządzenia krótkiej informacji o pochodzeniu i chorobach dziecka.

W wariancie drugim w życie rodziny wkracza już państwo. To wspomniane interwencyjne zabezpieczenie przez policję i pracownika socjalnego – możliwe tylko wtedy, gdy zaalarmowane służby stwierdzą bezpośrednie zagrożenie życia lub zdrowia dziecka. Ich decyzję musi w ciągu doby potwierdzić sąd, i choć uchylenia wyroków zdarzają się rzadko, to akurat w przypadku afery z RPD właśnie tak było. Wprawdzie zgodnie z medialnymi opisami tej sytuacji służby nie skorzystały z trybu interwencyjnego zabezpieczenia, tylko z izolacji domniemanych sprawców od ofiar, ale efekt był ten sam – dzieci musiały trafić do placówki pieczy zastępczej, a do domu wróciły dopiero po orzeczeniu sądu.

Jest jeszcze jeden wariant, najczęstszy: sąd rodzinny bez interwencyjnego trybu, zwykle na wniosek kuratora i najczęściej po długich staraniach o wyciągnięcie rodziny z kryzysowej sytuacji, wysyła dzieci do rodziny zastępczej bądź placówki. Tu częściej obywa się bez krzyków, dramatów i awantur: rodzina w kryzysie (życiowym, przemocowym, alkoholowym) zwykle od dawna żyje z ryzykiem takiego finału, czasami zresztą to sami rodzice odwożą na koniec swoje dzieci do innej rodziny bądź domu dziecka.

Co musi się wydarzyć, by do umieszczenia w pieczy zastępczej w ogóle doszło? Sama ogólna formułka – zagrożenie zdrowia lub życia – nie oddaje powagi sytuacji, w jakiej znajduje się każdego dnia niemal czterdziestka dzieci w Polsce.

Za kulisami

– Ewidentna przemoc fizyczna, krew i siniaki, zdarzają się rzadziej niż zaniedbania – słyszę od Joanny Luberadzkiej-Grucy, ekspertki i szefowej Fundacji Polki Mogą Wszystko, a także od Aleksandry Szewery-Witkowicz, wieloletniej kuratorki sądowej. Szybko jednak ustalamy, że słowo „zaniedbanie" to zbyt daleko idący eufemizm.

– Przychodzi mi na myśl historia dwuletniej dziewczynki pozostawionej na tydzień wraz z niemowlakiem bez żadnej osoby dorosłej – opowiada Luberadzka-Gruca. – Z jedzeniem, które sama sobie i temu niemowlakowi musiała znaleźć i podać, żeby oboje przeżyli. Takie „zaniedbania" bywają gorsze od przemocy, bo dają dziecku sygnał od dorosłych: dla nas nie istniejesz.

Za „zaniedbaniami", dodaje ekspertka, kryją się dzieci chodzące po sąsiadach, by zdobyć jedzenie. Rodzice zamroczeni alkoholem i leżący w domu. Kilkuletnie dzieci kradnące z głodu w sklepach. – Znam historię młodej mamy, która imprezowała, a dziecko przekazywała z rąk do rąk. I to nie tylko wśród krewnych i znajomych, ale nawet przypadkowych przechodniów na ulicy. Pamiętam też dzieci tygodniami nieprzewijane: odparzone, z ranami, cierpiące fizycznie, choć wcale nie bite.

Często pojawiające się w tym kontekście „zaniedbania lokalowe" (którymi np. młoda mama z Warszawy tłumaczyła w Kanale Zero po aferze z RPD założenie jej w przeszłości tzw. Niebieskiej Karty) też bywają eufemizmami. – Zwykle to przypadki drastyczne, np. policja znajduje w mieszkaniu ogromną ilość robactwa, karaluchy, pluskwy i inne insekty, uznając słusznie, że to zagraża dzieciom – opowiada Joanna Luberadzka-Gruca. – Albo zimą w mieszkaniu nie ma ogrzewania, a dziecko leży w brudnej pościeli bądź w ogóle bez niej. Są w Warszawie rejony, gdzie pracownicy socjalni odwiedzający rodziny ubierają się w odzież ochronną.

Aleksandra Szewera-Witkowicz przez trzy lata pracy jako kuratorka rodzinna (przez pozostałe zajmowała się kuratelą dla dorosłych) miała ich pod opieką ponad setkę. A w kilkunastu przypadkach złożyła do sądu wniosek o zabezpieczenie dzieci. – W żadnym nie pamiętam krwi i siniaków, ale też w żadnym nie miałam najmniejszych wątpliwości, że trzeba ochronić dzieci przed krzywdzeniem przez rodziców – mówi była kuratorka.

A sędzia Dorota Hildebrand-Mrowiec dodaje, że jej spojrzenie na przymusowe oddzielenia dzieci od rodzin ewoluowało. – Kiedyś mi się wydawało, że to najgorsze, co mogę jako sędzia zrobić – opowiada. – Po wielu szkoleniach, głównie z zakresu psychologii rozwojowej dziecka i wpływu przemocy na psychikę wiem, że najgorsze jest zwlekanie z działaniem.

Najtrudniejsza interwencja

Jak te interwencje wyglądają od kulis? – W sieci czasami pojawiają się filmiki, z których wynika, że takie zabezpieczenia to krzyk, płacz i wyrywanie dziecka – mówi Aleksandra Szewera-Witkowicz. – Ja w takich nie uczestniczyłam, za to znam historię trzylatka, który nawet nie powiedział rodzicom „pa", tylko po prostu ze mną wyszedł. Pamiętam dzieci, którym było kompletnie bez różnicy, z kim i dokąd pójdą, co poza wszystkim rodziło wielkie ryzyko skrzywdzenia przez kogoś obcego. Była dziewczynka, która już wcześniej sama sobie wyszukiwała w sieci adresy domów dziecka. A gdy już nastąpił odbiór, uroniła jedną łezkę i powiedziała, że będzie tęsknić tylko za psem. Przy tym nie twierdzę, że umieszczenie dziecka w pieczy nie może traumatyzować, bo na pewno i takie sytuacje się zdarzają.

Właśnie ich próbuje na co dzień unikać sędzia Hildebrand-Mrowiec. Gdy pytam ją o najtrudniejszą decyzję w życiu, opowiada o postanowieniu, które wydała w stosunku do rodziców z intelektualną niepełnosprawnością: – Mama pokłóciła się z tatą, skaleczyła go nożem, a dzieci trafiły do placówki – opowiada zamojska sędzia. – Później rodzice się pogodzili, a szczegółowe badania wykazały, że przyczyną agresji kobiety jest odstąpienie od leków. Zaczęła je znowu brać, w dodatku panie z domu dziecka zeznały, że nigdy nie widziały takiej miłości, jak w czasie wizyt tych rodziców u dzieci w placówce. Podjęłam bardzo trudną decyzję o ich powrocie do rodziny, ale przez co najmniej tydzień gorzej spałam, zastanawiając się, co będzie, jeśli dzieciom stanie się krzywda. Po kilku latach uchyliłam nawet nadzór kuratora, tak dobrze funkcjonowała ta rodzina.

Jednak większość historii rodzin „na granicy", jakie opowiadają kuratorzy czy sędziowie, to przypadki mrożące krew w żyłach – w tych opowieściach margines niepewności co do tego, czy odebranie dzieci było słuszne, jest albo niewielki, albo wręcz nie istnieje.

Dystans od Skandynawii

Co nie uchyla rzecz jasna pytania, czy polski system nie bywa opresyjny ↦

↦ na zapas – pytania zadawanego nad wyraz często przez polityków (głównie prawicy) przy okazjach podobnych do tej z udziałem rzeczniczki praw dziecka. Bo że bywa nad wyraz ostrożny kosztem zdrowia i życia dzieci, wiemy z najgłośniejszych tragedii. Choćby Kamilka z Częstochowy, który już będąc wraz z rodziną w zasięgu radarów służb, był przez ojca m.in. sadzany na rozżarzonym piecu. Albo Blanki z Olecka, którą sąd rodzinny kilka miesięcy przed śmiercią zwrócił matce.

Zarzuty z drugiej strony – że w Polsce masowo odbiera się dzieci „z powodu biedy" – nigdy nie znalazły potwierdzenia w analizach akt. Te prowadzone były m.in. w Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości i wykazały w 2018 r., że do najczęstszych przyczyn interwencyjnego odebrania potomstwa należały: nadużywanie alkoholu (więcej niż co trzeci przypadek), pozostawienie dziecka bez opieki (26,4 proc. spraw), śmierć rodzica lub brak przedstawiciela ustawowego (niecałe 15 proc.), a w następnej kolejności porzucenie, poważne zaniedbanie i przemoc.

– Jesteśmy gdzieś w drodze – mówi po krótkim namyśle Joanna Luberadzka-Gruca, gdy pytam ją, czy polski system zafiksowany jest na „dobru rodziny" kosztem bezpieczeństwa dziecka, czy może bliżej mu już do systemów skandynawskich, uchodzących z kolei za mocno ingerujące w życie rodzin. – Jest już na szczęście większa wrażliwość na zdrowie i dobrostan dzieci, ale przed nami jeszcze daleka droga. Polscy sędziowie są dzisiaj w klinczu. Z jednej strony nie chcą więcej historii takich jak ta z Kamilkiem. Z drugiej wiedzą, że w wielu punktach Polski z odebranymi rodzicom dziećmi nie ma co robić!

Ekspertka nawiązuje do czegoś, co można dziś już nazwać pełzającą katastrofą polskiej pieczy zastępczej: od kilku lat między 1300 a 1900 dzieci ma za sobą prawomocne orzeczenia o umieszczeniu w pieczy, ale nie ma dla nich w tym systemie miejsca, więc pozostają w zagrożonych rodzinach. Od ekspertów można nawet usłyszeć, że sądom rodzinnym zdarza się wstrzymywać z decyzjami o zabezpieczeniu, gdyż wiedzą, że taka decyzja na nic się w najbliższym czasie nie zda. – W efekcie sędziowie mogą być dzisiaj nawet bardziej ostrożni w takich decyzjach, niż byli kiedyś, także gdy są pewni, iż należałoby dziecko oddzielić od rodziców. Sama słyszę od sędziów: „Nie mam alternatywy" – dodaje Luberadzka-Gruca.



KLAUDIA KOMOROWSKA / KLAUDIAFOTOGRAFIA.PL

JOANNA LUBERADZKA-GRUCA:

Mówimy o kryzysach psychicznych młodzieży, ale zapominamy, że niektóre z tych pogubionych dzieci stały się już rodzicami, a ich problemy nie zniknęły.

O jeszcze innym zjawisku dotyczącym sędziów mówi krytycznie Aleksandra Szewera-Witkowicz: – Chodzi o wieloletnie i moim zdaniem bezzasadne oferowanie rodzicom kolejnych szans, a niedawanie szansy dzieciom na wychowywanie się w bezpiecznych warunkach. Z drugiej strony wiem, że na szczęście nie wszyscy sędziowie mają takie podejście.

Mimo to większość ekspertów jest zgodna: kulturowy dystans, jaki dzieli nas od owianej nienajlepszą (czy zasłużenie, to osobne pytanie) sławą Skandynawii, w której o utratę dziecka łatwiej, jest proporcjonalny do dzielącej oba regiony odległości geograficznej.

Tajemnica statystyk

Skoro tak jest, to w jaki sposób wytłumaczyć pewną statystyczną zagadkę? Gdy w ostatnim pięcioleciu lamentowaliśmy nad drastycznym spadkiem dzietności z ponad 300 do ledwie 230 tysięcy narodzin rocznie, wykres umieszczeń dzieci w pieczy zastępczej albo nie chciał drgnąć, albo wręcz szedł w górę (w 2020 r. było ich nieco ponad 11 tys., a w latach 2023-2024 już ponad 14 tys.). Z zestawienia tych dwóch danych płynie prosty i raczej ponury wniosek: polskie państwo odbiera dzieci z rodzin coraz częściej.

I choć jedna z obiegowych hipotez wskazuje na większą wrażliwość służb po wejściu w życie tzw. ustawy Kamilka, Joanna Luberadzka-Gruca w tę hipotezę nie wierzy. – Najbardziej prawdopodobną przyczyną jest według mnie po prostu narastająca skala kryzysów w rodzinach – mówi szefowa Fundacji Polki Mogą Wszystko. – Kilkadziesiąt czy kilkanaście lat temu też były ciężkie kryzysy, ale sprowadzały się one zwykle do przemocy i alkoholu. Dekadę temu doszły nowe czynniki: substancje psychoaktywne i uzależnienie od ekranów. Mówimy wciąż o problemach ze wsparciem psychologicznym oraz o kryzysach młodzieży, ale chyba zapominamy, że niektóre z tych pogubionych dzieci stały się w międzyczasie rodzicami, a ich problemy nie zniknęły.

Jeśli tak, to obok wieszczonego od lat krachu dzietności warto zauważyć też inny kryzys – rodzicielstwa. Dotykający w dużej mierze przedstawicieli pokolenia Zet, do niedawna kojarzonego z wiekiem nastoletnim, dziś jednak obejmującego już niemal polskich trzydziestolatków.

– Warto też czasami spojrzeć innym okiem na niską dzietność w tej generacji – radzi Luberadzka-Gruca. – Nie patrzmy szyderczo i krytycznie na to, że część z nich ogranicza się do posiadania „psiecka", bo może to jest właśnie wyraz ich odpowiedzialności? To pierwsze pokolenie, w którym namysł nad posiadaniem potomstwa jest w ogóle widoczny i słyszalny, dzięki czemu być może unikamy jeszcze większej skali rodzinnych kryzysów.

Na które przeciążone polskie państwo nie miałoby nawet jak zareagować. Bo jego głównym problemem nie jest – wbrew alarmistycznym głosom po aferze z RPD – nieuprawnione wchodzenie z butami do salonu państwa Kowalskich. Już prędzej brak sił i zasobów, by w ogóle wybrać się do nich w odwiedziny, gdy jest to uzasadnione.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Na publicznej kroplówce

STEFAN SĘKOWSKI

SPOŁECZEŃSTWO | Polski sport wyczynowy żyje przede wszystkim z publicznych pieniędzy, choć trudno udowodnić, że medale, stadiony i wielkie imprezy czynią nas sprawniejszymi. Czy nadal powinniśmy topić w nim miliardy?

Gdy korci mnie, by zaproponować ścięcie publicznego finansowania sportu do zera – a chcę to zrobić zawsze, gdy czytam o kolejnym skandalu w sporcie – przypominam sobie mecz kobiecej koszykówki z marca ubiegłego roku, pomiędzy arcyrywalkami z Polskiego Cukru AZS UMCS Lublin oraz KGHM BC Polkowice. Tęgie lanie (128:27), jakie otrzymały urzędujące mistrzynie Polski, nie było zaskoczeniem dla tych, którzy wiedzieli, że drużyna z Dolnego Śląska wystawiła do gry w Lublinie głównie juniorki. Wcześniej naszpikowany gwiazdami krajowego basketu skład rozpierzchł się, ponieważ nie było pieniędzy na pensje – miasto Polkowice przestało płacić dotacje z powodu licznych nieprawidłowości w działalności klubu.

Dziś w Polkowicach nie ma już profesjonalnej żeńskiej drużyny koszykówki, Lublinianki zaś bronią tytułu mistrzyń, który zawdzięczają głównie swoim umiejętnościom, mądrości sztabu trenerskiego i wsparciu wiernych kibiców. Ale gdyby nie pieniądze od spółek skarbu państwa, miasta, urzędu wojewódzkiego oraz od uczelni, nie miałyby gdzie, czym i za co grać. I nie są w tej kwestii odosobnione. Większość klubów męskich i żeńskich grających na najwyższych poziomach rozgrywkowych balansuje jeden błąd księgowy lub słabszy sezon od niebytu.

O tytuł do nazwy

Polski sport wyczynowy zależy od środków publicznych. Sponsorami tytularnymi wszystkich najbardziej popularnych lig męskich i żeńskich – od piłki nożnej, przez siatkówkę, piłkę ręczną i koszykówkę, aż po żużel i hokej na lodzie – są spółki zależne od państwa, takie jak PKO Bank Polski, Tauron, Totalizator Sportowy czy Polska Grupa Energetyczna. Z klubami sprawa jest bardziej złożona; spółki skarbu państwa są sponsorem tytularnym co piątego z nich, spółki prywatne co trzeciego. Informacje dotyczące kosztów takiego sponsoringu rzadko są jawne, jednak z dostępnych danych można wywnioskować, że w zależności od dyscypliny sportowej wahają się od kilku do kilkunastu milionów złotych za rok.

Przykładowo, PGE zawarła w 2024 r. z siatkarskim Projektem Warszawa umowę na ponad 25 mln zł – za umieszczenie marki w nazwie klubu (i inne benefity) na dwa sezony. Szczątkowe dane pozwalają domniemywać, że roczne miejsce w nazwie drużyny grającej w niższej lidze można już kupić za równowartość kawalerki w centrum średniej wielkości miasta.

40 proc. klubów z naszych najwyższych lig zespołowych jest formalnie prywatnych, co piąty kontroluje samorząd. Jednak sama forma własności niewiele mówi o źródłach pieniędzy. Trudno bowiem znaleźć w polskim sporcie zawodowym klub całkowicie odcięty od państwowo-samorządowego ekosystemu: jedni dostają dotacje i pieniądze za promocję miasta, inni grają na miejskich stadionach (np. wszystkie kluby piłkarskiej Ekstraklasy prócz Zagłębia Lubin), jeszcze inni są sponsorowani albo wręcz są własnością spółek z udziałem skarbu państwa, jak wspomniane Zagłębie należące do KGHM.

Szantaż działaczy

Wielu krytykuje takie ekipy, jak pierwszoligowy Bruk-Bet Termalica Nieciecza czy beniaminek Ekstraklasy Wieczysta Kraków, za to, że są sztucznym efektem kaprysu bogatych prywatnych sponsorów, zapominając, że historia wielu zasłużonych dla polskiego sportu drużyn jest również historią wieloletniego wsparcia – tyle że z kieszeni podatników, bez którego niejedna z tych legend dawno by upadła. Można byłoby zakładać, że w takiej sytuacji działacze sportowi będą dwoić się i troić, by dalej otrzymywać środki od państwa i samorządów. W praktyce jednak zachowują się, jakby to oni trzymali państwo w szachu – biorą kasę, ale wielu z nich nie dąży do wewnętrznych reform, a ich federacje wciąż są siedliskiem patologii. Prezesi wiedzą, że kibice zniosą wiele, byle móc się ekscytować sportowymi rozgrywkami. Z kolei władze polityczne ↦



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Uczniowie podczas lekcji WF-u w trakcie konferencji prasowej dotyczącej programu „Aktywna Szkoła". Warszawa, 11 czerwca 2024 r.

↦ boją się radykalnych kroków – dołujący klub z tradycjami czy reprezentacja kraju mogłyby nie spodobać się elektoratowi.

Ryzyko postawienia sprawy na ostrzu noża: albo robicie porządek w federacji, albo państwo odetnie was od publicznych pieniędzy, jest tym większe, że nie wiadomo, czy nie skończyłoby się czasowym zawieszeniem rozgrywek albo dyskwalifikacją reprezentacji Polski w zawodach międzynarodowych.

W świetle lipcowego badania CBOS 37 proc. dorosłych Polaków deklaruje, że jest kibicami sportowymi, a 23 proc. było w pierwszej części 2026 r. przynajmniej raz na jakichś zawodach. Politycy i samorządowcy o tym wiedzą, dlatego lubią pokazywać się w towarzystwie sportowców i składać wielkie obietnice. Działacze klubów też to wiedzą, dlatego chętnie dopieszczają lokalne władze i działaczy partyjnych.

Korzyści na wiarę

Spróbujmy jednak poudawać, że od sportu oczekujemy czegoś więcej niż rozrywki, a od polityków decydujących o wydawaniu pieniędzy publicznych, że nam ją zapewnią. Popieranie rozwoju kultury fizycznej, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży, jest konstytucyjnym obowiązkiem państwa. Na przykład celem programu „Aktywni" Ministerstwa Sportu i Turystyki jest tworzenie „aktywnego i zdrowego społeczeństwa". W jego ramach państwo przeznaczyło 92 mln zł m.in. na rodzinne biegi rekreacyjne, *nordic walking* dla seniorów czy organizację sportu na wsi. Wydajemy więc te pieniądze po to, żeby starsi i młodsi się ruszali, a dzięki temu byli zdrowsi i żyli dłużej.

W tym kontekście warto zapytać, jakie przełożenie na powszechną kulturę fizyczną mają dużo większe fortuny zasilające polski sport wyczynowy? Np. piłkę nożną, przynoszącą społeczeństwu głównie frustracje? Ministerstwo Sportu i Turystyki przeznaczyło w ubiegłym roku na sport i kulturę fizyczną 1,68 mld zł. Dużo więcej wydały samorządy: 11,01 mld zł poszło na utrzymanie i inwestycje w obiekty sportowe (niemal połowa środków), funkcjonowanie miejskich i gminnych ośrodków sportu i rekreacji, czyli np. basenów, stadionów, siłowni plenerowych czy kortów tenisowych, a także dotowanie czy wręcz prowadzenie klubów. Rzeczywiste kwoty są większe, tyle że zaszywa się je w różnego rodzaju wydatkach, np. na kulturę.

Historia wielu zasłużonych klubów jest również historią wieloletniego wsparcia z kieszeni podatników. **Bez niego niejedna z tych legend dawno by upadła.**

Sponsorujący sport samorządowcy każą nam wierzyć na słowo, że występy lokalnej drużyny przekładają się na pozytywny wizerunek miasta. I dlatego warto łożyć na nią także środki przeznaczone na promocję. Najczęściej na potwierdzenie tej hipotezy przedstawia się wyniki badań dotyczących ekwiwalentu reklamowego. Jest to szacunkowa kwota, jaką samorząd musiałby wydać na tradycyjną reklamę, aby uzyskać taką samą ekspozycję swojej marki, jaką osiągnął dzięki wspieraniu finansowemu danego klubu.

Nie dowiemy się jednak, czy te wydatki faktycznie zwiększyły pozytywny wizerunek i popularność miasta. Samorządy rzadko prowadzą badania dotyczące na przykład tego, czy w trakcie wydarzenia sportowego lub po sukcesie lokalnej drużyny zwiększyła się liczba turystów w danej miejscowości i ile pieniędzy w niej zostawili. A jeśli to robią (np. Sopot, Poznań czy Kraków), są to badania bez analizy scenariuszy alternatywnych, przez co może i dowiadujemy się, ile osób w danym okresie przyjechało do miasta, ale już nie wiemy, ilu w tym czasie było „nadmiarowych" turystów w stosunku do sytuacji, w której dane wydarzenie by się nie odbyło.

Budowanie wspólnoty?

Romans polityki i sportu oznacza również inwestycje w mienie trwałe, jak stadiony. Wyglądają pięknie, ale jednocześnie są permanentną kulą u nogi niejednego miasta. Poza Stadionem Narodowym, którego operator osiąga zysk, stadiony wybudowane od podstaw na Euro 2012 przynoszą stratę swoim publicznym właścicielom, ze szczególnym uwzględnieniem stadionu we Wrocławiu. Ktoś mógłby jednak zauważyć, że inaczej mówilibyśmy, gdyby polska reprezentacja w piłce nożnej odnosiła sukcesy na tych pięknych obiektach, a w Polakach rosło poczucie dumy narodowej. Wszak sport może mieć także charakter wspólnototwórczy i wspierać *soft power* państwa. Nic z tych rzeczy. Najnowszy systematyczny przegląd 85 badań, przeprowadzony przez zespół naukowców z Niemiec, i dotyczący wpływu sportu elitarnego na tożsamość narodową i międzynarodowy prestiż – daje rozczarowujące wyniki. Pozytywnych efektów nie da się generalizować, a tam, gdzie występują, są najwyżej umiarkowane i przejściowe.

Może jednak wydatki na sport przyczyniają się do wzrostu zainteresowania aktywnością fizyczną wśród Polaków? Z kontroli NIK dotyczącej wykonania programów realizowanych przez polskie związki sportowe w latach 2019-2024 wynika, że na sport wyczynowy poszło w tym czasie 52,4 proc. wydatków, młodzieżowy 33,5 proc., a powszechny – raptem 14,1 proc. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że „sport młodzieżowy" to zorganizowane szkolenie i zawody zdolnego sportowego narybku, okaże się, że na aktywności rekreacyjne dla całego społeczeństwa poszła tylko co siódma złotówka. Choć warto dostrzec, że sytuacja poprawia się na korzyść sportu powszechnego; wg moich obliczeń w latach 2016-2025 wydatki ministerstwa (urealnione o inflację) na sport wyczynowy i młodzieżowy wzrosły łącznie o 48 proc., a na powszechny – aż o 260 proc.

W tym samym okresie odsetek osób podejmujących w ciągu roku jakąkolwiek aktywność sportową lub rekreacyjną spadł z 46,4 proc. do 43,7 proc., a odsetek osób uprawiających sport regularnie wzrósł z 21,7 proc. do 22,9 proc. Według badań Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego, odsetek dorosłych Polaków z otyłością wzrósł z ok. 11 proc. w 2018 r. do 13,9 proc. w 2025 r.

W tym czasie polscy sportowcy zdobywali medale i tytuły, jednak nic nie wskazuje, żeby miało to znaczący wpływ na naszą aktywność fizyczną. Skoro tak, to może chociaż te 14,1 proc. nakładów na sport powszechny okazało się dobrze wydanymi pieniędzmi?

Wszystko na opak

– Dbanie o rozwój kultury fizycznej nie stało się częścią modelu osiągania szer-

szych korzyści społecznych. Rozwiązaniem tego problemu miała być Strategia Rozwoju Sportu, którą pierwotnie planowano opublikować na początku tego roku – mówi dr Paweł Zembura z AWF w Warszawie. – Lekcje wychowania fizycznego wciąż nie są częścią szerszej profilaktyki zdrowotnej, a szkolenie młodzieży jest często celem samym w sobie. Jako przykład braku koordynacji prac między poszczególnymi ministerstwami dr Zembura pokazuje funkcjonowanie programów „Aktywna Szkoła" Ministerstwa Sportu i Turystyki oraz „WF z AWF" (Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego). – W praktyce były one bardzo podobne i w pewnym momencie zaczęły ze sobą konkurować. Wygrała „Aktywna Szkoła", bo po prostu podniesiono stawki godzinowe dla zaangażowanych w nią nauczycieli – mówi dr Zembura.

Zdaniem eksperta (pracuje obecnie nad polską edycją międzynarodowego badania „Global Matrix 5.0", porównującego aktywność fizyczną dzieci i młodzieży na całym świecie), największy pozytywny wpływ na to, że młodzi się ruszają, mają wciąż lekcje wychowania fizycznego. – Poza szkołą większość aktywności sportowej Polaków zawdzięczamy prywatnym wydatkom. Więcej osób w Polsce ma karty Multisport niż należy do klubów sportowych – konkluduje dr Zembura.

Kulejące efekty

Członków tych ostatnich jest w Polsce ok. 1,4 mln, przy czym część z nich należy do więcej niż jednego klubu. Jak wspierają ich rządzący? Z jednej strony mamy program „Klub", znany w środowisku sportowym pod nazwą „500+ dla klubów", z którego korzysta prawie połowa stowarzyszeń sportowych w Polsce. Dostają one do kilkunastu tysięcy złotych, m.in. na prowadzenie bezpłatnych zajęć. Z drugiej strony jest program „Klub Pro", który trafia do organizacji sportowych osiągających najlepsze wyniki w szkoleniu dzieci i młodzieży.

Niestety, badanie efektów tych wydatków mocno kuleje. Najczęściej otrzymujemy tylko ogólne informacje o tym, że dane wydarzenie w ogóle się odbyło, i o liczbie jego uczestników, jak w przypadku programu „Mały Mistrz" dla uczniów klas I-III. W przypadku innych powszechnych programów bywa, że zasady ich finansowania wymuszają kombinowanie, np. gdy wysokość wypłacanych środków zależy od wyników członków klubu w zawodach. Biorąc pod uwagę, że chodzi o wspieranie powszechnej aktywności fizycznej, nie ma to sensu, bo nie o wyniki tu chodzi. Ale nawet jeśli dzięki publicznym funduszom wyszkolimy przyszłych wyczynowców, sens ten nadal jest wątpliwy, gdyż rodzi patologie. Choćby zachęca do osiągania sukcesów jak najniższym kosztem, poprzez np. blokowanie przejścia zdolnym zawodnikom do wyższych grup wiekowych. Zapewne mogliby się lepiej rozwinąć w konkurencji z silniejszymi, ale z drugiej strony zajęliby gorsze miejsca i przynieśli mniej pieniędzy.

W sumie więc środki na aktywizację ruchową młodych Polek i Polaków rosną, ale rozsiewane są dość przypadkowo i trudno powiedzieć, czy przynoszą jakiś plon.

Zakładnicy sojuszu

Postulat całkowitego ścięcia publicznego finansowania sportu – amatorskiego i wyczynowego – byłby jednak nierealistyczny. W przypadku bezpośredniego łożenia na sport powszechny problemem jest raczej nieefektywność wydawania pieniędzy niż brak celu. W przypadku finansowania sportu wyczynowego, radykalne cięcia wywołałyby złość dużej części społeczeństwa, czyli kibiców-wyborców. Nie pójdzie na to ani władza centralna, ani lokalna.

To jednak nie znaczy, że musimy być zakładnikami sojuszu działaczy i polityków. Możemy od związków i federacji sportowych wymagać więcej, ale też oczekiwać więcej od władzy. Choćby tego, by sport powszechny został wpleciony w szerszą strategię prozdrowotną i społecznie aktywizującą. Sport wyczynowy w Polsce nie zawsze się do tego nadaje. Fakt, z badań naukowych wynika, że gdy oglądamy mecze, zwłaszcza na żywo, możemy czuć się szczęśliwsi. Tyle że efekt ten jest często niwelowany przez porażki, afery korupcyjne czy obyczajowe naszych działaczy. Wiedza o nich niszczy zaufanie u kibiców i to nie tylko do aferzystów, ale także do... sąsiadów. I to powinna być potężna pałka na działaczy. Po co mamy wam płacić, skoro wasze działania atomizują społeczeństwo? Finansowanie sportu w Polsce (na który idą miliardy złotych) może przynosić ogromne korzyści, ale wymaga zupełnie innej kontroli społecznej, niż ma to miejsce dziś.

© STEFAN SĘKOWSKI

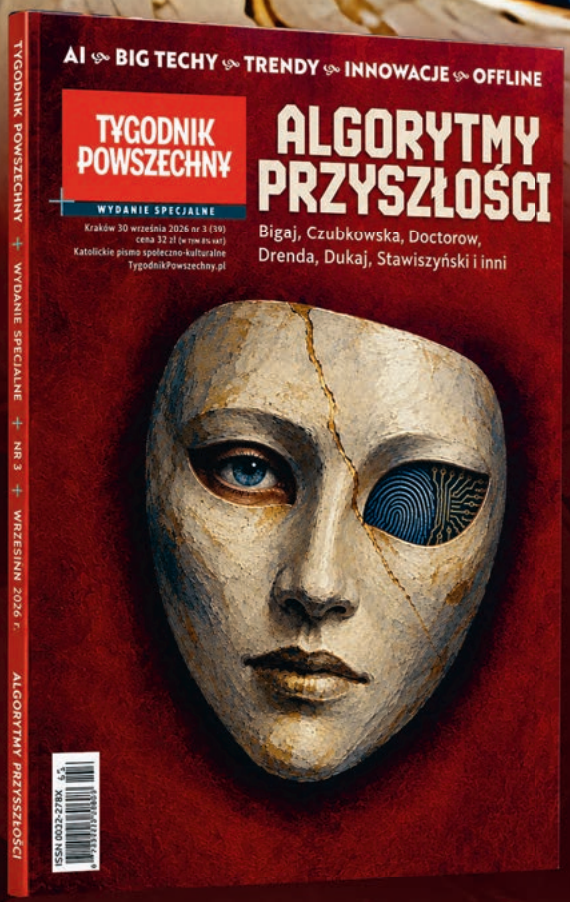


OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ALGORYTMY PRZYSZŁOŚCI

WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



Sztuczna inteligencja już zmieniła nasze życie. Pytanie brzmi: na czyich warunkach?

Choć często się jej boimy, korzystamy z niej każdego dnia. W najnowszym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego” pytamy, czy w starciu z technologią człowiek jest skazany na porażkę, czy przeciwnie – może nauczyć się czerpać z niej to, co najlepsze. Głos zabierają eksperci od funkcjonowania w cyfrowym świecie, m.in. Sylwia Czubkowska, Magdalena Bigaj, Tomasz Stawiszyński, Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński.

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

ZAMÓW ONLINE

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

OLGA

Drenda:

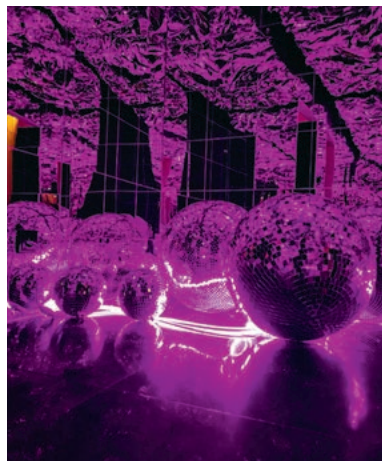
I ty zostaniesz...



ANTROPOLOG JACEK OLĘDZKI, KTÓRY spędził wiele lat wśród różnych ludów świata, ostrzegał, że rozmawiając z kimkolwiek podczas badań terenowych, trzeba mieć na uwadze, że może zmyślać. Ludzie robią to bez przerwy i bez namysłu, dla rozrywki i urozmaicenia monotonii życia. Nieznajomemu można opowiedzieć bardziej przygodową wersję rzeczywistości. Wielu bezwiednie popada w fantazjowanie i robi to bez zastanowienia, a co ciekawsze: bez konsekwencji. Potocznie mówi się „mitoman", choć w ściśle medycznym znaczeniu niepowstrzymana potrzeba mijania się z prawdą, spełniająca kryteria diagnozy lekarskiej, jest rzadka. Częściej mamy do czynienia z czymś, co lepiej nazwać właściwością czy skłonnością wśród ludzi zasadniczo zdrowych, różnie zresztą motywowaną i o różnym stopniu szkodliwości.

Spotkałam w życiu dwie osoby, co do których jestem pewna, że starały się ubarwić swoje życiorysy. Łatwo było to rozpoznać, bo w różnych okolicznościach przedstawiały różne wersje. Tendencja ta łączyła się z męczącym dla otoczenia sposobem bycia, co sprawiało, że ludzie niechętnie podążali za ich opowieściami. Niestety, znam też kogoś, kto wpłacił w dobrej wierze pieniądze na rzecz osoby wprawnie udającej śmiertelnie chorą.

Niektórzy na ujawnienie cudzych zmyśleń reagują złą radością. Cieszą się, że to KTOŚ INNY okazał się łatwowierny. Nie to, co oni, zdroworozsądkowi. Mnie się to od początku wydawało podejrzane! Ale zdrowy rozsądek to miecz obosieczny. Pomaga zadawać niezbędne „naiwne pytania", czasem pozwala zrozumieć, że jakiś pomysł nie ma sensu.



OLGA DRENDA

Świat to gabinet iluzji

Ale to też wielki usypiacz, który służy utrzymywaniu się w dobrym samopoczuciu. Tak, każdy jest najrozsądniejszy, póki nie trafi na swój zestaw magicznych garnków. Myślę o tym często, bo niemal co tydzień trafiam na informacje o kimś, kto okazał się nie tym, za kogo się podawał. „Tygodnik" pisał o pracowniku brytyjskiej uczelni, który prawdopodobnie zmistyfikował część swojego życiorysu i dorobku. Jego historia ma tragiczne zakończenie.

Ale są i ludzie, którzy trwają przy swojej wersji zdarzeń, jakby nic się nie stało. Ostatnio dowiedziałam się, że skądinąd kompetentna osoba uwierzyła komuś, kto też mocno podkoloryzował swoją ścieżkę zawodową. Albo: szefem stowarzyszenia branżowego został człowiek bez uprawnień do pracy w tej branży. Zawsze zdumiewa mnie, jak łatwa bywa mistyfikacja. W końcu gdy ktoś mówi coś o sobie, odruchowo bierzemy to za dobrą monetę. To, w którą stronę ta moneta się potoczy, to już kwestia wystarczającej wiary w siebie. Niesławna Anastazja P. podobno starła swoje nazwisko w dowodzie osobistym i sama wpisała „Potocka".

Najbardziej jednak zdumiało mnie, że aż 60 lat pod przybraną tożsamością spędziła Buffy Sainte-Marie, kompozytorka i piosenkarka, która okazała się nie dzieckiem z rezerwatu Indian adoptowanym przez białych rodziców, lecz odwrotnie – Włoszką, która została symbolicznie adoptowana przez rdzennych Kanadyjczyków już jako dorosła.

Legenda, która miała jej pomóc na scenie, skleiła się zbyt mocno z jej życiem. Do tego stopnia, że oprócz talentu kompozytorskiego zaczęła rozwijać talent w zakresie pozwów o zniesławienie. W błąd wprowadziła kolejne rządy Kanady, rdzennych mieszkańców, widownię Ulicy Sezamkowej, ale najmocniej samą siebie. Takich historii jest wiele. Trwają także dlatego, że inni chcą w nie wierzyć. Dlatego „im dalej od wojny, tym więcej bohaterów".

Pamiętacie film Richarda Attenborough o Szarej Sowie, pionierze ochrony przyrody w Kanadzie? Tego, że ma pochodzenie nie indiańskie, a angielskie, przez lata nie podejrzewała nawet jego żona – Odżibwejka. Ale może jako Anglik nie byłby tak wiarygodny jako rzecznik obrony natury? Attenborough chyba tak sądził, bo jego film jest dla Szarej Sowy bardzo łaskawy. Buffy Sainte-Marie też niekoniecznie tylko korzystała z umiejętnego tkania fikcji, lecz i umiała się dzielić, bo hojnie fundowała stypendia i programy dla wykluczonych dzieci. Jej przypadek również ma zatem w sobie coś z szarości. Ale najbardziej zdumiewające jest jednak życie wymyślonym życiem przez 60 lat. Najciekawsze, jak często udaje się ludziom utrzymać taką fantazję aż do samego końca. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



BEZBOŻNA KOMUNA KRĄŻY PO AMERYCE

Lewica w USA przeżywa swoje pięć minut.
I zmienia swe oblicze: mniej ideologii,
a więcej tematów praktycznych, którymi żyją Amerykanie.
Czy to zaważy na wyborach do Kongresu? I co na to Trump?

MACIEJ JARKOWIEC

Rok temu, w listopadzie 2025 roku, Zohran Mamdani, uśmiechnięty przystojniak, zjawił się niespodziewanie w jednym z manhattańskich kościołów na spotkaniu mało do niedawna znanej organizacji Socjaldemokraci Ameryki (Democratic Socialists of America, DSA).

34-letni Mamdani przeżywał właśnie chwilę światowej sławy po sensacyjnym zwycięstwie w wyborach na burmistrza Nowego Jorku. Chciał przemówić do fanów. Ale nie wpuszczono go od razu za pulpit. Polecono, by jak wszyscy stanął w kolejce i zapisał się na 90 sekund przeznaczone dla mówców. Nie protestował.

„Pokora jest zdrowa" – skomentowała dla „Wall Street Journal" jedna z organi-



WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

Bernie Sanders i Alexandria Ocasio-Cortez są dziś twarzami lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej. Objeżdżają Stany i wspierają socjaldemokratycznych kandydatów do Kongresu.

zatorek. Dziennik napisał, że Socjaldemokraci Ameryki szczycą się rygorystycznym przestrzeganiem zasady równości.

LATO SOCJALIZMU | W ostatnich tygodniach Socjaldemokraci są na ustach politycznego komentariatu w Stanach, bo ich kandydaci, startujący w prawyborach z ramienia Partii Demokratycznej, poniesieni zeszłorocznym triumfem Mamdaniego odnosili kolejne zwycięstwa.

Przed zbliżającym się głosowaniem do Kongresu 3 listopada, ludzie DSA detronizowali weteranów Demokratów m.in. w stanach Nowy Jork, Pensylwania, Kolorado. Najbardziej spektakularne sukcesy odnieśli Abdul El-Sayed w Michigan i Angie Nixon na Florydzie, pokonując w prawyborach do Senatu partyjnych wyjadaczy wspieranych przez potężne kampanijne machiny (budżet Nixon na jej kampanię był 16 razy mniejszy niż jej rywala).

Tygodnik „Time" podsumował, że Ameryka przeżywa „lato socjalizmu".

Nie wszystkich to cieszy. „DSA jest ogromnym zagrożeniem dla Partii Demokratycznej i dla całego kraju. Zamierzają podkopać społeczeństwo i gospodarkę, wywrócić nasz system rządów, łącznie z konstytucją" – to opinia Jamiego Metzla, kiedyś prominentnego członka demokratycznej administracji Billa Clintona.

Podziela ją skostniała waszyngtońska elita z obu stron politycznej barykady. Z tą różnicą, że tam, gdzie tzw. starzy Demokraci widzą zagrożenie, Republikanie dostrzegają szansę – liczą, że w nadchodzącej kampanii rzekomy radykalizm DSA zniechęci wyborców do całej partii demokratycznej.

Sygnał dał Trump. Komentując sukcesy wyborcze kandydatów związanych z DSA, orzekł, iż Demokraci „zamieniają się w partię komunistyczną. To żadna socjaldemokracja, to hardkorowa, bezbożna komuna".

STRASZAK WOKEIZMU | „Woke 1. was crazy". Czyli: „Pierwsza faza *woke* była szaleństwem". Słowa te, rzucone niedawno przez 36-letnią Alexandrię Ocasio-Cortez, członkinię Izby Reprezentantów i gwiazdę lewicy, przyjęły się jako najbardziej skondensowana – i może najtrafniejsza – diagnoza klęski Kamali Harris w 2024 r. Według tej interpretacji, powrót Trumpa do Białego Domu umożliwiło „przegrzanie" przez sztab Harris tematów światopoglądowych.

Słowo *woke* pochodzi od *awake* (obudzić). Już na początku XX w. stosowali je Afroamerykanie – jako hasło nawołujące do rasowej świadomości i oporu przeciw przemocy. W ubiegłej dekadzie wróciło do użytku na fali sprzeciwu wobec brutalności policji. Po śmierci George'a Floyda, uduszonego przez policjanta w Minneapolis w 2020 r., obok hasła „stay woke" (w wolnym tłumaczeniu: otwórz oczy) pojawił się drugi lejtmotyw: „defund the police".

Postulat, by obciąć finansowanie policji, wykorzystała prawica, aby straszyć wyborców radykalizmem lewicy. Pod złowieszczym szyldem *woke* zmieściły się nagle wszystkie tematy kulturowych wojen: rasa, LGBT, #Metoo, dekolonizacja, ciałopozytywność, neuroróżnorodność. W skrajnej percepcji *woke* miał ogarnąć Stany i świat jak ogień, prowadząc do „skomuszenia" społeczeństw i polityków.

W Polsce poseł PiS Marcin Romanowski przygotował projekt ustawy mającej „powstrzymać destrukcyjne skutki neomarksistowskiej ideologii *woke* w Polsce, które uderzają w fundamenty społeczne, rodzinę i edukację", gdyż „zło trzeba zniszczyć u korzeni".

EKONOMIA, GŁUPCZE! | W USA straszak ten stał się kluczowym elementem kampanii w 2024 r. Sztab Trumpa eksponował np. fragment wywiadu, w którym Harris chwaliła się osiągnięciami na polu finansowania przez państwo operacji zmiany płci dla więźniów. „Ona wspiera ICH. Ja wspieram WAS" – wołał Trump.

Odtąd Demokraci szukają sposobów odcięcia się od *woke* i narzucenia nowej narracji. A ostatnie sukcesy Socjaldemokratów Ameryki biorą się stąd, że są w tym skuteczni. Co proponują zamiast *woke*? Hasło znane od początku lat 90. XX w.: „Ekonomia, głupcze!".

DSA narodziła się w 1982 r., na początku rządów Ronalda Reagana, z połączenia grupek pozostałych po antywojennej, antyrasistowskiej i antymieszczańskiej rewolcie lat 60. i 70. XX w. W erze Reagana – rewitalizacji drapieżnego kapitalizmu, kwestionującego rządowe regulacje, podatki i pomoc społeczną – agenda Socjaldemokratów Ameryki ewaluowała w kierunku spraw ekonomicznych. Jak ograniczyć samowładztwo wielkiego biznesu? Jak walczyć z ubóstwem? Jak wyrównać szanse warstw historycznie dyskryminowanych?

Propozycje programowe oparto na doświadczeniach Europy Zachodniej, gdzie po II wojnie światowej udało się utrzymywać względnie stabilny i równościowy system gospodarczy, dzięki włączeniu w mechanizmy rynkowe rozwiązań socjaldemokratycznych.

Przez kolejne dekady neoliberalnego konsensu – za rządów Reagana, Clintona, Busha juniora i Obamy – postulaty DSA nie zjednywały im jednak poklasku. Kilkanaście tysięcy członków DSA oznaczało – w realiach Stanów – organizację marginalną, hobbystyczną. ↦



MICHAEL NAGLE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Zohran Mamdani, burmistrz Nowego Jorku (w środku) i Letitia James, prokurator generalna stanu Nowy Jork (z prawej) na konferencji w ratuszu, 14 września 2026 r. Nowy Jork (miasto i stan) stoi na czele koalicji miast i stanów, które skarżą działania ekipy Trumpa.

↦ **SANDERS W MAINSTREAMIE** | Wszystko zmieniło się po 2008 r., po krachu banków inwestycyjnych, który doprowadził do zapaści w USA i na świecie, największej od Wielkiego Kryzysu z lat 30. XX wieku.

Wtedy na firmamencie polityki zjawił się senator z maleńkiego stanu Vermont (600 tys. mieszkańców), członek DSA. Nie bał się mówić, że demokratyczny socjalizm może uzdrowić skorumpowany system gospodarczy. Nazywał się Bernie Sanders. W prawyborach Demokratów w 2016 r. dostał ponad 13 mln głosów. Wygrała je Hillary Clinton (wspierana przez najbogatszych sponsorów i *establishment* partii), ale Sanders przebił się do mainstreamu z nową opowieścią.

Liczba członków DSA zaczęła rosnąć. Dziś do organizacji należy 120 tys. Amerykanów. Wprawdzie ostatni wzrost zapisów napędzały w dużej mierze protesty przeciw wojnie w Gazie, ale motorem kandydatów związanych z DSA pozostaje ekonomia.

Kampania Mamdaniego (zapisał się do DSA w 2017 r., na rok przed tym, jak dostał obywatelstwo USA) bazowała na prostym przekazie: „Życie w Nowym Jorku jest za drogie. Władze powinny sprawić, że stanie się tańsze". Z taką konstatacją zgadza się większość mieszkańców metropolii. Mamdani obiecał m.in. zamrożenie czynszów, sieć dotowanych sklepów spożywczych, darmowe autobusy.

Dzięki podobnym hasłom kandydaci DSA zyskują w innych częściach USA, bo stagnacja płacy realnej trwa już ponad 40 lat. Rosną za to koszty ubezpieczenia, leczenia, kredytu, długu studenckiego, wynajmu mieszkania, transportu czy codziennych zakupów.

STRAŻAK PORYWA TŁUM | W ostatnich miesiącach Sanders i Ocasio-Cortez objeżdżają kraj, wiecując pod hasłem „Fighting Oligarchy" (pokonamy oligarchię).

W 80-tysięcznej Missouli w Montanie na scenę wchodzi Sam Forstag, strażak z National Forest (odpowiednik Lasów Państwowych). Opowiada, jak polityka Trumpa pochłania jego zapracowane w pocie czoła (dosłownie) dolary, o zwolnieniach ze względu na cięcia etatów federalnych, o pogarszających się warunkach pracy w niebezpiecznym zawodzie (Forstag służy jako *smokejumper*: ląduje na spadochronie w środku lasu, by gasić pożar w początkowej fazie).

Emocjonalna przemowa porywa tłum. Kilka miesięcy później Forstag daje się namówić działaczom DSA na politykę i wygrywa prawybory. Dziś ma szansę zostać kongresmenem – w sondażach idzie łeb w łeb z kandydatem Republikanów.

Jego historia to przykład, jak w klasie pracującej i średniej znika poparcie dla Trumpa. W kampanii 2024 r. miliarder zdobył rząd dusz związkowców, wcześniej głosujących zwykle na Demokratów. Dziś odwracają się od niego, bo nie spełnia obietnic. Koszty życia rosną, inflacja zżera pensje, paliwo drożeje, polityka celna hamuje przemysł i napędza bezrobocie.

Co więcej, ekipa Trumpa zmieniła przepisy o zwolnieniach i nadgodzinach (na niekorzyść pracowników) i uderzyła w prawa związkowe sektora publicznego (pozbawiając ponad milion ludzi możliwości zrzeszania się).

W środku drugiej kadencji Trumpa mało kto wątpi, iż jest on prezydentem wielkiego biznesu, a nie zwykłych ludzi. W sondażach pozytywnie ocenia go ok. 35 proc. Amerykanów (to średnia kilku badań z połowy września). Ostatnim prezydentem, który miał tak niskie poparcie na tym etapie rządów, był Richard Nixon – w szczycie afery Watergate, tuż przed rezygnacją z urzędu.

DWIE STRONY MONETY | Trumpizm pomaga dziś Socjaldemokratom w dwójnasób. Po pierwsze, radykalizm Trumpa mobilizuje siły polityczne na przeciwległym biegunie, czyli lewicę aktywną dalej od centrum niż tradycyjni Demokraci. Po drugie, paradoksalnie, DSA pozyskuje część dotychczasowego elektoratu Trumpa, rozczarowanego jego rządami.

Dzisiejszy wzlot Socjaldemokracji i słabnący trumpistowski populizm – to dwie strony tej samej monety. Oba ruchy dobrze zdiagnozowały problem: że polityczno-gospodarczy *establishment* w USA, bez względu na afiliację partyjną, działa na niekorzyść ludzi pracy. Klasa średnia ma się coraz gorzej, a waszyngtońska elita nie potrafi temu zaradzić.

Propozycje naprawy są różne: albo protekcjonizm, deregulacja i obniżki podatków mające stymulować wzrost (to Trump), albo rządowa interwencja, umorzenie zadłużenia obywateli i rozszerzenie socjalu (to DSA).

Z socjologicznego punktu widzenia kluczowe jest coś jeszcze: znaczenie tradycyjnego podziału na Demokratów i Republikanów zmniejsza się równie szybko, jak rośnie przekonanie, że obie strony są siebie warte. Promuje to kandydatów spoza tego duopolu. Ludzie wypatrują nowych politycznych żywiołów.

Z tego skorzystał Trump. Teraz chcą na tym wygrać Socjaldemokraci.

USA I SOCJALIZM | Zanim zabłysła gwiazda Sandersa, socjalizm (nawet uszlachetniony epitetem „demokratyczny") był

nieobecny w mainstreamie politycznym w USA.

Szukając przyczyn, spójrzmy na pionierską mitologię Stanów. Oto biedni ludzie uciekają do ziemi obiecanej ze Starego Kontynentu, przez wieki trzymanego za mordę feudalną tradycją. Amerykańskie przestrzenie, odebrane rdzennym ludom, są bezkresne i dostępne, ale dzikie. Tylko morderczym wysiłkiem można na nich budować dostatek.

Europejski feudalizm wytworzył coś, co Marks nazwał „świadomością klasową". W Stanach, owszem, dochodziła ona do głosu i do dziś czasem się manifestuje. Ale silniejsza od niej jest wspólna, ogólnonarodowa – o ironio – tożsamość indywidualistów. Twój pradziad, aby przetrwać na prerii, musiał liczyć na siebie. Musiał utrzymać bezwarunkową mobilność, żelazną determinację. Nie pomógł mu rząd, nie pomógł związek zawodowy ani zasiłek.

Kolejne pokolenia imigrantów harują, zdane na siebie. W ten sposób mit *American Dream* kształtuje społeczeństwo, w którym etos pracy i innowacji przedkłada się nad wiarę w umowę społeczną. Rozwiązania, które mogłyby zbytnio dopuścić rząd do indywidualnego wysiłku (w tym opieka społeczna i podatki), są łatwym celem krytyki, wręcz stygmatyzacji.

OD ZENITU DO WSTRĘTU | Historyczny zenit socjalizmu w Stanach to wybory prezydenckie w 1912 r., gdy Eugene V. Debs, charyzmatyczny działacz związków zawodowych na kolei i współzałożyciel Socjalistycznej Partii Ameryki (SPA), zdobył poparcie prawie miliona Amerykanów (było to wówczas 6 proc. wszystkich oddanych głosów). Jego wyborcami byli głównie ubodzy rolnicy z Oklahomy i Teksasu, robotnicy ze stanów górniczych, takich jak Nevada (zdobył tam 16,5 proc.), Montana czy Arizona.

Socjalistyczna Partia Ameryki obsadziła w tamtym okresie ponad tysiąc stanowisk publicznych w całym kraju, miała 79 burmistrzów i dwóch kongresmenów.

Jej upadek nastąpił po tym, jak Stany włączyły się w I wojnę światową, a Debs trafił na 10 lat do więzienia za podżeganie do buntu w siłach zbrojnych (sprzeciwiał się wprowadzonemu wtedy poborowi).

Potem, w czasie Wielkiego Kryzysu, prezydent Roosevelt był oskarżany o socjalizm przez krytyków. Ale choć jego *New Deal* realnie pomógł milionom ludzi – dzięki dotacjom do rolnictwa czy tworzeniu miejsc pracy przy infrastrukturalnych projektach – był on w istocie programem ratunkowym dla kapitalizmu. Roosevelt postrzegał siebie jako zbawcę systemu kapitalistycznego w obliczu wzbierających sił komunizmu i faszyzmu. Jego ustawa z 1933 r. ocaliła banki przed upadkiem.

Później, w czasie zimnej wojny, terminy „socjalizm" i „komunizm" stały się w USA tożsame – i równie wstrętne.

PRESJA LEWEJ FLANKI | Dziś jednak do wyborów idą ludzie, którzy nie pamiętają rywalizacji USA z Sowietami. Sensacyjny sondaż Gallupa z 2018 r. pokazał, że w grupie wiekowej 18-29 lat pozytywny stosunek do socjalizmu deklaruje aż 51 proc. badanych, a do kapitalizmu 45 procent. W najnowszych danych Cato Institute (czerwiec 2026 r.) wynik kapitalizmu nie drgnął, a sympatia dla socjalizmu wzrosła o dwa punkty.

Badacze przekonują, że młodzi nie utożsamiają dziś socjalizmu ze Związkiem Sowieckim, lecz z darmowymi studiami i służbą zdrowia. Z kolei najczęstsze skojarzenia z kapitalizmem to „wyzysk" i „monopole". Socjaldemokratom w USA sprzyjają więc zmiany pokoleniowe, stagnacja klasy średniej i zmęczenie elitą polityczną.

Choć w skali kraju kandydaci popierani przez DSA stanowią kroplę w morzu, to jednak realny wpływ Socjaldemokracji na agendę Partii Demokratycznej systematycznie rośnie od ponad dekady, gdy na arenę wkroczył Sanders.

Presja lewej flanki wymusiła wpisanie do programu m.in. takich spraw jak podniesienie płacy minimalnej, ułatwienia dla działalności związków, darmowe studia na uczelniach publicznych dla najbiedniejszych rodzin, umorzenie długów studenckich, publiczna opcja ubezpieczenia zdrowotnego, regulacja cen leków. Część tych postulatów, choć niewielką, wprowadziła w życie administracja Joego Bidena.

WYBORY 2028 | Pozostaje problem przywództwa. Sanders piastuje rolę ojca założyciela nowoczesnej amerykańskiej Socjaldemokracji. Ale fakty są takie, że dwa razy przegrał batalię prawyborczą w wyścigu o prezydenturę i skończył 85 lat.

Sanders objeżdża Stany razem z Alexandrią Ocasio-Cortez, która jest dziś najbardziej wyrazistą osobowością lewicy. Nie wykluczyła startu w wyborach w 2028 r. Jej atutem jest młodość. Kilka lat zostało jej do czterdziestki, a już zebrała spore doświadczenie. Tymczasem za dwa lata wyborcy będą mieli za sobą dwie rozczarowujące prezydentury seniorów: Bidena (rocznik 1942) i Trumpa (rocznik 1946).

Część analityków nie daje Ocasio-Cortez szans, uważają ją za zbyt radykalną. Powtarzają kliszę publicystyczną, że prezydenturę w Stanach wygrywa się, zdobywając głosy umiarkowanych wyborców. Zapominają, że Trump dwukrotnie obalił tę tezę. Sporo można o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że stroni od radykalnych propozycji.

PRÓŻNIA PO TRUMPIE | Partyjne i ideologiczne nalepy tracą więc dziś moc. Zyskuje ten, kto wyrywa elektorat z przewidywalnej dwupartyjnej nudy. Mamdani zrobił to w Nowym Jorku, Trump w całej Ameryce. Przed Trumpem zrobił to Obama (w innym stylu oraz z odmienną wizją Ameryki). Tak różnych polityków łączy to, co nazywa się charyzmą.

John F. Kennedy uchodzi za protoplastę charyzmatycznych polityków współczesności, pierwszego politycznego celebrytę. Przyciągał ludzi, „jakby łączyły go z nimi niewidzialne sznurki" – pisał David A. Bell, historyk z Princeton (w książce „Men on Horseback. The Power of Charisma in the Age of Revolution").

Bell twierdzi, że charyzmę tworzą okoliczności. Charyzmatyczny lider zjawia się, gdy wymaga tego chwila dziejowa lub gdy społeczeństwo odczuwa zmęczenie, gdy tworzy się próżnia. Następuje wtedy sprzężenie zwrotne: wyborcy odczuwający potrzebę zmiany lub silnego przywództwa swoim uwielbieniem napędzają charyzmę wybranka bądź wybranki.

Za dwa lata wytworzy się ogromna próżnia po erze Trumpa. Pytanie: kto i co ją wypełni? Jaka osobowość, idea?

Być może Socjaldemokraci staną przed historyczną szansą. Pierwszy test charyzmy ich nowych gwiazd już 3 listopada.

© MACIEJ JARKOWIEC

Autor jest reporterem i eseistą. Wydał książki, m.in. „Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka" (2021) i „Na bulwarach czyhają potwory. Filmowa historia Ameryki" (2024).

Barbarzyństwo za zasłoną

WŁODZIMIERZ WRÓBEL

USA | Nieudana egzekucja Christie Pike przypomina, jak głęboka przepaść dzieli dziś USA i Europę w podejściu do kary śmierci.

W środę 30 września w stanie Tennessee próbowano wykonać karę śmierci na Christie Pike, skazanej w 1996 r. za popełnione rok wcześniej zabójstwo 19-letniej Colleen Slemmer. Na egzekucję Pike czekała blisko 30 lat. Ta się nie powiodła, gdyż mimo podania dwóch dawek pentobarbitalu, serce skazanej nie przestało bić. Według jej prawników wyraźnie cierpiała, po czym nieprzytomna trafiła do szpitala w Nashville i została podłączona do respiratora.

Departament więziennictwa ograniczył się do oświadczenia, że protokół nie przewiduje dodatkowych procedur, i nie wyjaśnił, ani dlaczego trucizna nie zadziałała, ani czy stan podejmie kolejną próbę.

To nie pierwszy taki przypadek. W maju tego roku Tennessee odroczyło egzekucję Tony'ego Carruthersa, gdy nie zdołano znaleźć żyły. W 2022 r. nie powiodła się próba stracenia Kennetha Smitha w Alabamie; dwa lata później uśmiercono go metodą hipoksji azotowej. Mimo to Sąd Najwyższy USA dotąd nie wstrzymywał powtórnych egzekucji. Warto przy tym pamiętać, że obecnie kara śmierci wykonywana jest w USA głównie przez podanie dożylne trucizny – w tym roku takich egzekucji wykonano 29.

LOGIKA ODWETU | Dla europejskiego obserwatora scena ta jest nie do przyjęcia, a problemem nie jest pojedynczy błąd techniczny, lecz sama instytucja kary polegającej na zadawaniu śmierci innej osobie w majestacie prawa, przy udziale rodziny ofiary, przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości i lokalnej społeczności, którzy cały ten spektakl oglądają jak w makabrycznym teatrze.

Kara śmierci jest dziś w kulturze europejskiej zdarzeniem barbarzyńskim i kulturowo obcym, a zniesiono ją nie dlatego, że przestępstwa złagodniały, lecz dlatego, że przesunął się próg tego, co wolno uczynić człowiekowi. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznaje samo wieloletnie oczekiwanie w celi śmierci za nieludzkie traktowanie, więc państwa europejskie odmawiają wydania do USA osób, którym grozi taki los. Co stanowi nie gest, lecz granicę kulturową.

Przypadek Pike obnaża mechanizm tej kary, bo po 30 latach wykonuje się ją wobec kogoś innego niż osoba, którą skazano, a nikt nie zapytał, czy 50-letnia dziś kobieta jest wciąż niebezpieczna. Dawny argument o niebezpieczeństwie sprawcy stracił znaczenie, skoro izolację zapewniają inne środki. Pozostaje po nim już tylko populistyczny odwet w duchu „oko za oko".

KWESTIA WARTOŚCI | Osobnym problemem jest dopuszczalność powtórnej egzekucji. Dolegliwość kary śmierci nie polega bowiem na samym momencie zgonu, ale na oczekiwaniu wykonania kary i świadomym przeżywaniu przebiegu samej egzekucji. Ponowna egzekucja jest w związku z tym ponownym zadaniem tego samego cierpienia, kolejnym ukaraniem za ten sam czyn.

Doktryna amerykańska takie rozumowanie odrzuca, gdyż liczy się dla niej nie cierpienie skazanego, lecz obiektywny skutek. Na zarzut, że takie postepowanie jest okrutne, Sąd Najwyższy USA już w 1947 r. orzekł, iż okrucieństwo zachodzi tylko wtedy, gdy zadaje się je celowo. W ten sposób zmiana definicji słowa „okrucieństwo" uwolniła sąd od dylematu moralnego.

Tego nie da się zracjonalizować, bo choć można przytaczać argumenty empiryczne i filozoficzne – w Europie karę śmierci znoszono zwykle wtedy, gdy większość opinii publicznej była jeszcze „za", a abolicja w żadnym kraju nie podniosła liczby zabójstw, co odbiera populistom ich jedyny racjonalny argument – to ostatecznie pozostaje ona wyborem kulturowym, herbertowską „kwestią smaku". Nie bez znaczenia dla naszych ocen kulturowych jest też chyba fakt, że konstytucja USA nie zna pojęcia godności człowieka jako fundamentalnej wartości ustrojowej.

MIARA DYSTANSU | Warto o tym wszystkim pamiętać także w Polsce, gdzie ostatni raz przywrócenia kary śmierci domagał się Lech Kaczyński jako minister sprawiedliwości, a stosowny projekt zmiany Kodeksu karnego złożył klub PiS w 2004 r. Był to klasyczny przejaw populizmu, nakierowany nie tyle na realne zmiany w prawie, ile na zarządzanie emocjami społecznymi dla zdobycia władzy.

Kiedyś „Krótki film o zabijaniu" Krzysztofa Kieślowskiego z 1987 r. pokazał ze szczegółami, jak wygląda wykonywanie kary śmierci w ówczesnej PRL, co w istotny sposób wpłynęło na ostateczne zniesienie tej kary. Dziś sceny z Tennessee, mimo stosowanych zasłon, choćby miały one charakter nie faktyczny, a intelektualny, pozostają niezrozumiałe i bulwersujące. Co jest miarą naszego dystansu i drogi, jaką na Starym Kontynencie przebyliśmy. ©

Autor jest sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego, kierownikiem Katedry Prawa Karnego UJ.



„Błogosławieni miłosierni": pastor Kevin Riggs protestuje przed siedzibą władz stanu Tennessee przeciw egzekucji Christy Pike. Nashville, 27 września 2026 r.



ETTORE FERRARI / EPA / PAP

Wicepremier Matteo Salvini i generał Roberto Vannacci (z prawej) podczas kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego – w czasach, gdy byli jeszcze politycznymi sojusznikami. Rzym, kwiecień 2024 r.

Rzymskie aluzje

PAWEŁ BRAVO

WŁOCHY | Roberto Vannacci, generał w stanie spoczynku, przebojem wszedł do polityki i skomplikował rządy Giorgii Meloni. Kim jest człowiek, który mówi, że nie miałby problemu z braniem pieniędzy od Putina?

Giorgia Meloni jest najdłużej urzędującym premierem w historii powojennych Włoch – 22 października mina cztery lata od jej zaprzysiężenia. Jak na ten kraj, to wyjątkowe osiągnięcie. I jeszcze parę miesięcy temu trudno było znaleźć kontrargument, gdy dawała do zrozumienia, że chce podwoić ten wynik.

Dziś to niepewne, a cios może paść z zaskakującej strony: od kogoś, kto w innych warunkach mógłby być sojusznikiem. Mowa o partii, którą ledwie tej wiosny założył pewien generał w stanie spoczynku, bez doświadczenia w polityce. Ten debiutant na skrajnie prawicowej europejskiej scenie, wielce niepokojący, zapewnia, że tylko usiłuje sprowadzić Meloni i jej ekipę na właściwy kurs, że jedynie przypomina ich hasła z 2022 roku.

Nie jest to znowuż wielka przesada. Choć z zastrzeżeniem: inaczej niż Meloni, Roberto Vannacci, lider partii Przyszłość Narodowa, jest promoskiewski, antynatowski i nie ma problemu z deklaracją, że brałby pieniądze od Rosji, gdyby prawo na to pozwalało.

Owszem, może się okazać, że Vannacci to polityczna kometa, że niewiele ostanie się z jego wskaźników poparcia do wiosny 2027 r. (gdy pewnie będą wybory), i że jego zbieranina drugorzędnych działaczy, wywodzących się z innych partii i z niezaspokojonymi ambicjami, nie zamieni się w profesjonalną formację.

Jednak nawet wtedy wszyscy będą o nim długo pamiętać. A skutki jego obecności wykroczą daleko poza to, co zwykle osiąga polityk z jednocyfrowymi sondażami.

CZTERY LATA TEMU | Aby zrozumieć fenomen Vannacciego, trzeba spojrzeć na kontekst rzymskiej polityki.

Aż trudno dziś uwierzyć, jak wielki pesymizm panował w wielu stolicach Europy, gdy Meloni przejmowała rządy. Po pierwsze, jej partia Bracia Włosi, która w 2022 r. zapewniła sobie większość jako największy udziałowiec centroprawicowej koalicji, powstała – co jej stale wypominano – z resztek po ugrupowaniu postfaszystowskim (co prawda „przepranym" ideologicznie, aż do całkowitego wybielenia na kształt zwykłej europrawicy).

Po drugie, Bracia Włosi byli wówczas nowicjuszami. Jako jedyni nigdy wcześniej nie uczestniczyli w karuzeli stanowisk i podziale łupów, cechujących system włoskiej polityki – od 30 lat zdominowanej przez wąską talię tych samych środowisk, tasujących konfiguracje.

W swojej koalicji Meloni miała co prawda dwóch wyjadaczy. Ekspremier Silvio Berlusconi, niegdyś miliarder, był pionierem traktowania polityki jak przedłużenia biznesu, ale w 2022 r. był u kresu życia. Coraz słabszy był też drugi junior partner: Matteo Salvini, wcześniej rozgrywający włoskiej prawicy jako szef Ligi, kiedyś znanej z przydomka „Północna" (partii ponad tradycyjnymi podziałami, pierwotnie postulującej większą samodzielność bogatej Północy, a potem „rozciągniętej" na cały kraj pod nacjonalistycznym szyldem, w modelu podobnym do francuskiego Zgromadzenia Narodowego).

W 2022 r. także jego gwiazda dogasała. Choć Liga pozostaje silna na regionalnym szczeblu i ma kilku wytrawnych administratorów – rządzących sprawnie w Lombardii czy Wenecji Euganejskiej – to nie mają oni „rzymskich", tj. ogólnowłoskich ambicji.

BILANS KADENCJI | W wymiarze rzymskim jednak, jak się rzekło, debiutantka Meloni szybko zdominowała obu koalicjantów i pozytywnie zaskoczyła pesymistów. Narzuciła odpowiedzialną politykę fiskalną, chcąc zamknąć jeden z frontów sporu z Komisją Europejską. Być może okazała się tak skora do uległości także po to, by mieć więcej pola manewru w „miękkich" kwestiach kulturowych. Faktem jest jednak, że w 2025 r. zabrakło tylko jednej dziesiątej punktu, by deficyt budżetowy wrócił pod unijny próg trzech procent.

Co zaś tyczy się kulturowych kontrrewolucji: poza rytualnym biciem piany, jej rządy nie naruszyły nic w liberalnym konsensusie. A nawet wprowadziły do Kodeksu karnego przestępstwo kobietobójstwa, co w kraju, który hołduje ↦

↦ silniejszym niż w Polsce wzorcom hierarchii w rodzinie, było posunięciem zgoła radykalnym.

Także w kwestii zdławienia migracji Meloni więcej pomstowała, niż realnie dokręcała śrubę. Kontynuowała praktykę przekupywania libijskich watażków, by pilnowali swoich brzegów. W szumnie roztrąbionym ośrodku deportacyjnym w Albanii przez większość czasu strażnicy opiekują się bezpańskimi psami, bo włoskie sądy raz po raz blokowały próby wywiezienia tam ludzi, którym odmówiono azylu.

BIEG W MIEJSCU | Z polskiego punktu widzenia istotne było, że Meloni bez wahania opowiedziała się po stronie natowskiej (czego nie dało się powiedzieć o Berlusconim i Salvinim) i wspierała Ukrainę w jej walce z rosyjską inwazją.

Podsumowując cztery lata rządów Meloni, krytycy zarzucali jej, że „biegnie w miejscu": dużo mówi, ale stara się nie naruszać, jeśli nie musi, *status quo* i delikatnej siatki wpływów. I że nie była w stanie przeprowadzić żadnej z ambitnych reform ustrojowych. Obiecywała m.in. system kanclerski, nową ordynację (dającą więcej do powiedzenia wyborcom, a nie partyjnym baronom), reformę niewydolnego i upolitycznionego wymiaru sprawiedliwości.

Nic z tego się nie zmaterializowało, a na froncie „powrotu do tradycji" oraz obrony tożsamości i granic jej wyborcy mogli czuć się zawiedzeni.

Gdy Vannacci wrócił z placówki w Moskwie, został zesłany na boczny tor. Dowództwo wojskowe **uznało go za zbyt zbratanego z Rosjanami.**

Po tym, jak wiosną przegrała referendum w sprawie reformy sądownictwa, Meloni zajęła się już tylko jednym: przepchnięciem ordynacji wyborczej, nie bardzo zgodnej z obietnicami, ale dającej jej pewność drugiej kadencji dzięki tzw. premii większościowej. I wszystko toczyłoby się dalej w tym zatrzymanym biegu, gdyby nie nagłe wejście generała.

GENERAŁ | W polityce Vannacci, rocznik 1968, zjawił się znikąd. Wcześniej jako zawodowy oficer nie mógł jawnie uprawiać takiej działalności.

Po szczeblach kariery piął się w oddziałach desantowych, był w Iraku, Afganistanie i na Bałkanach. Na temat odejścia z armii opowiada wersję, jakoby po awansie generalskim zadarł ze sztabem i ministerstwem, bo składał skargi na szkody zdrowotne, które jego żołnierze mieli odnosić wskutek kontaktu ze zubożonym uranem w pociskach. Z kolei dziennikarze dotarli do świadków z jego otoczenia, którzy twierdzą, że sam podjął decyzję o porzuceniu armii po tym, jak zrozumiał, że nie ma szans na dalszą karierę.

Tak czy owak faktem jest, że w 2021 r. Vannacci trafił jako *attaché* do Moskwy, czyli na prestiżowy boczny tor. Tam okazało się, że dogaduje się ciepło z gospodarzami i podejmuje inicjatywy wykraczające poza zwykłą aktywność ataszatu, korzystne raczej dla Rosji. Z kłopotliwej sytuacji jego zwierzchników wybawili sami Rosjanie, wyrzucając go wraz ze sporą liczbą personelu ambasady jesienią 2022 r. – była to retorsja za podobny krok, podjęty w Rzymie wobec rosyjskich dyplomatów (w reakcji na masakrę w Buczy).

Po powrocie Vannacci został zesłany do wojskowej kartografii – dowództwo i służby miały uznać go za zbyt zbratanego z Rosjanami i przez to niepewnego (pisał o tym dobrze poinformowany dziennikarz Bruno Vespa).

W sierpniu 2023 r. generał opublikował książkę „Świat na opak": traktat wymierzony w liberalne elity i „terror politycznej poprawności", pełen otwarcie wyrażanego rasizmu, seksizmu, homofobii i nienawiści do obcych i wszelkich odmieńców (ci, jak np. niepełnosprawne dzieci, powinni być izolowani). Oraz podziwu dla Rosji, gdzie co prawda jest dyktatura, ale za to porządek na ulicach, a imigranci się nie panoszą.

ZNAK X | Wojsko się natychmiast od tej publikacji odcięło i zawiesiło generała. Co dziwne, książka nieznanego autora

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **WARSZAWA,** czwartek 8 października godz. 18.00, sala KIK (ul Freta 20/24A, II piętro), „15 lat minęło – jacy byliśmy, kim jesteśmy, gdzie zmierzamy", spotkanie jubileuszowe Klubu warszawskiego.
- **GLIWICE,** czwartek, 8 października godz. 17:00, Stacja Artystyczna Rynek, spotkanie z Tomaszem Stawiszyńskim „O agresji w życiu publicznym", rozmowę poprowadzi Jarosław Makowski.
- **POZNAŃ,** sobota 10 października godz. 16.30, Salonik u Wszystkich Świętych (parafia pw. Wszystkich Świętych, ul. Grobla 1), spotkanie z cyklu Pytania Powszechne „Jak tworzyć wspólnotę społecznie zaangażowaną?", z udziałem Danuty Kuroń.
- **SŁUPSK,** środa 14 października godz. 17:00 w Miejskiej Bibliotece Publicznej (ul. Grodzka 3), „Od Leona XIII do Leona XIV – Rozwój Katolickiej Nauki Społecznej", spotkanie z udziałem ks. prof. Henryka Skorowskiego UKSW.

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

– wydana samodzielnie, w środku wakacji, z kiepską okładką, bez reklamy – sprzedała się w niecały miesiąc w nakładzie 100 tys. egzemplarzy (dając autorowi pół miliona euro na czysto). Żaden znawca rynku do dziś nie wyjaśnił tego dziwnego fenomenu i nie wskazał, jaka niewidzialna siła była w stanie pomóc tytułowi.

W każdym razie o generale zaczęło być głośno. Zaczął zyskiwać popularność jako ten, kto „wali prosto z mostu prawdy, których partie uwiązane rządzeniem nie mogą mówić".

W 2024 r. Salvini, tracący na popularności, zaproponował Vannacciemu start z listy Ligi do europarlamentu. Ten zebrał pół miliona głosów i uratował tym Ligę przed wyborczą katastrofą (choć i tak dostała tylko 9 proc., gdy pięć lat wcześniej miała 34 proc.). W nagrodę został wiceprezesem partii.

W Lidze zrodziło to jednak napięcia – zwłaszcza wśród starych działaczy z Północy, których odpychała retoryka generała, coraz śmielej flirtująca z faszystowskimi skojarzeniami. W kampanii zachęcał on, by stawiać przy jego nazwisku znak X, nazywając go „rzymską dziesiątką". To aluzja do Dziesiątej Flotylli MAS: pretorian Mussoliniego, zasłużonych w walce u boku Niemców po 1943 r. Z kolei ręce skrzyżowane w kształt litery X są we Włoszech znakiem analogicznym do salutu rzymskiego (ten znak jest legalny, gdy za salut może grozić grzywna).

Być może niektórzy działacze Ligi po cichu podzielali jego pomysły. Ale wiedzieli, że jeśli chcą tkwić u władzy, muszą się maskować.

NOWA PARTIA | Vannacci spróbował przejąć kontrolę nad Ligą. Gdy mu się to nie udało, w lutym tego roku wystąpił i założył własne ugrupowanie: Futuro Nazionale (Przyszłość Narodowa).

Stopniowo przyciąga do niego działaczy z drugich szeregów partii tworzących koalicję rządzącą. Udało mu się też skaptować już parunastu posłów. Otwarcie deklaruje, że chce być „włoską AfD". Przy poparciu rzędu 7-8 proc. to jeszcze długa droga. Niedawno odbyły się w Kalabrii wybory uzupełniające do parlamentu – pierwsze, w których Przyszłość Narodowa startowała pod swoim szyldem. Mimo wystawienia popularnego lokalnego polityka, nie przebiła pułapu 10 procent.

Jednak przez sam fakt działania już poza niszą, Vannacci jest zdolny determinować działania Meloni. Pod jego wpływem zaostrzyła retorykę antyimigrancką, wprowadziła limit 30 proc. „obcych" dzieci w każdej klasie (niemożliwy do wdrożenia, więc tak sformułowany, że zostanie na papierze). Aby nie drażnić silnego skrzydła „pokojowego" wśród fanów generała, przestała też eksponować swój udział w koalicji wspierającej Kijów.

RZYMSKIE RACHUBY | Przejmowanie niektórych projektów skrajnej prawicy przez osiadłe partie centrowe to strategia ćwiczona w wielu krajach – z wątpliwym efektem. Jednak Meloni zdaje się nie mieć innego wyjścia.

Zanim Vannacci się usamodzielnił, przygotowała reformę ordynacji, dającą jeszcze większą premię zwycięzcy, o ile przekroczy 42 proc. głosów. Wtedy ten pułap zdawał się dla jej koalicji bezpieczny. Jednak jeśli Przyszłość Narodowa urwie choćby siedem punktów, to wprawdzie nie osiągnie wielkiego sukcesu, ale *de facto* wręczy palmę pierwszeństwa, a więc premię mandatową, centrolewicy. Bez idei i mocnych liderów, i czasem powtarzającej retorykę Rosji (ale to już temat na inną analizę).

Vannacci śle do Meloni sygnały: zamiast liczyć, że stracę poparcie, weź mnie do koalicji, a zapewnię ci wygraną. Na razie warunki, jakie stawia – nienegocjowalne punkty programu – są dla niej nie do przyjęcia, jeśli nie chce stracić dorobku „dediabolizacji", jaki pracowicie gromadziła przez cztery lata.

Są więc w rzymskich korytarzach władzy cynicy, którzy sądzą, że po cichu Meloni liczy (albo i prowadzi machinacje), by reforma ordynacji, jej dzieło, oczekująca tylko na ostatnie głosowanie w parlamencie, jednak właśnie wtedy przepadła. Wszak nie brak posłów, którzy są niezadowoleni z nowych zapisów.

Gdyby tak się stało, generał Vannacci mógłby dopisać sobie wirtualną gwiazdkę na swoich (emeryckich już) pagonach. © PAWEŁ BRAVO

MATERIAŁ PARTNERA



ANTONI WITWICKI

Konferencjom z cyklu „Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej" towarzyszy gala wręczenia Nagród im. bp. Tadeusza Pieronka „In Veritate" za wybitne postawy i osiągnięcia w łączeniu wartości chrześcijańskich i europejskich. Pamiątkowe zdjęcie z tegorocznymi Laureatami, prof. Ireną Lipowicz oraz prof. Myrosławem Marynowyczem

Po latach funkcjonowania na obrzeżach kościelnej orbity konferencja Fundacji bp. Pieronka i Europejskiej Partii Ludowej (EPP) powróciła na tory, jakie wyznaczył jej pomysłodawca, bp Tadeusz Pieronek. Miało to swoje konsekwencje choćby w składzie gości oficjalnie reprezentujących Watykan (np. wpływowy bp Paul Tighe z Kongregacji ds. Kultury i Edukacji, uważany za jednego z autorów ostatniej papieskiej encykliki). W konsekwencji pojawiły się tematy, które bezpośrednio odnoszą się do kwestii dialogu Kościoła ze światem, nie tylko w wymiarze duchowym (o czym mówiono w przeszłości), ale technologicznym oraz politycznym. Przy okazji okazało się, że partner konferencji, czyli EPP, to środowisko znacznie bardziej zróżnicowane i konserwatywne niż politycy KO. Wyraźnie zaznaczył swoją obecność na tym forum kard. Grzegorz Ryś, uznając inicjatywę za dobre miejsce debaty o wyzwaniach, jakie czekają Kościół. Dowiedzieliśmy się też, że metropolita krakowski był, obok obecnych na konferencji prawosławnego abp. Nikitasa, metropolity Londynu, i księdza Anne Burghardt, sekretarz generalnej Rady Światowej Federacji Luterańskiej, współautorem „Europejskiej Karty Ekumenicznej", jednego z najważniejszych współczesnych dokumentów łączących wszystkich chrześcijan. KS. KAZIMIERZ SOWA

Byle nie urazić prezydenta

BARTŁOMIEJ MAYER

ROSJA | W neototalitarnym państwie Putina humor jest dziś dozwolony, o ile służy władzy. Natomiast rosyjski humor emigracyjny pozostaje na usługach nostalgii.

Po tym, jak 24 lutego 2022 r. Putin uderzył na Ukrainę, w Rosji zmieniły się także one: niepisane zasady rządzące humorem, tym dopuszczalnym w przestrzeni publicznej.

Nie znaczy to, że wcześniej było świetnie. Chcąc odnaleźć odważniejsze żarty, trzeba by sięgnąć głębiej w archiwa. Np. weźmy program telewizyjny z 2012 r., emitowany z okazji 50-lecia KWN, kultowego rosyjskiego konkursu kabaretowego. Był to czas, gdy Putin zachowywał pozory: w maju 2012 r. skończył czteroletnią kadencję premiera, by wrócić na urząd prezydenta, na którym przez „czterolatkę" zastępował go Dmitrij Miedwiediew.

Oto dwaj satyrycy wprowadzają na scenę rower-tandem. Idą, nagle zatrzymują się, w milczeniu spoglądają na siebie i zamieniają miejscami: „Putin" chwyta przednią kierownicę, „Miedwiediew" tylną. Co ciekawe, Putin był wtedy obecny na widowni – i kamera uchwyciła, że był tą sceną rozbawiony. Śmiał się też, gdy ze sceny nazwano go „premier-zydentem".

Ale to było kiedyś. Później, z roku na rok, przedmiotem żartów stawało się już tylko otoczenie Putina, nie on sam. Np. w programie satyrycznym „Comedy Club" wyśmiewano nadgorliwość jego ochrony. W skeczu z zeszłej dekady Putin przyjeżdża do Armenii i spotyka się z jej premierem. Ten chce rozmawiać w cztery oczy i prosi, by usunięto stojący obok krzak. Putin udaje, że nie rozumie. Ormianin wyjaśnia: „W Armenii kalina nie rośnie". Putin zwraca się więc do „krzaka": „Towarzyszu pułkowniku, zostaliśmy zdekonspirowani, możecie odejść".

W tamtym czasie władza jeszcze dopuszczała takie żarty. Nieprzekraczalną granicą było jednak podważanie jej legitymacji.

Mędrzec i głupcy

Jeśli dziś postać Putina pojawia się w kabarecie, jest to już ktoś inny niż wcześniej. To dostojny mąż stanu, niemal baśniowy mędrzec, który wszystko wie i rozumie. Taki Putin zderzany jest z innymi liderami: kabaretowy „Łukaszenko" to prostak, „Biden" zramolały starzec, a „Trump" chaotyczny ekscentryk. On na ich tle jest jedyny godny zaufania.

Kopalnią scenek, w których zjawia się taki nowy Putin, jest nadal telewizyjny „Comedy Club". W jednej z nich prezydent *incognito* udaje się na przejażdżkę po Moskwie i wsiada do taksówki. Kierowca nie poznaje go, zaczyna rozmowę o polityce. Tłumaczy Putinowi, dlaczego Emmanuel Macron zjawił się na forum w Davos w ciemnych okularach.

„Albo baba mu nieźle przyłożyła, albo jęczmień" – twierdzi. „To pierwsze" – mówi Putin. „Czyli myślisz, że baba?" – upewnia się kierowca. „Tak, tyle że nie baba" – pada odpowiedź.

W finale kierowca, który zorientował się, kogo wiezie, ma oświadczyć się swej partnerce. Ta rozpoznaje Putina, dyga przed nim, po czym szturcha taksówkarza i krzyczy: „Coś znowu nawywijał?". Gdy mężczyzna zbiera się niezgrabnie, by poprosić ją o rękę, Putin podpowiada mu: „Uklęknij". Ten pada na kolana – przed Putinem.

Prezydent bywa uzdrowicielem. W jednym z gagów składa zamówienie w restauracji. Kelner, widząc, kogo obsługuje, zaczyna się jąkać. Trwa to chwilę, aż Putin pyta: „Dlaczego pan się jąka?". „Bardzo przepraszam. To się więcej nie powtórzy" – odpowiada płynnie kelner.

W żartach powtarza się motyw wszechwiedzy Putina i jego służb. Gdy ktoś mówi, że Trumpowi podobał się rosyjski inteligentny głośnik, który dostał od Putina, ten odpowiada: „Wiem, słyszałem". Gdy rozmówca dodaje, że Trumpowi podobał się też obraz, prezent od rosyjskiego lidera, ten stwierdza: „Wiem, widziałem".

Tańcem i śpiewem

W lutym 2024 r. do Moskwy na wywiad z Putinem przyjechał Tucker Carlson. O tej pierwszej od dwóch lat jego rozmowie z zachodnim dziennikarzem informowały wszystkie rosyjskie media. Po ten motyw sięgnęli też kabareciarze.

W skeczu Carlson jedzie taksówką na Kreml. Gdy kierowca orientuje się, że pasażer to obcokrajowiec, pyta, po co przybył do Rosji. Carlson odpowiada, że ma kilka pytań do Putina. Taksówkarz jest zaskoczony. „Ci, którzy mieli pytania do Putina, wyjeżdżają z Rosji" – mówi.

Wbrew pozorom, żart nie jest wymierzony w Putina, lecz w jego przeciwników – przez propagandę Kremla przedstawianych jako tchórzliwi i słabi. Szeroko rozumiana opozycja, w tym niezależne media, są dla oficjalnego nurtu rosyjskiej satyry bezpieczniejszym celem niż władza.

W „Comedy Club" parodiowano np. niezależną telewizję „Dożd". Prowadzący fikcyjny kanał wita Rosjan „niezależnie od tego, czy są fruganinami z Tbilisi, poliamorystami z Bali czy feministkami z Berlina". Potem przedstawia opozycyjnego dziennikarza, pacyfistę i oczywiście stypendystę fundacji Sorosa, który narzeka, że od trzech dni nic nie jadł.

W końcu do kanału dzwoni mieszkający w Rosji Oleg. Chciał w innej stacji zamówić piosenkę, ale pomylił numery. Deklaruje, że jeśli prowadzący zaśpiewają patriotyczno-tradycjonalistyczny hit „Mateczka" z 2022 r., wpłaci całą kwotę. Mężczyźni w studiu zaczynają niechętnie nucić, ale z czasem ich entuzjazm rośnie. W końcu śpiewają i tańczą.



ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

Jeśli postać Putina pojawia się w ogóle w rosyjskim kabarecie, jest pokazany jako dostojny i dobroduszny mąż stanu. Na zdjęciu: kadr z filmu o Putinie, wyemitowanego przez telewizję państwową w maju 2025 r.

W służbie władcy

W Rosji można dziś żartować z deputowanych (oderwanych od życia), z korupcji czy biurokracji – pod warunkiem, że krytyka nie podważa systemu. I tak, w jednym ze skeczy aktor Garik Charłamow wciela się w urzędnika, który ukradł miliardy rubli przeznaczone na ochronę przyrody. Ostatecznie nie tylko nie trafia do więzienia, lecz awansuje.

Można nawet żartować z Dmitrija Pieskowa, rzecznika Kremla, czy byłego prezydenta Miedwiediewa. W jednym z numerów mężczyzna, podejrzewający, że padł ofiarą internetowych oszustów, odpowiada im: „Spłońcie w piekle, skończone kanalie". Następnie dodaje, że oszuści zapewne pomyślą, że trafili na Miedwiediewa, znanego dziś z agresywnych wypowiedzi.

Coraz częściej jednak polityczne wątki ustępują miejsca obyczajowym. W rosyjskim kabarecie wciąż pojawiają się mieszkańcy Kaukazu przedstawiani jako nieokrzesani podrywacze, stereotypy antysemickie czy żarty z celebrytów i młodych kobiet poszukujących sponsorów.

Tymczasem to, czym żyją dziś Rosjanie – problemy z internetem, braki benzyny, ataki ukraińskie na magazyny Wildberries – są nieobecne w telewizyjnej satyrze.

Na oficjalnej scenie z Putina można zatem żartować, jeśli dowcip wzmacnia jego wizerunek jako potężnego władcy. Można naśmiewać się z urzędnika, jeśli problemem jest jego osobista chciwość. No i można szydzić z emigrantów czy zachodnich polityków. Zakazane jest zaś pokazywanie Rosji jako państwa niewydolnego, słabego.

Na obcym bruku

Inaczej wygląda rosyjska satyra na emigracji. Tu nie ma ograniczeń, gdy idzie o żarty z Putina. Nie oznacza to jednak, że one dominują. Przeciwnie. Stand-up – najważniejszy dziś nurt emigracyjnej rosyjskiej satyry – znacznie częściej opowiada o doświadczeniu wyjazdu: barierze językowej, zderzeniu kultur, samotności, nowych zasadach codziennego życia, o tęsknocie.

Komik Daniła Popierieczny, który wraz z żoną i dziećmi mieszka dziś pod Los Angeles, w programie „Agent 813" mówi, że bardziej niż za babcią tęskni za rosyjskim fast foodem. Opowiada też o pewnym niedzielnym popołudniu, gdy odpoczywał z rodziną w ogrodzie. W pewnym momencie zauważył, że z ukrycia przygląda mu się sąsiad wraz z dziećmi. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dla tych Amerykanów sytuacja mogła wyglądać co najmniej dziwnie. Żona satyryka, bawiąc się z psem i próbując wyrwać mu z pyska zabawkę, krzyczała bowiem „daj!". Po rosyjsku i polsku słowo to brzmi tak samo. W uszach sąsiadów brzmiało jednak jako „die!", „umieraj!".

To jeden z najczęstszych tematów emigracyjnego humoru: Rosjanin, który wie, jak działa jego język i kultura, nagle odkrywa, że dla otaczających go ludzi wszystko wygląda inaczej.

A żart o Putinie czy wojnie? To już nie owoc zakazany, więc jego smak nie jest też aż tak słodki. Emigracyjna publiczność nie tęskni za takim humorem. Tęskni za to za swoim dawnym życiem w ojczyźnie, nawet jeśli było trudne. Za miejscami, w których spędziła dzieciństwo i młodość, do których nie może na razie wrócić. Woli słuchać o nich.

Poczucie wspólnoty

Rosjanin, który musiał opuścić ojczyznę, chce też czuć, że nie jest na emigracji sam ze swoimi problemami. Że to samo spotyka innych, którzy uciekli z Moskwy, Woroneża czy Soczi.

Czy pamiętają państwo ostatnią scenę „Pana Tadeusza" Andrzeja Wajdy? W paryskim mieszkaniu spotykają się bohaterowie epopei: Tadeusz z Zosią, Hrabia, Wojski, Podkomorzy. Są starsi i zasmuceni. Adam Mickiewicz deklamuje zaś inwokację.

Emigracyjny humor Rosjan bywa właśnie czymś w rodzaju takiej wspólnej inwokacji – tyle że zamiast podniosłych słów, są żarty. Śmiech pozwala zachować język, wspomnienia, poczucie wspólnoty.

Rusłan Bieły, kończąc występ z programem „Swój głos" w barcelońskiej hali w 2024 r., zaapelował do rosyjskich emigrantów: „Na koniec chcę powiedzieć coś wszystkim, którzy są teraz zmuszeni do emigracji, i którym jest ciężko. Zwracam się do was. Nie jesteście tchórzami. Po prostu teraz naprawdę jest strasznie. Nie jesteście słabi. Po prostu naprawdę jest trudno. I najważniejsze: nie jesteście sami. Bo nas, takich jak wy, tylko tutaj, w tej hali, jest teraz co najmniej sześć tysięcy".

W Rosji humor pozwala więc śmiać się z rzeczywistości, ale pewnych granic nie wolno przekroczyć. Na emigracji te granice znikają, ale pojawiają się inne tematy: samotność, absurdy codzienności, wspomnienia i nostalgia. ©

ELIZA

Kącka: *Najnowsze wiadomości z runa*



Jazda tramwajem nr 9 ku Warszawie Centralnej. Ścisk, wiszę z plecakiem nad dwójką nastolatków. Na oko: schyłek podstawówki. Ona: „Przelali ci?”. On: „Aha”. „U mnie ciężko było, ale powiedziałam matce, że może sobie odpuścić korki. Bez cynamonek z Lukullusa będę rozłączać onlajn z matmy”. „Aśka już jedzie”. „Ma środki?”. „Nie wiem”. „Bruh, nie jestem sponsorem”. „Ja jej kupię”. „I wyjdzie na to, że ją stać”. „Co z tego?”. „Jej nie stać nawet na Starbunia”. „No i...?”. „Jednak nie czaisz. Nie jest na poziomie i nam szkodzi”. „Może ma mniej hajsu...”. „Nie czaisz. Ja rok temu mogłam sobie pozwolić tylko na Starbunia, ale wskoczyłam na Lukullusa. Nie stać mnie na miłosierdzie”. „Póki starzy mają kasę...”. „Mają, ale nie czają”. „Czego?”. „Że ja muszę tu być w sobotę na jedzeniu i Sefo”. „A co to?”. „No coś ty, Sephora!”. „Aaa, no to szybko musisz mieć swoją kasę”. „Zamierzam”. „Będziesz pracować?!”. „Nieee, starzy będą płacić. Złapię ich na naukę. Że muszę się kształcić”. „Uwierzą?”. „Od lat mi nie wierzą, to nie ma znaczenia”. Wysiedli.

Okęcie, finał lotu powrotnego z Gruzji. Stajemy w kolejce do skanera tożsamości. Dużo Polaków. Gość za mną: „Miasta piękne, ale Unię wolę”. „Nie narzekaj. Widziałeś Ankę?”. „Nie narzekam, ale nie lubię, jak mnie legitymują”. „O, Anka idzie!”. Anka: „Ja się rozdzielę, bo mam bagaż do odbioru”. Gość: „My też, dwie walizy”. „Dwie? Coś ty tam władował?!”. „Wina, chachę, słodycze, obrusy, buty, jajka...”. Obie chórem: „Jajka?!”. „Szkoda marnować”. „Aleś ty nie kupował jaj!”. „Właściciel powiedział, że mamy zużyć na śniadanie. Spokojnie, są w folii i skarpetach”. „Pewnie tych brudnych...”. „No nie, wyobraź sobie”. „I ty mówisz, człowieku, żeś ty z Unii?”.

Zasypiam u przyjaciół w Tbilisi. Budzę się późnym wieczorem. Księżyc do kolażowych wycinanek: idealnie pełny, z domieszką czerwonego złota. Wyglądałby jak naklejka na z lekka fioletowawo-sinawej ścianie nieba, gdyby nie wrażenie, że to za nim ukrywa się tunel, że zakryto nim przejście. Zbiegam do kuchni: „Księżyc!”. Patrzą życzliwie, ale bez entuzjazmu. Wiem, że to przyjaciele, ale z daleka. Co się stało z tamtymi? Niepokoję się, nie mogę tu zostać. Łapię dokumenty, kradnę torebkę soli swańskiej, by – wedle snu – chronić się. Wychodzę z domu. Kładę szczyptę na język. Nikt mnie nie zatrzymuje. Brnę pod górę, aż drogę zachodzi mi trójnogi pies. Już go tu widziałam: agresywny na jawie, stał spokojnie. „To pora strażników” – uprzedza po gruzińsku. „A, to jesteś pies ochronny?” Zatacza się ze śmiechu: „Polacy są zabawni. Polski pies odgryzł mi łapę”. „Oj, przepraszam”. „Nie szkodzi, zagryźliśmy go. Chodź do strażników”. Kluczę: „Chcę tylko coś zobaczyć i wrócić”. „Już nie wrócisz. Tu nie ma odwrotu”. Oglądam się za siebie, dom jeszcze blisko, rozświetlony, pies na balkonie, zna mnie. „Zwieję mu. Przecież jest normalnie”. Pies kuśtyka w wąskie przejście wśród płotów. Pod figowcem siedzi gość zgrzebnie odziany, z papierosem i łopatą: „Masz ognia?”. „Nie”. „Moglibyście się do czegoś przydać, tylko przez was zamieszanie”. „Nas?”. „Codziennie ktoś nieświadom godziny mi tu łazi. Ostatnio Koreanka...”. „I co?”. „Czy ja wiem, chciała iść do centrum, potem taksówkę. Powiedziałem, że prosto...”. „A to wredne”. „O, jaka żwawa! Prędzej czy później wszyscy schodzicie pod ziemię”. „Umieramy?”. „Nie, ale radziłbym nie uciekać kolegom. Ten od granatów zna się na cmentarzach”. „Po co mi to, skoro będę żywa?”. Przymrużył oczy: „Żywa to Polka była tam – wskazuje na dom przyjaciół – ale i tak wiedzieliśmy swoje”. „Że tu będę?”. „Oczywiście”. „Czy ludzie z domu donieśli?”. „Nie”. „Festiwal literacki?” – rozbawiłam go. „Księżyc?”. „Eee. Po prostu niektórzy trafiają tu, by błądzić”. „Czyli ja?”. „Owszem. Poszedłbym już do domu na kolację, dość się naczekałem”. „A, to pan ma zwykłe życie?”. Uśmiechnął się: „Dziś szaszłyk. Czy możesz już przejść?”. „Przez co?”. Rozglądam się. „Przejdź i już, jak inni”. „To po to tu przyjeżdżamy?”. „Tacy jak ty – tak”.

Powrót z Bytomia, wieczór ciemnieje. Ruszamy z Dąbrowy Górniczej. Siedzenia dalej dziewczyna z transporterkiem. A tam kot, niebieski syberyjski. Dziewczyna w wieku późnolicealnym uśmiecha się znad transportera: „Staruszek”. „A nie widać”. „Tak, ale boimy się, że to jego ostatnie dni. Wiozę go do ojca”. „Ma dobrych lekarzy?”. „Nieee, po prostu nie chce żyć bez pożegnania. Tu już się nie da nic zrobić. Zaśnie przy tacie”. „A tato nie mógł przyjechać?”. „Jest na oddziale, ludzkim”. „Jasne”. „Mają mu dać przepustkę”. „No, to oby się te drogi zeszły”. „Wie pani, odchodzą jednocześnie. Mama nas zostawiła. Boję się, że się nie odprowadzą. Boję się, że kot przeżyje tatę. I odwrotnie. Ale najbardziej boję się tego, co po”. „Zawsze jest ktoś...”. „Sama pani wie...”.

Hala Mirowska. Po wtorkowej obronie pracy pewnej dziewczyny jadę myszkować. Węszę za rydzami. „Oj, wysypu to nie ma – mówi gość z brodą – a ja mam siatkę. Najnowsze wieści z runa, wiadomo”. „Haha”. „Ale siedzuń jest pyszny! Boją się ludzie, że trujący, gdzie tam. Super na maśle”. „Tęsknię za rydzami”. „No dobra”. A jednak! W bocznej odnodze targowiska, na stanowisku mięsno-serowym, kobiałka z rydzami. „Wszystko? Ekstra! Do końca mi pani wygarnie. Ojciec się ucieszy”. „Proszę pozdrowić”. „Sam zbierał, staruszek”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).

TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz też kurierem. Prosto pod Twoje drzwi.

InPost



Koniec z szukaniem „Tygodnika” w kiosku.
Teraz najlepszy tygodnik społeczno-kulturalny w Polsce sam do Ciebie przychodzi – kurier zostawia go pod drzwiami, zanim zdążysz pomyśleć, że czegoś Ci brakuje.

Zamów prenumeratę z dostawą kurierską!

- **Płacisz raz w roku** – bez rat, bez miesięcznych przypomnień.
- **Oszczędzasz ponad 40 zł** w porównaniu do zakupu w kiosku.
- Dostawa kurierem wliczona w cenę.
- Nowy numer „Tygodnika” w środę pod Twoimi drzwiami.

TygodnikPowszechny.pl/oferta-kurier-inpost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

W KRZYWYM ZWIERCIADLE POLITYKI

Działalność polityczna oznacza konieczność znalezienia sobie wroga. Jeśli chrześcijanin chce być wierny Ewangelii, musi porzucić tego typu zaangażowanie.

MICHAŁ RZECZYCKI

„Chrześcijanin zaangażowany w życie publiczne i postępujący zgodnie ze swoim sumieniem oświeconym przez wiarę nie może być postrzegany jako prozelita ani jako zagrożenie dla jedności ojczyzny” – mówił papież Leon XIV podczas spotkania z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Trzy dni później, w Centrum Roberta Schumana w Metzu, apelował do chrześcijan, by nie bali się „służyć dobru waszych wspólnot, także poprzez zaangażowanie polityczne”.

Czy ewangeliczny radykalizm da się pogodzić z realną polityką? Czy na czas konfliktów i wojen trzeba zapomnieć o nakazie nadstawiania drugiego policzka? Co powinno być ważniejsze dla rządzących – bezpieczeństwo kraju i obywateli czy nakaz miłowania nieprzyjaciół? Czy w świeckim państwie jest miejsce na partie chrześcijańskie? Czy religia i polityka nie są dwoma odrębnymi porządkami wartości, których nie należy mieszać?

ARTYKUŁEM MICHAŁA RZECZYCKIEGO rozpoczynamy debatę na temat relacji religii (i Kościoła) z polityką.



Polityka robi z chrześcijaństwem dziwne rzeczy.

Ewangeliczne wskazania moralne podkreślają miłość bliźniego, brak przemocy, rezygnację z czynnego stawiania oporu, przebaczenie. Kazanie na Górze poucza nas, że błogosławieni są ci najbardziej odtrąceni, odwet jest zabroniony, a nienawiść to grzech. Z przypowieści o miłosiernym Samarytaninie dowiemy się, że prawdziwym bliźnim jest ten, kto mimo różnic narodowościowych lub religijnych udziela pomocy człowiekowi w potrzebie. A z opisu Sądu Ostatecznego (por. Mt 25, 31-46) – że sposób traktowania najgorzej sytuowanych jest tożsamy ze sposobem traktowania Syna Człowieczego. Wszystko to zostaje przypieczętowane postawą samoofiarującego się Boga, która jest wzorcza dla chrześcijan.

A teraz przejdźmy w dziedzinę polityki. Tu możemy się dowiedzieć, że integralną częścią korpusu „wartości ewangelicznych" jest obrona tożsamości chrześcijańskiej (czasami też narodowej), cywilizacji łacińskiej (w skrócie: zachodniej), cywilizacji życia, zasad roztropności politycznej itd. W tej opowieści ginie dobro pojedynczej osoby ludzkiej, a na plan pierwszy wysuwa się relacja pomiędzy tożsamością (choćby postulowaną) a wyobrażeniem „politycznego Innego", który tej tożsamości zagraża.

Widać zmianę? Jej powodem jest sama natura polityki.

Filozofia wroga

We współczesnych demokracjach konflikty przybierają przede wszystkim postać sporów między rozmaitymi tożsamościami. Czym jest tożsamość? Sposobem organizacji naszych namiętności, na przykład związanych z przynależnością narodową, religijną czy klasową. Ich powstanie zawsze wiąże się z ustanowieniem różnicy pomiędzy tymi, którzy ją tworzą, a tymi, którzy nie mają z nią nic wspólnego. Nie da się bowiem myśleć o tożsamości w inny sposób, jak tylko poprzez opozycję „my" – „oni". Relacja ta jest niezbędna do podtrzymania zbiorowego wyobrażenia o sobie, ale też niesie ze sobą możliwość konfliktu.

Carl Schmitt (1888-1985), niemiecki filozof i prawnik, dowodził, że fundamentalną opozycją, która politykę definiuje, jest różnica między przyjacielem a wrogiem, oraz możliwość wystąpienia konfliktu między nimi. Przy czym – jak wskazywał w eseju „Pojęcie polityczności" – przykazanie z Ewangelii według św. Mateusza: „*diligite inimicos vestros*" (miłujcie nieprzyjaciół waszych) dotyczy wroga prywatnego, nie publicznego (*inimicus* to wróg prywatny, ktoś, do kogo czuje się osobistą niechęć). Tymczasem istnieje jeszcze *hostis* – wróg publiczny, z którym ma się publiczną wojnę. Mogę go nie znać, ale jego działanie stanowi zagrożenie dla jedności politycznej, której jestem częścią, np. państwa. Najjaskrawszym i najintensywniejszym przejawem takiej wrogości jest konflikt zbrojny między państwami.

Tożsamości się nakładają

Schmitt trafnie wskazał na stałą obecność w polityce antagonizmu, którego współczesna postać jest dla religii toksyczna. Jeśli tożsamości są sposobem zorganizowania zbiorowych namiętności, to znaczy, że towarzysząca im retoryka nie poddaje się łatwo krytycznej argumentacji. Przedmiotem tej retoryki nie są bowiem policzalne zjawiska i konkretni ludzie, ale nabudowane na przyzwyczajeniu i emocjach wyobrażenie o właściwym porządku świata, które zostało skonstruowane w opozycji do tego, co danej tożsamości jest obce. Weryfikacja empiryczna na nic tu się nie przyda.

Problem dodatkowo komplikuje fakt, że nasze tożsamości – zwłaszcza religijne i narodowe – nakładają się na siebie. Ktoś, kto jest Polakiem, może być jednocześnie chrześcijaninem. I odwrotnie. A polityka zmusza nas do nieustannego ustalania hierarchii tych identyfikacji. W procesie tym chrześcijaństwo łatwo staje się narzędziem budowy tożsamości narodowej lub kulturowej. Kiedy jednak tak się dzieje, uniwersalizm Ewangelii pada ofiarą partykularnych potrzeb.

Kto bliźni, kto wróg

Dla chrześcijaństwa zgoda na polityczność oznacza konieczność znalezienia sobie wroga. A jednak człowiek, który wychodzi z domu i wkracza do polityki, nie przechodzi metafizycznej przemiany. Wciąż jest tą samą jednostką, która jako chrześcijanin ↦



STEFAN DILLER / B&EW

Papież Leon XIV podczas spotkania z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Paryż, 25 września 2026 r.

↦ powinna stosować wszystko to, czego nauczał Jezus w Ewangeliach. Tyle że jako „chrześcijanin upolityczniony" musi wybierać, czy dla drugiego człowieka być miłosiernym samarytaninem, mimo różnic światopoglądowych lub narodowościowych, czy też uznać go za wroga publicznego, zagrażającego jego chrześcijaństwu. Nie jest to trudne w przypadku drobnych konfliktów politycznych. Gdy jednak dojdzie do antagonizmów o największej intensywności, na przykład pociągających za sobą przemoc, ten wybór stanie się dylematem niemożliwym do rozstrzygnięcia.

Wrogie cywilizacje

Kościół często godził się na funkcjonowanie w logice konfliktu politycznych tożsamości, definiując siebie w opozycji do zjawisk uznawanych za zagrożenie. Przykładem może być retoryka „Evangelium vitae" (encykliki Jana Pawła II o wartości i nienaruszalności życia ludzkiego) oparta na przeciwstawieniu cywilizacji życia i cywilizacji śmierci. Podobny sposób myślenia przeniknął do katolickiej publicystyki, która często opisuje współczesne spory jako starcie z obcymi ideologiami.

W takiej perspektywie głównym zagadnieniem przestaje być rzetelna analiza argumentów, a staje się nim mobilizacja emocji w celu obrony naszego sposobu rozumienia świata.

Jeden przykład. Ks. Jan Gancarczyk, redaktor naczelny „Gościa Niedzielnego", nazwał przepisy o statusie osoby najbliższej „ustawą o demontażu rodziny" („O jeden most za daleko", 16 sierpnia 2026). I trudno oczekiwać, by zmienił zdanie pod wpływem argumentu, że legalizacja związków jednopłciowych nie wpływa w istotny sposób na odsetek rozwodów. Bo jeśli czemuś grozi, to nie trwałości rodzin, a jedynie spójności pewnego sposobu interpretacji świata, który jest ważnym elementem tożsamości autora.

Kto rządzi państwem

Kościół chce mówić o dobru osoby ludzkiej i uniwersalnej prawdzie. Trudno jednak realizować te cele, gdy katolicyzm staje się jedną z wielu zbiorowych tożsamości rywalizujących o wpływ na porządek polityczny. Czy realizując ambicje polityczne, chrześcijaństwo może nadal pozostać chrześcijaństwem?

Obrońca tej tezy może się tu powołać na dokumenty Magisterium, np. wydaną

Rozdział Kościoła od państwa będzie pozorny tak długo, jak długo Kościół będzie **domagał się wpływu na państwowe prawodawstwo.**

w 2002 r. przez Kongregację Nauki Wiary „Notę doktrynalną o niektórych aspektach działalności i postępowania katolików w życiu politycznym". Jej autorzy konsekwentnie wskazują, że poszanowanie autonomii sfery obywatelskiej i politycznej jest rzeczą słuszną. Państwo nie może wtrącać się do sprawowania sakramentów, a Kościół nie może decydować o tym, kto rządzi w państwie.

Tyle że ta autonomia nie dotyczy moralności, której nauczanie jest częścią misji Kościoła. Zdaniem kongregacji ten aspekt obecności Kościoła w życiu politycznym nie podważa zasady laickości. Autorzy dokumentu tłumaczą, że laickość zakłada respektowanie prawd, które wypływają z naturalnej wiedzy o człowieku żyjącym w społeczności. To, że są one również częścią nauczania określonej religii, jest faktem drugorzędnym.

Rozdział pozorny

Tyle że problemów w takim ujęciu można znaleźć sporo. Kongregacja trafnie rozpoznaje związek moralności i polityki. Fantazje o kierowaniu życiem zbiorowości za pomocą procedur neutralnych aksjologicznie już dawno zostały zarzucone w filozofii polityki.

Kościół ma prawo nauczać o moralności. Ale kwestie etyczne są też, z natury rzeczy, polem działania polityki. Nie da się więc rozdzielić spraw obywatelskich od religii tak długo, jak długo Kościół będzie domagał się wpływu na państwowe prawodawstwo. Co sprawia, że rozdział Kościoła od państwa jest jedynie pozorny.

Obrońcy aktualnego *status quo* zwykle odpowiadają na ten zarzut stwierdzeniem, że podobne prawo wpływu na debatę publiczną i związany z nim proces stanowienia prawa mają także inne organizacje i stowarzyszenia. I że dopóki Kościół posługuje się racjonalną argumentacją, pokazując, że jego racje wypływają nie z objawionej, ale z przyrodzonej wiedzy o człowieku, dopóty światopogląd katolicki ma pełne prawo obywatelstwa w sferze publicznej. Jak każdy inny. Bo Kościół nie żąda dla siebie niczego nadzwyczajnego.

Dwa warunki racjonalności

Niegdyś sam byłem przekonany do tego argumentu. Dałem temu wyraz w tekście „Kościół musi być polityczny", na łamach portalu Klubu Jagiellońskiego. Niemniej zorientowałem się, że jest on obarczony zasadniczą wadą, która dotyczy założonych kryteriów racjonalności.

Racjonalność bowiem ma dwa warunki minimum: komunikowalność oraz intersubiektywną sprawdzalność. Ten pierwszy mówi, że dany pogląd lub przekonanie są przedstawione w sposób zrozumiały dla pozostałych użytkowników języka. Natomiast intersubiektywna sprawdzalność zakłada, że racjonalny pogląd lub przekonanie mogą zostać zweryfikowane w oparciu o doświadczenie lub kryteria dostępne innym ludziom.

Nauczanie Kościoła, także moralne, spełnia bez wątpienia warunek komunikowalności. Teologowie dokładają starań, by wyrazić je w sposób wolny od terminów ściśle związanych z objawieniem religijnym. Można mieć jednak wątpliwości co do spełnienia warunku sprawdzalności. Nie ma bowiem procedury, w wyniku której Kościół mógłby zmienić swój stosunek do któregokolwiek z istotnych punktów swej doktryny, na przykład nauczania na temat antykoncepcji, homoseksualizmu czy przerywania ciąży. Skonfrontowany z argumentami naukowymi i racjonalnymi odwoła się do objawienia i tradycji, której musi pozostać wierny.

Nie chodzi tu wcale o wykazanie, że doktryna na pewno jest błędna. Racjonalność oznacza jednak przyjęcie założenia, że może taką być. A na to Kościół zgodzić się nie może. W praktyce oznacza to, że próby, jakie podejmuje, by wyrazić swoje nauczanie moralne w kategoriach neutralnych (niereligijnego stanowiska etycznego), są wtórne wobec założeń wynikających z wiary. Mimo pozornie racjonalnej szaty jego przekonania są w istocie religijne. Dlatego jego próby wpływania na procesy demokratyczne czy legislacyjne przeczą autonomii sfery religijnej i państwowej.

Los nie polityka

Uczestnictwo Kościoła w polityce jest zatem problematyczne z dwóch powodów.

Po pierwsze, konfliktowa i tożsamościowa natura współczesnej polityki działa niszcząco na wszelkie religie. Polityka jest w tym przypadku jak pasożyt – najpierw karmi się siłą religii, potem je instrumentalizuje, zmuszając wiernych do renegocjacji własnych przekonań moralnych. W przypadku chrześcijaństwa wynik tej renegocjacji często jest niezgodny z tym, co zapisano na kartach Ewangelii.

Po drugie, Kościół jako uczestnik debaty publicznej nie jest w stanie poddać swojego nauczania krytycznemu sprawdzeniu, bo nigdy nie zgodzi się na to, by pod wpływem krytyki odrzucić jakikolwiek element swojej doktryny.

Nie ma więc innej drogi, jak tylko uznać, że nauczanie moralne Kościoła jest nauczaniem religijnym. Co zresztą tłumaczy, dlaczego tak łatwo przychodzi Kościołowi wchodzenie w logikę tożsamościową – zarówno w sporze ze współczesnym światem, jak i z nauką.

Z obu tych wniosków wynika w zasadzie, że chrześcijaństwo jako takie nie jest kompatybilne z działalnością polityczną, ponieważ istota jego przesłania jest biegunowo odmienna od tego, na czym zasadza się ideologia polityczna. Wiara w Chrystusa polityką nie jest i być nie może.

Przestrzenią właściwą dla namysłu religijnego jest sfera sensu ludzkiego życia. Ani nauka, ani polityka nie są w stanie wyjaśnić, jakie są stałe elementy ludzkiej egzystencji i jak człowiek – istota rozumiejąca swój los, w tym nieuchronność śmierci – ma się do nich odnieść. W czasach rozmaitych kryzysów relacji i zdrowia psychicznego religia może odegrać ważną rolę, dostarczając człowiekowi takich interpretacji świata, które wsparte wiedzą naukową pomogą uczynić go znośniejszym. Sama nauka nie jest w stanie temu zadaniu sprostać z powodu swoich metodologicznych ograniczeń.

A polityka jest zbyt konfliktową sferą, by w niej znaleźć ukojenie. Dla chrześcijanina może nim być wiara w Tego, który jest drogą wiodącą przez poznanie prawdy do życia.

© MICHAŁ RZECZYCKI

Autor jest filozofem i publicystą specjalizującym się w zagadnieniach etyki, teologii i filozofii polityki.



ODED BALILTY / AP PHOTO / EAST NEWS

Pielgrzymi uczestniczący w ceremonii poświęcenia ognia w Bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie, 1 maja 2021 r.

Święte miejsca, świetny biznes

PROF. KATHRYN HURLOCK, HISTORYCZKA RELIGII:

PIELGRZYMKI | Rzym nie odgrywał większej roli i był w opłakanym stanie. Dopiero w 1300 roku zorientowano się, że pielgrzymi mogą być źródłem bogactwa. Aby dostosować się do ich napływu, zmieniono fizyczny wygląd miasta.

↦

↦ **KASPER KALINOWSKI: Kiedy ludzie zaczęli pielgrzymować?**

PROF. KATHRYN HURLOCK: Nie wiemy dokładnie. W przypadku niektórych religii można wskazać konkretne miejsca pielgrzymowania, jednak nie znamy początków zjawiska. Możemy jedynie snuć domysły. Ale na pewno to praktyka licząca tysiące lat.

Czy to uniwersalna cecha ludzkich społeczeństw, czy raczej produkt określonych tradycji religijnych?

Ponieważ większość religii posiada miejsca związane z ich bogami lub świętymi, do których ludzie tłumnie się udają, można przyjąć, że to praktyka powszechna. Występowała nawet tam, gdzie pielgrzymka nie była pierwotnym zamiarem założyciela. Na przykład w Amritsar, najważniejszym obiekcie kultu sikhów, czy na wyspie Iona, gdzie żył św. Kolumba, który wcale nie chciał, by ludzie go odwiedzali. A jednak ci i tak przybywali ze względu na urok świętych miejsc.

Pielgrzymowanie było domeną mężczyzn?

Kobiety udające się na pielgrzymkę zawsze budziły podejrzenia i były przedmiotem krytyki. W większości przypadków wynikało to z przekonania, że miejscem kobiety jest dom i jeśli chce się od niego oddalić, to powód musi być podejrzany. Kobiety pielgrzymujące na chińską górę Tai Shan były krytykowane, bo uważano, że idą tam tylko po to, by nawiązywać romanse z młodymi mężczyznami w klasztorach. Choć nie ma na to dowodów.

W czasach bardziej oświeconych, a może raczej bardziej komercyjnych, podejmowano wysiłki, by wspierać udział kobiet. Kiedy w XIX wieku organizator wycieczek Thomas Cook planował swoją pierwszą wycieczkę do Ziemi Świętej, zależało mu na tym, by mogły w niej uczestniczyć kobiety.

Na górę Tai Shan pielgrzymowali cesarze, by uzyskać „mandat Niebios". Czy święte miejsca pełniły funkcję politycznych narzędzi legitymizacji władzy?

Istniało wiele innych miejsc, które wykorzystywano do umacniania władzy na różne sposoby. Pielgrzymowanie do Rzymu też wzmacniało religijny i polityczny autorytet papieża. Prośby kierowane do wyroczni w Delfach spotykały się z odpowiedziami, które interpretowano jako aprobatę dla decyzji już podjętych w sprawach politycznych i wojennych.

Gdyby nie pielgrzymki, **inaczej byłyby rozmieszczone ośrodki władzy,** inaczej wyglądałaby dziś infrastruktura transportowa – drogi, linie kolejowe.

Do legitymizacji władzy wykorzystywana była także fizyczna kontrola nad miejscami, bo przywódcy mogli argumentować, że są prawowitymi władcami tego czy innego świętego miejsca ze względu na ochronę, jaką zapewniali jemu oraz pielgrzymom tam przybywającym. Dotyczyło to na przykład Jerozolimy pod panowaniem Imperium Osmańskiego, kiedy to nowa linia kolejowa i tanie bilety ułatwiły podróż biedniejszym pielgrzymom, a także Mekki, gdzie saudyjscy książęta twierdzili, że sprawowana przez nich ochrona Kaaby i wsparcie udzielane pielgrzymom stanowiły znak aprobaty dla ich rządów.

Mieszkańcy Mekki mieli nawet powiedzenie: „Nie siejemy ani pszenicy, ani sorga, pielgrzymi są naszym żniwem". Święte ośrodki konkurowały ze sobą o pielgrzymów podobnie jak współczesne miasta konkurują o turystów?

Oczywiście, że tak. Pielgrzymki były niezwykle dochodowym biznesem, a dla wielu miejsc pielgrzymkowych wygranie tej rywalizacji miało kluczowe znaczenie dla przetrwania. Nie miały innych sposobów na ożywienie swojej gospodarki. Nie było żadnych ekonomicznych powodów, aby odwiedzać Mekkę czy Jerozolimę. Lourdes na południu Francji było zubożałą wioską, zanim pielgrzymki zapewniły mu sukces komercyjny. Pielgrzymki od zawsze miały związek z handlem, czy to się komuś podoba, czy nie. Miejsca pielgrzymkowe są reklamowane nie tylko przez ich święty charakter, ale także, zwłaszcza w ostatnich latach, informacjami o łatwości dojazdu i komforcie zakwaterowania. Wielu pielgrzymów, gdy zakończy religijną część podróży, szuka atrakcji „turystycznych".

Czy Jerozolima byłaby dziś tym samym miastem, gdyby nie pielgrzymki?

Trudno wyobrazić sobie to miasto bez pielgrzymów, biorąc pod uwagę jego kluczowe znaczenie dla tak wielu wyznań. To nie było miasto stołeczne ani centrum administracyjne. Dostęp do niego był utrudniony, a podróż niebezpieczna. Nie było tam rolnictwa ani przemysłu, które przyciągałyby kupców, nie było naturalnej infrastruktury pozwalającej mu funkcjonować jako port. Więc ludzie naprawdę musieli chcieć, by je odwiedzić. A skoro to robili, władze miasta mogły pobierać podatki, inwestować w nowe budynki oraz rozwijać hospicja i jadłodajnie. Do tego różne kraje wytyczały w mieście swoje enklawy i budowały katedry oraz hospicja, albo przeznaczały ogromne środki na dekorację i odbudowę różnych dzielnic.

Współczesny Rzym też wyglądałby inaczej, gdyby przez stulecia nie przybywały do niego miliony pielgrzymów?

Myślę, że tak. We wczesnym średniowieczu miasto było stolicą imperium i centrum chrześcijaństwa, ale potem przez większość czasu nie było ważnym ośrodkiem gospodarczym czy politycznym i znalazło się w opłakanym stanie. Włochy były wówczas zbyt podzielone, by miasto odgrywało większą rolę. Dopiero wraz z ustanowieniem pierwszej pielgrzymki jubileuszowej w 1300 r. Rzym – jego przywódcy kościelni i mieszkańcy – dostrzegli, że pielgrzymki mogą przynieść miastu bogactwo. Aby dostosować się do napływu pielgrzymów, zmieniono fizyczny wygląd miasta – wytyczono szersze, prostsze drogi, powstały nowe hospicja, w których przyjezdni mogli się zatrzymać, budowano i rozbudowywano kościoły, a w obrębie miasta ustawiano drogowskazy dla pielgrzymów, na przykład siedem obelisków.

Jakie znaczenie miały pielgrzymki dla samego papiestwa?

Przede wszystkim przynosiły ogromne dochody. Papież Mikołaj V przeznaczył ich część na budowę Biblioteki Watykań-

skiej. Papież Aleksander VI przekazał pieniądze z Jubileuszu z 1500 r. swojemu synowi Cesaremu Borgii na prowadzenie wojen.

W XIX wieku, kiedy papieże zostali pokonani przez siły Królestwa Włoch, lojalność wobec nich wyrażano poprzez odwiedzanie Rzymu. Organizowano masowe pielgrzymki z Francji, Hiszpanii, Belgii i znacznie dalszych stron – wszystko to było sposobem na okazanie wsparcia i solidarności. Dzięki temu papież mógł rozszerzyć swoje wpływy poza Watykan, czego zwykła polityka nie mogła mu zapewnić.

Jak ważną rolę odgrywały w tym relikwie?

Ogromną. Nie tylko dla Rzymu. Relikwie miały znaczenie dla tworzenia lub zwiększania prestiżu chrześcijańskich ośrodków pielgrzymkowych i od zawsze były przedmiotem sporów, sprzedaży, handlu i kradzieży.

Posiadanie ważnej relikwii mogło całkowicie odmienić oblicze miejsca pielgrzymkowego. W całej średniowiecznej Europie istniejące ośrodki zyskały na znaczeniu, a nowe powstały dzięki napływowi relikwii, które dotarły do Europy po splądrowaniu Konstantynopola w 1204 r. Chociaż Santiago de Compostela było jednym z najważniejszych miejsc pielgrzymkowych w średniowiecznej Europie, jego znaczenie osłabło w 1589 r., gdy relikwie św. Jakuba zostały ukryte lub zaginęły. Ich „ponowne odkrycie" w środku nocy w styczniu 1879 r. oznaczało odrodzenie Santiago jako preferowanego miejsca pielgrzymkowego.

Reformacja mocno uderzyła w tradycję pielgrzymowania. Nigdy już nie odzyskało dawnego znaczenia?

Taka jest dominująca narracja i powszechne wyobrażenie. Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej złożona i uważam, że sprawiedliwiej byłoby stwierdzić, iż reformacja zmieniła charakter pielgrzymek. Niektóre miejsca uległy zniszczeniu, ale powstały nowe. Praktyka ta była w wielu miejscach tłumiona, ale w innych rozkwitała. Dziś pielgrzymki mają już inne, być może nawet większe znaczenie. Liczba osób biorących udział w pielgrzymkach w całej Europie, niezależnie od tego, jak je zdefiniujemy, jest ogromna. Miejsca pielgrzymkowe, takie jak Lourdes, Fatima, Santiago i Jasna Góra, przyciągają co roku miliony osób.



ARCHIWUM PRYWATNE

KATHRYN HURLOCK jest profesorką historii religii na Manchester Metropolitan University, zajmującą się pielgrzymkami, wojnami i średniowieczną Wielką Brytanią. W tym roku ukazała się w Polsce jej książka „Tam, dokąd ciągną tłumy. Historia świętych miejsc" (Znak Horyzont).

Pisze Pani o „kaminoizacji" pielgrzymek. Dlaczego właśnie wędrówka do Santiago de Compostela stała się dziś punktem odniesienia dla wszystkich pielgrzymek?

Cyniczna odpowiedź brzmiałaby, że dzięki zabiegom marketingowym. Santiago zyskiwało na popularności już po ponownym odkryciu relikwii świętego w 1879 r. oraz dzięki działaniom promocyjnym reżimu Franco. Ale tym, co naprawdę zmieniło jego oblicze, było uznanie Camino za pierwszy Szlak Kulturowy Rady Europy w 1987 r. Wyraźne oznakowanie, łączące niebieski i żółty kolor flagi UE z muszlą św. Jakuba, stworzyło bardzo przejrzystą i atrakcyjną trasę pielgrzymkową.

Tylko skąd we współczesnym, zlaicyzowanym świecie bierze się ta potrzeba?

Częściowo wynika to z pragnienia ucieczki od codzienności i ciągłego bycia w kontakcie z innymi. Duży nacisk kładzie się też na obcowanie z naturą i krajobrazem podczas pielgrzymki, choć moim zdaniem dużo więcej ma to wspólnego z XIX-wiecznymi ideami romantyzmu niż religią.

Ale też słowo „pielgrzymka" stosujemy dziś także do podróży całkowicie świeckich – do miejsc związanych z celebrytami, wydarzeniami historycznymi czy polityką. Słusznie?

To temat budzący wiele dyskusji. Rzeczywiście, mianem pielgrzymki określa się dziś najróżniejsze podróże – czy to do miejsc związanych z polityką, na stadiony piłkarskie, do miejsc, gdzie doszło do okrucieństw, na koncerty i tak dalej. Czy dobrze? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie krótko. Powiedziałbym jednak, że najważniejszy jest zamiar. Samo wyruszenie w podróż do jakiegoś znaczącego miejsca nie wystarczy. W podjętych decyzjach, odbytej podróży i tym, co dzieje się po przybyciu na miejsce, musi kryć się coś więcej. W przeciwnym razie to jest po prostu turystyka.

W swojej książce opisuje Pani 19 miejsc pielgrzymkowych. Czy dziś dokonałaby Pani takiego samego wyboru?

Czasem wybór był oczywisty. Nie można mówić o wpływie pielgrzymek na świat, pomijając takie miejsca jak Rzym, Mekka, Jerozolima czy Santiago. Z pozostałymi było trudniej, bo zależało mi na zróżnicowaniu religijnym i geograficznym. A także na pielgrzymkach, które rozwinęły się w różnych epokach. Chciałabym napisać więcej o Afryce – świętych jaskiniach i lasach, które od tysięcy lat są celem wędrówek, ale także o chrześcijańskich miejscach w Etiopii czy meczetach w Mali.

Czy pielgrzymki rzeczywiście zmieniły świat?

Z pewnością. Gdyby nie one, inaczej byłyby rozmieszczone ośrodki władzy, inaczej wyglądałaby cała infrastruktura transportowa – od średniowiecznych dróg po nowoczesne linie kolejowe – która służyłaby tym ośrodkom, a nie obsłudze centrów pielgrzymkowych. Cały przemysł turystyczny – od organizacji podróży i zakwaterowania po produkcję pamiątek – skupiłby się wokół zupełnie innych miejsc. Jak to wszystko wyglądałoby, pozostaje wielką niewiadomą, ale z pewnością byłoby inaczej.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

Pociąg do medytacji

MACIEJ BIELAWSKI

HISTORIA MEDYTACJI | Duchowość bez Boga? Taką opinię medytacja zawdzięcza birmańskiemu urzędnikowi, który uczynił z vipassany praktykę dla wszystkich.



VIPASSANA RESEARCH INSTITUTE

U BA KHIN (1899-1971) – buddyjski nauczyciel techniki medytacyjnej vipassana, pierwszy minister finansów niepodległej Birmy, twórca Międzynarodowego Centrum Medytacji.

Jedną z charakterystycznych cech medytacyjnego ruchu w drugiej połowie XX wieku było powstawanie organizacji nawiązujących wprost do jednej, wybranej tradycji. Miały one swoich założycieli, propagatorów, centrum i ośrodki filialne rozsiane po całym świecie. Pierwszym i najważniejszym było Międzynarodowe Centrum Medytacji otwarte przez U Ba Khina (1899-1971) w 1952 r. w Rangunie, ówczesnej stolicy Birmy (dziś Mjanma).

Po II wojnie światowej, upadku kolonializmu i rozpadzie brytyjskiego imperium, Birma odzyskała państwową niezależność. Jak pisałem we wcześniejszych odcinkach cyklu, w tym kraju działało – na przestrzeni kilku dekad – wiele wybitnych postaci (m.in. Ledi Sayadaw, Saya Thetgyi czy Webu Sayadaw), które przyczyniły się do renesansu buddyzmu, a więc także praktyki medytacji, budząc lokalne i międzynarodowe zainteresowanie.

Olśnienie na peronie

U Ba Khin pochodził z rodziny ubogiej, ale otrzymał dobre wykształcenie – najpierw w szkole prowadzonej przez buddyjskich mnichów, potem w angielskim liceum. Przedwczesna śmierć rodziców uniemożliwiła mu studia – po szkole średniej zaczął pracować jako księgowy. Jego późniejsze hagiografie dość barwnie opisują, jak w trakcie jakiejś podróży w 1937 r. czekał długo na pociąg, więc wszedł do jednego z centrów medytacji powiązanych z Saya Thetgyim. Krótka wizyta w tym miejscu była dla prawie czterdziestoletniego U Ba Khina olśnieniem – rozbudziła go duchowo i zachęciła do regularnej praktyki medytacji.

Niedługo później poznał Webu Sayadawa (1896-1977), mnicha i wybitną postać birmańskiego buddyjskiego świata, dzięki któremu pogłębił zarówno wiedzę na temat medytacji, jak i praktykę skoncentrowaną na skrupulatnej i świadomej obserwacji oddechu (*ānāpānasati*), którą mistrz uważał za „skrótową, szybką i dostępną dla wszystkich ścieżkę

TO DZIESIĄTA CZĘŚĆ cyklu o historii zachodniej medytacji. W poprzedniej pisaliśmy: jak trauma wojenna wpłynęła na potrzebę medytacji, dlaczego ludzie zaczęli szukać duchowości poza strukturami kościelnymi, dlaczego powieść „Siddhartha" Hermana Hessego stała się bestsellerem.

W KOLEJNYM TEKŚCIE opowiemy o: ruchach neohinduistycznych: Medytacji Transcendentalnej i Hare Kryszna, Maharishim i Beatlesach – czyli o szczycie popularności medytacji w latach 60. i 70., oraz Prabhupadzie, który nauczył medytacji hipisów w Nowym Jorku.

Więcej znajdziesz w cyklu Historia Medytacji

Autor – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

wiodącą do nirwany". Webu Sayadaw zalecił mu też propagowanie medytacji i w ten sposób urzędnik kolejowy, mąż i ojciec sześciorga dzieci zaczął uczyć medytacji w domu i w miejscu pracy.

Medytacja w urzędzie

W 1948 r. Birma odzyskała niepodległość, co pociągnęło za sobą szereg zmian społecznych, politycznych i administracyjnych, U Ba Khin zaś, znany ze swojej rzetelności i kompetencji, ze zwykłego księgowego stał się jedną z kluczowych postaci nowo powstałego rządu, znacznie przyczyniając się do reformy ekonomicznej kraju. Pomimo zaangażowania w pracę w administracji państwowej, cały czas praktykował jednak medytację i ją propagował (medytantem był również U Nu, premier rządu, z którym U Ba Khin się zaprzyjaźnił).

Taki to był świat: czołowi przywódcy państwowi byli głęboko zainteresowani medytacją. Przypomnijmy, że Ledi Sayadaw, jedna z czołowych postaci renesansu buddyjskiego w Birmie, uważał medytację nie tylko za indywidualną praktykę duchową, ale też za akt patriotyzmu, kształtujący społeczeństwo.

W 1950 r. w stolicy kraju U Ba Khin założył Stowarzyszenie Vipassana, które stało się zaczątkiem międzynarodowego centrum. Miejsce to szybko stało się znane i popularne, przede wszystkim dlatego, że regularnie odwiedzał je i w nim nauczał wspomniany uprzednio Webu Sayadaw. Pragmatyczny U Ba Khin zaproponował zaś w swoim centrum szczegółowo sformułowaną metodę medytacji oraz program dziesięciodniowych odosobnień, przyciągając coraz więcej chętnych z kraju i zagranicy.

Sobór w Rangunie

W latach 1954-1956 w Birmie odbył się kolejny, szósty już sobór buddyjski, którego bezpośrednią przyczyną były obchody 2500-lecia śmierci Buddy. Wydarzenie przyciągnęło do stolicy kraju rzesze buddystów z całego świata i licznych obserwatorów. To właśnie sobór jasno powiedział, że nadszedł czas na zapoznanie wszystkich ludzi z naukami Buddy i że wybiła dla świata godzina medytacji vipassana, której centrum znajdowało się w Rangunie, największym i najważniejszym mieście kraju. Chęć poznania medytacji wyraził m.in. Dawid Ben Gurion, dwukrotny premier Izraela, odwiedzając Birmę i spotykając się z premierem U Nu. A dzięki kronikom telewizyjnym z soboru – w BBC oraz amerykańskich stacjach NBC i CBS – o Birmie, buddyzmie i medytacji vipassana (dziś często, choć w uproszczeniu utożsamianej z mindfulness) usłyszał „cały świat".

U Ba Khin o podstawowych zasadach buddyjskiej medytacji:

Ludzkość dzisiaj stoi wobec poważnych zagrożeń. Jest to właściwy moment, aby zacząć praktykować medytację vipassana, aby nauczyć się odkrywać w chwili obecnej głęboką oazę spokoju w powszechnie panującym chaosie.

By do tego doszło, trzeba odkryć zmienność (*anicca*) całej rzeczywistości dzięki wglądowi w siebie. Gdy zdołamy tego dogłębnie doświadczyć, wtedy będziemy w stanie, siłą woli, oderwać się od świata, czy też raczej od naszych mentalnych interpretacji świata. Anicca jest dla osoby świeckiej cenną perłą, która stwarza w nas głęboki spokój i wyciszenie, jakże dobroczynne tak dla osoby medytującej, jak i dla społeczeństwa.

U Ba Khin, L'esperienza della meditazione. Testimonianze e insegnamenti, Diana, Napoli 2019, s. 171. Tłum. Maciej Bielawski

Na sztandarach

Można wskazać na kilka znamion i zarazem nowości birmańskiej medytacji vipassana. Nade wszystko sama medytacja została wystawiona niejako na sztandary tamtejszego buddyzmu, co było nowością w stosunku do buddyzmu tradycyjnego, bardzo silnie skupionego na obrzędowości. Po drugie ta praktyka medytacji została zaproponowana jako coś przystępnego dla wszystkich, bez względu na rasę czy religię. Tym samym także sam buddyzm przyjął postawę uniwersalistyczną, zasilaną przekonaniem, że posiada w sobie coś niezbywalnego dla całego współczesnego świata.

Po trzecie, vipassana, choć nawiązuje do starożytnego Kanonu palijskiego, skompilowanego w I wieku przed Chrystusem, proponuje jego nowe i uwspółcześnione odczytanie w obrębie szeroko pojętego neobuddyzmu. Symbolem tego związku jest choćby słownictwo, wywodzące się ze starożytnego języka pali, jednak uprzystępniane w tłumaczeniach na języki nowożytne. W tym przypadku duchowość, medytacja i translacja są ze sobą ściśle powiązane.

Po czwarte: sama praktyka medytacji została bardzo silnie sformalizowana, otwierając drogę apoteozie metodologizmu, który spotkał się z pozytywnym odzewem ze strony współczesnych ludzi naznaczonych mentalnością naukową, w której najważniejsze jest know-how. Ćwiczenia medytacyjne, które były zalecane w trakcie weekendowych lub dziesięciodniowych odosobnień, opierały się na serii precyzyjnie zdefiniowanych obserwacji ciała, oddechu, wrażeń, emocji i myśli, które prowadziły do wyciszenia (*samatha*) i zarazem umożliwiały głęboki wgląd (*vipassana*) w rzeczywistość, której cechą jest nieustanna zmienność i powszechna współzależność.

Duchowość bez Boga

W końcu należy podkreślić to coś, co nazywam medytacyjnym immanentyzmem, czyli przeświadczeniem i wyakcentowaniem, że medytacja nie jest drogą do życia w przyszłych zaświatach, lecz skutecznym sposobem zakosztowania lepszego, pełniejszego i szczęśliwszego życia tu i teraz, co oczywiście zostało entuzjastycznie przyjęte przez osoby, u których zanikła świadomość religijnej transcendencji.

W ten właśnie sposób dla wielu osób medytacja stała się synonimem duchowości pozareligijnej (o ile przez religię rozumie się związek człowieka z Bogiem osobowym). Nie znaczy to, że jej mistrzowie nie dopuszczają ewentualności wymiaru religijnego, tylko że go po prostu nie akcentują. Ten aspekt również spotyka się z przychylnym przyjęciem osób areligijnych czy nawet antyreligijnych. Vipassana otwiera bramę do duchowości bez Boga, co jest propozycją niezwykle atrakcyjną i można by powiedzieć: „na czasie", zwłaszcza dla młodych ludzi z Zachodu, którzy stają się jej gorliwymi praktykami, a z czasem i propagatorami. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Chrystuski*



„Pojawią się fałszywi chrystusi i fałszywi prorocy. Będą czynić wielkie znaki i cuda. Będą chcieli w ten sposób – o ile jest to możliwe – zwieść nawet wybranych. Już teraz wam to zapowiadam. Gdy wam powiedzą: »Oto jest na pustyni« – nie idźcie tam; »Oto jest w domu« – nie wierzcie!", mówi Jezus. Dzisiejsi chrystusi mówią według ustalonego schematu. Prowadziłem strasznie grzeszne życie, mówi nastolatek, ale gdy wyznałem, że Jezus jest moim osobistym Panem i Zbawicielem, od tamtego momentu Duch Święty napełnia mnie nieustannym pokojem i mocą. Otrzymałem też dar języków i rozeznawania duchów. Dzięki temu przebaczyłem moim rodzicom. Mam też charyzmat modlitwy wstawienniczej. Na koniec, słodko się uśmiechając, oświadcza, że chciałby się podzielić tymi darami z innymi, dlatego zaprasza zainteresowanych na najbliższe spotkanie wspólnoty. Starsi stosują metody rekrutacji bardziej wyszukane, z pogranicza socjotechniki. Kto ciekaw, niech zajrzy do kronik kryminalnych, w których owi chrystusi byli górnymi bohaterami. A wracając do autora pierwszego świadectwa, to bym może mu uwierzył, gdyby oświadczył, że pod wpływem Ducha Świętego on także poprosił rodziców o wybaczenie. Co by znaczyło, że wydoroślał w wierze i zaczyna widzieć siebie jako współwinnego, zatem i współodpowiedzialnego za to, co dzieje się w ich domu.

Niektórzy chrystusi, zwłaszcza liderzy, lubią opowiadać o rzekomych egzorcyzmach i innych nadprzyrodzonych zjawiskach wziętych z filmów grozy, co ma udowodnić, że posiadają moc tylko im dostępną. Budują w ten sposób nieprzekraczalny mur oddzielający ich, wybranych i wtajemniczonych, od tych, którzy stawiają opór słowu Bożemu, czyli doktrynie głoszonej przez lidera. I w ten sposób tworzą alternatywny świat wyłącznie dla siebie i dla nawróconych, niepostrzeżenie stając się sektą.

Tymczasem przestrzenią, w której Bóg działa, czyli Jego królestwem, jest cały wszechświat, a nie tylko i wyłącznie jakaś jego część. Ale tej Bożej domenie nie można wytyczyć granic i posiada ona tylko jeden adres – uniwersum. Tak jawi się świat tym, którzy uwierzyli, że powodem jego zaistnienia nie jest przypadek, ale rzeczywistość, która sama siebie nazywa Jestem. A co to znaczy i jak to Jestem działa, dowiadujemy się, patrząc na styl życia Jezusa z Nazaretu. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Ponad nami*



„Kto nie jest przeciwko wam, ten jest z wami" – mówi Pan Jezus do uczniów oburzonych działalnością jakiegoś charyzmatyka, który nie należąc do grona Dwunastu, w imię Jezusa wyrzuca złe duchy. „Zabranialiśmy mu, bo nie chodzi z nami" (por. Łk 9, 49-50). Czytałem ten tekst wielokrotnie – po to, by dopiero ostatnio odkryć w nim pewien szczegół / drobiazg (prawdziwy „okruch"), który nadaje mu kompletnie inną wymowę. Otóż, tam gdzie w tekście polskiego lekcjonarza pojawia się zwrot „z wami" – tam w greckim oryginale występuje greckie słowo *hypèr*. Ma ono wiele znaczeń – i jednym z nich jest nasze polskie „z"; nie jest ono jednak ani pierwszym, ani drugim znaczeniem tego słowa. Św. Hieronim, kiedy tłumaczył nasz tekst na łacinę, użył słowa *pro* – to znaczy po polsku „dla": „Kto nie jest przeciwko wam, ten jest dla was". Trochę tak, jak w sławnym zdaniu Listu do Rzymian: „Jeśli Bóg z nami, któż jest przeciwko nam" (Rz 8, 31), gdzie w greckim tekście Pawła mamy *hypèr*, a w łacińskiej wersji czytamy *pro:* „Jeśli Bóg jest dla nas, któż jest przeciwko nam".

To samo? Chyba jednak nie to samo. Czym innym jest wiedzieć, że Bóg jest obok mnie („ze mną"), a czym innym doświadczać tego, że jest dla mnie – że nie umie istnieć inaczej jak tylko jako dar dla mnie. Być może tak jest i w przypadku naszego wyjściowego zdania: Jezus chce uświadomić Dwunastu, że mogą być ludzie, którzy w Duchu Świętym działają „obok" nich – nie przynależąc do nich, nie od nich czerpiąc upoważnienie do posługi „w Jego imię". Więcej, chce im powiedzieć, że to, co czynią, jest także darem dla Dwunastu. Także ich dotyczy. Mają prawo z tego korzystać. Nie są dla nich przeciwnikiem. Są szansą i bogactwem.

To już by nam wystarczyło... Ale nie. Ponieważ pierwsze znaczenie słowa *hypèr* brzmi: „ponad". I wtedy nasz tekst przyjmowałby brzmienie: „Kto nie jest przeciwko wam, ten jest ponad wami". A więc Jezus nie mówi tylko: „Nie zabraniajcie mu"; mówi także: „Postawcie go ponad sobą". Przyznajcie mu pierwszeństwo. Uszanujcie. Ustąpcie miejsca. Nie jest niżej was tylko dlatego, że do was nie należy...

Tym pewnie różni się myślenie eklezjalne (kościelne) od myślenia sekciarskiego. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Ciąża Miriam*



Zwiastowanie, nawiedzenie, narodzenie. Rozpięte na dziewięciomiesięcznej osi ciąży trzy tajemnice radosne różańca. Ruszył październik, ruszyło różańcowe wzmożenie. Zastanawiam się, czy między te trzy radosne tajemnice da się wepchnąć dłuższy proces, trwający przez cały ten czas, czyli ciążę Miriam z Nazaretu. Ciąża jest oczywistym tłem tych wydarzeń, konsekwencją zwiastowania, cichą bohaterką odwiedzin u kuzynki Elżbiety, wreszcie kończy się narodzinami w Betlejem. Poza tym cisza, Marii ciężarnej w ikonografii jak na lekarstwo, oprócz tej u Elżbiety właśnie. A przecież dla niej to był sam początek, nie powinna mieć wypukłego brzucha, jak na średniowiecznych rzeźbach, gdzie płody witają się, widoczne przez okienka. Poza tym taka ciąża, bez udziału męża, u młodej panienki, w czasach pełzającej ginekologii i wysokiej śmiertelności ciężarnych i położnic, to nie było zupełnie nic. Raczej stan specjalny, powszechny, ale groźny. Jak zresztą do niedawna.

Najbardziej ciążowa jest scena u kuzynki. A właściwie nie scena, bo zwykliśmy widzieć stopklatkę z ich powitania, ze śpiewaniem prorockiej pieśni, wzajemnym uznaniem i rozeznawaniem, co znaczą te cudowne zajścia. Ale Maria poszła do Elżbiety i została, miały ze sobą dłuższy czas, wspólny czas dwóch ciężarnych, kobiecy, wymykający się mężczyznom w ich życiu. Gdzie są w tym tekście mężczyźni? – pyta się zwykle w ramach feministycznej lektury Biblii. No gdzie? Józef nawet nie wspomniany, gdzieś tam może przy robocie w Galilei. Nie słyszymy, by Maria pytała go, czy może iść. Zachariasz? Możemy się domyślać: pewnie jest w świątyni. Maryja pojawia się w jego domu, ale słyszymy, że spotyka tylko Elżbietę. Kobiecy czas paralelnych ciąż. Polegiwania, podawania herbatki, a może dziergania dziecięcych wyprawek? Dla każdej z nich to pierwsze dziecko, wiele niewiadomych, nie tylko związanych z historią zbawienia, ale też z tym, jak to jest, co to będzie.

Ciąża Marii z Nazaretu jako fizyczne doświadczenie umyka. A przecież potrafi dać w kość, nie tylko starej Elżbiecie (pewnie była w moim wieku), ale też młodziutkiej krewnej. Tu drętwieje noga, tam rozwala upał, nudności, obciążony kręgosłup, powolność, zadyszka. Niezauważalny w ewangelicznym tekście i w różańcowej tradycji trud tkania dziecka w swoim łonie. Magia i wysiłek tworzenia człowieka. Też bliżej końca miała trochę dosyć? Potrzebowała popołudniowej drzemki, budziła się wielokrotnie w nocy na siku? Dostawała mocnego kopa, gdy zjadła słodkiego daktyla?

Pytanie o ludzki wymiar ciąży Maryi to nie zwykła ciekawość – jest teologiczne. Wiedziały to już apokryfy z II wieku, dopowiadając szczegóły, choćby o tym, że urodziła jakoś tak, że jej organy zostały porodem nienaruszone. Salome, która nie wierzy położnej w cudowne narodziny i postanawia sprawdzić (owszem, wkładając Maryi dłoń do pochwy), ręka usycha od tego niedowiarstwa. Opowieść ta sygnalizuje jednak osobność matki Jezusa. Bycie Bogurodzicą jest innym sposobem matkowania i rodzenia: bez bólu, bez porwanego krocza, bez problemu. Odkupionym, pozbawionym klątwy zaciągniętej przez Ewę.

Rozumiem, jaka stała za tym potrzeba, ale nie jest moją. Lubię w Maryi siostrę, człowieczą postać, która powiedziała Bogu „tak". Ludzką, jak my, bo wtedy da się uwierzyć, że my też damy radę. I stąd i ciąży bym chciała dla niej zwyczajnej, i porodu. Jakoś wtedy łatwiej się wierzy.

A poza tym chodzę z tym ciążowym brzuchem i myślę niezmiennie, że to wielkie i dziwne oraz trudne. Doniosłe jakoś. Czemu z tej doniosłości i graniczności miałaby być zwolniona? Czemu, wcielając się, Bóg miałby przeskoczyć, wygładzić kanty tego doświadczenia, czemu nie miałby wybrać pełni tego, co człowiecze, również przez zwyczajność ciąży i porodu?

Jest też inny wymiar bycia ciężarną, którego Maryja nie znała w taki sposób, jak znają Polki. Obawa, że nie będziesz podmiotem. Ani na sali porodowej, ani wcześniej, ani nawet gdy chcesz dzieci mieć lub nie mieć. Polska widzi w osobie z macicą kogoś drugiej kategorii. Określa, ilu rzeczy nie wolno, ilu decyzji nie może sama. Nie może sama chcieć dziecka z pomocą wspomaganych metod. Tylko z partnerem. Nie może nie chcieć mieć dziecka i zdecydować o sterylizacji. Państwo wie lepiej, powinna chcieć. Nie może nawet iść spokojnie do szpitala, rodzić lub ronić lub terminować, chroniona przed agresywną wizualnie kampanią tzw. obrońców życia. Państwo, które tyle umie uregulować w kwestii jej ciała, jest zupełnie bezradne wobec europosła lub innych działaczy, ich okrzyków, plakatów, ciężarówek. Nie może mieć pewności co do znieczulenia, bo po co tylu anestezjologów. Kobiety rodzą od zawsze, więc bez też da radę.

Myślicie, że gdyby katolicyzm lepiej dostrzegał ciężarną Marię, to zobaczyłby też inne ciężarne? I inne kobiety, które chcą, nie chcą, marzą i boją się tego, co je w ciąży i w czasie porodu spotka? A może nawet by posłuchał, wyciągnął wnioski, przestał mówić nad ich głowami? Nie wiem, czy to by pomogło, ale na pewno brakuje i dostrzeżenia jej, i zauważenia nas. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".



KRZYSZTOF PIĘCIAK X3

Różaniec znaleziony przy poległych w Hołosku. Wrzesień 2026 r.

MOGIŁY W HOŁOSKU

We wrześniu 1939 r. chowano ich pospiesznie: 115 żołnierzy Wojska Polskiego, poległych pod Lwowem. 87 lat później państwo polskie po nich wróciło.

KRZYSZTOF PIĘCIAK ZE LWOWA

Poderwali się do nowego ataku, desperackiego. Byli wyczerpani. Za sobą mieli trzy tygodnie walk i marszów. Przed sobą miasto, do którego chcieli się przebić. Z nadzieją, że potem wyrwą się na południe z kleszczy, które zamykał Wehrmacht. Wiedzieli, że od wschodu idzie już Armia Czerwona.

Był 20 września 1939 r., północno-wschodnie okolice Lwowa.

„Przed świtem wyjechaliśmy szosą Brzuchowice–Lwów w kierunku Hołoska. Po obu stronach drogi ciągnął się las. Cały dzień staliśmy w ogniu piechoty i artylerii, (...) las chronił, ale niezupełnie. Szosa była stale pod ogniem niemieckich cekaemów" – zanotuje potem Bernard Chrzanowski, podpułkownik lekarz, organizujący pomoc dla rannych.

„Oddziały są wyczerpane i źle odżywione, gdyż przez dłuższy czas maszerowaliśmy bez wytchnienia na Lwów" – to relacja Stanisława Kucharskiego, strzelca z Korpusu Ochrony Pogranicza. Jemu udało się przedrzeć. Inni mieli mniej szczęścia.

GUZIKI Z ORŁEM | Dziś Hołosko Wielkie jest w granicach Lwowa. Dawny wiejski cmentarz otaczają ogródki działkowe i nieco dalej bloki.

– Chowali ich miejscowi – powie Grażyna, Lwowianka i Polka, wspominając opowieść znajomego, mieszkańca Hołoska, który w 1939 r. miał 15 lat. – Wójt kazał, żeby ludzie chowali: jedni szukali po lesie, inni znosili i chowali. Zanim ruscy weszli, Niemcy polecili ich pochować.

Był przy tym obecny młody ksiądz Hieronim Warachim (święcenia przyjął 3 września).

Chowali ich starannie, choć bez trumien. W trzech rzędach, indywidualnie, tak aby każdy miał swój grób. W mundurach. Dziś zachowały się ich strzępy, ale wątpliwości nie ma: są guziki z orłem, hełmy. Czasem znak tożsamości (dziś zwany „nieśmiertelnikiem") z nazwiskiem. Rzeczy osobiste: różaniec („pamiątka św. missyi"), medalik, portfel (w środku złotówki), klucze.

Żołnierze Wojska Polskiego. Oraz kilkunastu Niemców – w 1939 r. nie było to jeszcze rzadkie: chowanie poległych obu stron koło siebie.

Gdy Sowieci zajęli Lwów, splantowali wszystkie groby. Później teren cmenta-

rza, zamkniętego w 1970 r., przekazano pod ogródki działkowe.

Dziś odnajdują ich archeolodzy, historycy, antropolodzy i medycy sądowi: zespół Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN z miejscowym partnerem, organizacją Ukraińska Pamięć. Przy wsparciu przedstawiciela Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu i udziale Ministerstwa Kultury oraz konsulatu RP we Lwowie.

RAJD NA LWÓW | Cofnijmy się do 12 września 1939 r. Od trzech dni trwa bitwa nad Bzurą, największa tej kampanii – i tego dnia pierwsi Niemcy zjawiają się także pod Lwowem. Jak dotarli tak daleko za polskie linie?

Dokonuje tego 1. Dywizja Górska. Jej forpoczta przechodzi polską granicę 5 września w Beskidzie Sądeckim, a większość jej sił 7 września w Beskidzie Niskim. Przełamuje obronę żołnierzy z 2. i 3. Brygady Górskiej Strzelców. Walczących dzielnie, ale nielicznych.

8 września niemiecka dywizja koncentruje się w Żmigrodzie Nowym, a jej dowódca, gen. Ludwig Kübler, daje rozkaz marszu na Lwów. To ponad 230 km, licząc drogami. W ich pokonaniu mają pomóc ciężarówki, ciągniki, motocykle.

Kübler tworzy zmotoryzowane grupy bojowe (strzelców górskich wsadza na ciężarówki, wzmacnia saperami, łącznością i artylerią), które ruszają na wschód. W kilka dni zdołają rozbić obronę Dukli, Rymanowa, linii Sanu. Pędzą szybciej niż polska piechota. Za tą szpicą maszerują, pieszo, kolejne bataliony. Ponoszą straty. Ale idą, na Lwów.

PIERŚCIEŃ | Wieczorem 11 września niemieckie oddziały osiągają rejon Chyrowa i Sambora. Rankiem następnego dnia Kübler ponawia rozkaz: „Jak najszybciej posuwać się na Lwów". Chce zaskoczyć obrońców. To ryzykowne: jego oddziały będą ok. 120 km przed frontem innych dywizji z macierzystego XVIII korpusu (najbliższa, 2. Dywizja Górska, toczy w tym czasie bój pod Birczą).

Po południu 12 września niemiecka szpica dociera do Lwowa. Zostaje zatrzymana.

Nie mogąc zająć miasta z marszu, Niemcy zmieniają taktykę: dzielą jednostki na szereg grup (mówiąc językiem dzisiejszych wojskowych: na zgrupowania taktyczne), w których składzie są strzelcy, saperzy, artyleria. Grupy te, wzmacniane stopniowo kolejnymi docierającymi oddziałami, otaczają miasto luźnym pierścieniem. Walcząc dynamicznie, sprawiają wrażenie, że Lwów oblegają większe siły niż w rzeczywistości.



Pierwotny krzyż na cmentarzu w Hołosku, postawiony przez lwowskich Polaków

Najsilniejsza z takich grup 13 września obchodzi miasto, zajmuje wsie Hołosko Wielkie i Hołosko Małe, a także wzgórza górujące od północy nad Lwowem i wsią Zboiska. Tam tworzy obronnego „jeża".



Guziki żołnierskie i gwiazdka oficerska podjęte z mogił w Hołosku

Zajęcie tego terenu odcina Lwów od dróg do Brzuchowic i Żółkwi – tych, którymi mogło nadejść wsparcie – i od składnicy uzbrojenia w Hołosku. Właśnie o te wzniesienia i wsie – Zboiska, Hołosko i pobliski Malechów – przez kolejne dni toczą się walki. Niemców atakuje lwowska załoga, ostrzeliwuje polska artyleria – silna i mająca zapasy amunicji.

BÓJ O WZGÓRZA | Ówczesne Hołosko to, prócz zabudowań wsi, także ważne punkty: dwa wzgórza górujące nad drogą do Lwowa, gmach sanatorium gruźliczego (zbudowany przed I wojną światową, teraz zajęty przez Niemców) i położone dalej w głębi lasów magazyny uzbrojenia. Tych ostatnich aż do kapitulacji Lwowa wytrwale broni ppłk Ludwik Dmyszewicz z dwoma batalionami starszych wiekiem rezerwistów.

Od północy naciera zmotoryzowana 10. Brygada Kawalerii płk. Stanisława Maczka. Za cenę ciężkich strat szturmuje wzgórza nad Zboiskami.

Jeden z Niemców notuje pod datą 16 września: „Około godziny 16 wróg atakuje wzgórze (...). Jednocześnie Hołosko zostało silnie zaatakowane od północy. W walce wręcz wdzierający się wróg zostaje ponownie wyrzucony z miejscowości, lecz starcia trwają przez całą noc".

Straty są dotkliwe dla obu stron: w dniu najcięższym dla Niemców, 17 września, w szturmach 35. Dywizji Piechoty Rezerwowej (atakuje 207. pprez płk. Jarosława Szafrana), pod ogniem artylerii oraz ułanów i konnych strzelców, w samym Hołosku ginie 19 Niemców (kilkukrotnie więcej jest rannych; tego dnia Wehrmacht stracił więcej ludzi tylko pod Warszawą). W całym rejonie Lwowa Niemcy mają tego dnia prawie 150 zabitych. Odciętym strzelcom górskim żywność i amunicję zrzucają samoloty.

Być może pierścień okrążenia udałoby się rozerwać, gdyby nie niemieckie czołgi: 18 września docierają do Hołoska, by zamknąć drogę na Lwów.

KLESZCZE | Dlaczego te walki są tak istotne? Do Lwowa kierują się bowiem siły gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Miał on objąć dowództwo Frontu ↦

↦ Południowego, by koordynować obronę na linii Sanu. W praktyce staje na czele Armii „Małopolska" (wcześniej „Karpaty"). W połowie września są to trzy dywizje i resztki brygady górskiej: łącznie ok. 24 tys. „bagnetów" między Przemyślem a Sądową Wisznią.

Aby uniknąć niemieckiego okrążenia, siły te posuwają się przez Lasy Janowskie, ciągnące się od Lwowa ku obecnej granicy. Przebijają się między Jaworowem i Gródkiem Jagiellońskim przez część pułku SS (bój ten przejdzie do legendy). Na dalszej drodze stoi wspomniany pierścień okrążenia Lwowa – w tym Hołosko. Dociera tu ok. 4 tys. żołnierzy.

Kolejne ich natarcia załamują się. Ciężki jest los rannych: 20 września, gdy trwa bój pod Hołoskiem, jest ich już, jak szacuje ppłk Chrzanowski, około pięciuset. Nie ma dokąd ich ewakuować, są zwożeni do prowizorycznych punktów opatrunkowych w lesie. „Kapelan miał tego dnia dużo pracy" – zapisze Chrzanowski.

Kolejne oddziały są otaczane i rozbijane. Łącznie 20 września do Lwowa dociera 1260 ludzi. Żołnierz KOP-u, który przedarł się przez Hołosko i sąsiednią dzielnicę Zamarstynów, powie: „Ogólnie żołnierze twierdzą, że lepiej zastrzelić się, niż poddać się i być w niewoli".

Tak uczyni jeden z dowódców, płk Józef Ćwiertniak – załamany po tym, jak udało mu się doprowadzić aż pod Hołosko swoich żołnierzy, których ocalił z Równego po wejściu Sowietów. Tutaj konstatuje, że jest w kleszczach między Niemcami i Armią Czerwoną.



ZBIORY KRZYSZTOFA PIĘCIAKA x3

Niemiecki czołg z 15. pułku pancernego zniszczony pod Hołoskiem, prawdopodobnie przez działo chorążego Jana Rzepki z 5. pułku strzelców konnych



Niemcy z 98. pułku strzelców górskich na stanowisku pod Lwowem; w głębi widoczne sanatorium przeciwgruźlicze w Hołosku

KAPITULACJA | Tego samego 20 września, gdy trwają jeszcze próby przedarcia się do Lwowa, wspomniany niemiecki XVIII Korpus (jemu podlega 1. Dywizja Górska) otrzymuje wiadomość o ustaleniu linii demarkacyjnej między III Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Niemcy przerywają przygotowania do szturmu miasta i zaczynają odchodzić spod Lwowa, Sambora i drohobycko-borysławskiego zagłębia naftowego na zachód, za San.

Od wschodu zbliża się Armia Czerwona. 22 września gen. Władysław Langner, dowódca obrony Lwowa, poddaje miasto Sowietom. Schwytani funkcjonariusze polskiej policji zostaną zamordowani zaraz po kapitulacji, jeszcze w granicach Lwowa. Oficerowie wojska zginą w 1940 r. z rąk NKWD (Langner przeżyje). Jeszcze 23 września pojedyncze grupy żołnierzy odmawiają wykonania rozkazu kapitulacji i kontynuują walkę.

Ostateczny podział II RP przypieczętuje niemiecko-sowiecki pakt o przyjaźni i granicach z 28 września.

STRATY | Rana kości długiej, zadana odłamkiem lub szrapnelem: tak mogłaby brzmieć analiza obrażeń jednego z żołnierzy Wojska Polskiego, odnalezionych dziś w Hołosku. Ekshumowano ich łącznie 115, w tym co najmniej kilku oficerów.

W przyszłości spoczną na polskim cmentarzu wojennym w Mościskach. Natomiast 18 Niemców w Potyliczu, na zbiorczym cmentarzu żołnierzy Wehrmachtu (podobne są w Polsce, na podstawie umów międzynarodowych). Dane Niemców można odtworzyć dzięki znakom tożsamości oraz listom strat, które zachowały się w niemieckich archiwach.

To różnica: o ile straty niemieckie z 1939 r. (oraz słowackie i do pewnego stopnia sowieckie) można dziś policzyć dokładnie – i np. ustalić, że 1. Dywizja Górska straciła w tej kampanii 405 poległych, większość w rejonie Lwowa – to straty Wojska Polskiego można ocenić tylko na podstawie szacunków i relacji. Powód: tempo odwrotu i przegrana (polskie grobownictwo wojskowe nie podjęło pracy). Niekiedy nazwiska pochowanych notowali księża, lekarze, czasem też Niemcy.

Pozostają więc szacunki. Podpułkownik Chrzanowski oceniał, że w oddziałach Grupy Operacyjnej „Jasło", które miał pod swoją opieką, a które walczyły od Nowego Sącza przez Gorlice, Przemyśl



BUNDESARCHIV MILITÄRARCHIV

Lwów, rozmowy kapitulacyjne: Niemcy z 1. Dywizji Górskiej i polski parlamentariusz kpt. dypl. Lech Biały, oficer Oddziału II (wywiadu) Dowództwa Frontu Południowego. 20 września 1939 r.



Odpoczynek żołnierzy z kompanii asystencyjnej (ochrony sztabu) 6. Dywizji Piechoty, która też przebijała się do Lwowa, ale musiała skapitulować w okolicy Lubaczowa. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie koło Huty Deręgowskiej, między Sanem a Tanwią. Połowa września 1939 r.

aż po Lwów, straty wyniosły 4-5 tys. poległych i 15-16 tys. rannych. Zaznaczał: „Tych liczb (...) nie można absolutnie sprawdzić".

Dziś można choćby próbować – właśnie dzięki takim pracom, jak w Hołosku.

SKALA WYZWAŃ | Biała plama: tak można określić temat strat, poniesionych w 1939 r. przez Wojsko Polskie na ziemiach wschodnich II RP. Zwłaszcza tam, gdzie walczono z Armią Czerwoną, bojówkami komunistycznymi i dywersantami z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Wprawdzie część sowieckich dokumentów jest dziś dostępna dla badaczy (w formie kopii, wykonanych w latach 90. XX w.), lecz normą w sowieckich meldunkach było zawyżanie strat wroga i operowanie „okrągłymi" liczbami. Stąd niedokładne szacunki, mówiące dziś o 6-7 tys. poległych w walce i 10 tys. rannych żołnierzach Wojska Polskiego na tym terenie. Po uwzględnieniu zaginionych i zamordowanych przez bojówki, wzrastają one do 17-19 tys. zabitych.

Gdy w latach 90. XX w. próbowano udokumentować i policzyć groby żołnierzy Wojska Polskiego, poległych w 1939 r. na dawnych Kresach, ustalono zaledwie 964 pochówków (w tym 788 znanych z nazwiska).

Wszystkie te liczby obrazują skalę wyzwań, jaką są poszukiwania poza wschodnią granicą obecnej Polski. Tylko niektóre „wycinki" są tu lepiej udokumentowane (i upamiętnione) – dzięki pracy polskich instytucji, wolontariuszy, harcerzy, społeczników. A także, jak w przypadku Hołoska, Polaków żyjących na Ukrainie, którzy na miejscu splantowanych mogił postawili krzyż i opiekowali się tym miejscem.

KROK PO KROKU | Podobnie było w Zboiskach, gdzie IPN prowadził ekshumacje w sierpniu 2025 r. Wcześniej istniało tam wprawdzie upamiętnienie na starym cmentarzu, ale poza tym wiadomo było niewiele. Finalnie odnaleziono szczątki co najmniej 31 osób i liczne tzw. szczątki luźne (to np. polegli od ognia artylerii). Także tam znaleziono „nieśmiertelniki", pozwalające na ustalenie nazwisk.

Pewne rezultaty mogą dawać już same badania sondażowe – tj. takie, podczas których nie prowadzi się ekshumacji, lecz tylko określa, czy mogiła istnieje i jaki jest jej rozmiar. Na tej podstawie można np. ocenić, czy informacje o grobach są wiarygodne, i oszacować liczbę pochowanych.

Przykład Hołoska obrazuje i tę kwestię: pierwotny napis na upamiętnieniu mówił o 1,2 tys. pochowanych, a szacunki w tekstach historycznych o 500-1 tys. Prace sondażowe z 2010 r. wskazały, że w istocie może chodzić o 130-150 osób – i to się potwierdziło.

Istotne jest tu też ukraińskie prawo. Rozdziela ono poszukiwania (tj. ustalenie, czy w danym miejscu są mogiły) i ekshumacje. Inaczej niż w Polsce, gdzie zwykle są one łączone, na Ukrainie mogą rozdzielać je lata. IPN składał wnioski o prowadzenie poszukiwań i ekshumacji na Ukrainie, obejmujące miejsca pochówku żołnierzy Legionów, WP, KOP, ofiar NKWD i zbrodni wołyńsko-galicyjskiej, ale od 2017 r. pozostawały bez odpowiedzi. Teraz to się zmieniło.

CIĄG DALSZY | Ponad 80 lat od II wojny światowej temat strat poniesionych przez Polskę, w tym grobów, jest nadal otwarty. Ich ustalenie – to zadanie na lata. Ale stopniowo można się do niego zbliżać.

Gdy idzie o ofiary z roku 1939: na decyzję strony ukraińskiej czekają teraz kolejne miejsca – Tynne (miejsce pochówku żołnierzy KOP-u, broniących granicy przed Sowietami) i Urycz (żołnierze zamordowani po wzięciu do niewoli). W przyszłości, oby, wiele następnych.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor jest historykiem, pracuje w Oddziale IPN w Krakowie, w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji. Spod jego pióra wyszły prace o dziejach wojskowości w XX w. i powojennym podziemiu. Przygotowuje do druku książkę o zjawisku bandytyzmu pospolitego w woj. krakowskim w latach 1945-1950.

DZIEJE POD PRESJĄ

PETER FRANKOPAN, HISTORYK:

Jeśli cofniemy się do początków historii pisanej, to zauważymy, że niemal wszystkie wielkie teksty świata ostrzegają przed jakąś katastrofą środowiskową.





MAXIMILIEN LAMY / AFP / EAST NEWS

Pożary we Francji w okolicy Bordeaux, 24 lipca 2026 r.

JACEK STAWISKI: Twoja monumentalna książka „Odmieniona Ziemia. Nieopowiedziana historia" w tym roku ukazała się w polskim przekładzie. Czym ona jest? Środowiskową historią planety?

PETER FRANKOPAN: „Historia środowiskowa", „historia naturalna" czy „historia globalna" – każde z tych określeń mi odpowiada. Dla mnie to historia globalna, historia ludzi wpisana w dzieje planety.

Gdy myślimy o historii, zazwyczaj chodzi nam o historię ludzi. Opisujemy kilka tysięcy lat, zaczynając w Egipcie czy na Bliskim Wschodzie. Ale jeśli chodzi o czas geologiczny, to Ziemia ma 4,5 mld lat. I nasza historia ma z historią Ziemi ścisły związek. Dlaczego ludzie mieszkają w takim miejscu jak Polska? Dlaczego Polska nazywa się Polską? To wiąże się z warunkami ekologicznymi. Jej nazwa pochodzi od „pola". Możemy też pomyśleć o tym, dlaczego Paris Saint-Germain wygrywa Ligę Mistrzów. Pierwszy powód jest taki, że mają najlepszych piłkarzy, ale jest i taki powód, że ten klub należy do rządu Kataru, czyli władz państwa siedzącego na ogromnych złożach gazu, które powstały 230 mln lat temu.

Ta książka to przypomnienie, że środowisko, geografia, klimat, ogólnie świat przyrody odgrywają ważną rolę w historii.

Co to znaczy, że Ziemia się „odmieniła"? Masz na myśli przekształcenie środowiska przez ludzi, przemianę planety przez niezależne od nas procesy przyrodnicze czy może wynik interakcji między ludźmi i naturą?

Wszystko. Kształtujemy nasze środowisko, oczywiście nie tylko my – mrówki, termity czy rośliny też to robią. Ale przemiana jest również procesem naturalnym. Spójrz na Angkor w Kambodży – widzimy tam, jak świat przyrody odzyskuje miejsca zabudowane przez ludzi. Przemiana, o której piszę, jest procesem ciągłym i oznacza te wszystkie rzeczy.

A co wskazałbyś jako kluczowe elementy tej naturalnej historii Ziemi i historii ludzi, które sprawiły, że znaleźliśmy się właśnie w tym miejscu, w którym jesteśmy? Pierwsze, co przychodzi większości ludzi do głowy, to pewnie początek rewolucji przemysłowej.

Moglibyśmy omówić wiele przykładów pojedynczych wstrząsów i długofalowych procesów, które wpływają na naszą historię. Pod koniec książki piszę o testach bomb atomowych w czasie II wojny światowej. Te testy, w połączeniu z tym, co spłonęło w czasie wojny – szczególnie w Europie i Japonii – wywarły mierzalny wpływ na warunki klimatyczne. Rzadko myślimy o tym, że na życie na Ziemi w ogromnym stopniu wpływa też... Księżyc. Nie tylko na zachowania zwierząt czy pływy morskie. Zmierzono, że reguluje on cykle rozrodcze u zwierząt – takie efekty pojawiają się także u ludzi.

Przenieśmy się do starożytności. Kiedy zabito Juliusza Cezara, w świecie rzymskim nastąpiła wielka przemiana związana z tym, kto zostanie następcą. Tak się też złożyło, że niedługo potem doszło do potężnej erupcji wulkanu Okmok na Alasce. Kiedy dochodzi do takich erupcji, to materia wulkaniczna i pyły blokują dostęp promieni słonecznych do Ziemi, co zmienia rozkład opadów i ingeruje w proces fotosyntezy na całym świecie. W tym przypadku erupcja wpłynęła na wylewy Nilu i wywołała kilka lat nieurodzajów.

Egiptem rządzi wtedy Kleopatra, Egipcjanka, ale nie całkiem rodowita – to potomkini greckich generałów. To trochę pogarszało jej pozycję polityczną. Gdy więc zaczyna brakować zboża, wszystko drożeje, ponieważ żywności nie wystarcza dla wszystkich. Rolnicy nie chcą sprzedawać jedzenia, bo czekają na jeszcze wyższy wzrost cen. Dochodzi do załamania gospodarczego i niepokojów społecznych.

W tym momencie Kleopatra uznaje, że najlepsze, co może zrobić, to zawrzeć sojusz z Markiem Antoniuszem, wielkim rzymskim wodzem. Następuje potem ciąg wydarzeń, w wyniku którego Oktawian osacza ich oboje w Aleksandrii, oboje umierają, a Oktawian ogłasza się nowym władcą Egiptu. Gdy wraca do Rzymu, mówi, że Rzym ma odtąd z Egiptu tanie zboże na zawsze. Senat jest zachwycony, nadaje mu nowe imię: August, czyli „błogosławiony".

Z kolei podczas rewolucji przemysłowej, o której wspomniałeś, zaczęliśmy spalać węglowodory i węgiel. Co ciekawe, w latach 40. i 50. XIX w. amerykańska ↦

↦ chemiczka Eunice Newton Foote, daleka krewna Izaaka Newtona, prowadziła eksperymenty, które pokazały, że spalanie węgla i emisja dwutlenku węgla spowoduje ogrzewanie się planety. Dziś to bardzo ważny temat gospodarczy, ekologiczny i polityczny. Ale już wtedy to wiedzieliśmy.

To właśnie rewolucja przemysłowa kojarzy się z czymś, co sprawia, że ta zmiana staje się nieodwracalna. A wpływ człowieka na przyrodę z tym, że zmiana przyspiesza.

To nie do końca tak, że zmiana, którą obserwujemy, jest już na zawsze. Inaczej spoglądamy na Ziemię z naszej perspektywy, a inaczej byśmy patrzyli, gdybyśmy myśleli w skalach dziesiątek czy setek tysięcy lat. Ziemia nie ma swojego stanu „naturalnego" – zawsze będzie się zmieniać.

Dziś interesujące jest to, że po raz pierwszy od czasów, gdy dokonujemy pomiarów, prawie każda część Ziemi ociepla się w podobnym tempie. Wcześniej ocieplenie miało charakter lokalny – jedne obszary się ocieplały, inne ochładzały. Ludzi na świecie jest więcej niż kiedykolwiek i spalamy więcej paliw niż wcześniej w historii. Jak dużo? Wymowny przykład: w 2025 r. oceany zaabsorbowały mnóstwo nadmiarowego ciepła. Tyle, ile wygenerowałoby 12 bomb atomowych takich jak zrzucona na Hiroszimę, detonowanych sekunda po sekundzie przez cały rok. Oczywiście zmienia to siedliska morskich organizmów, temperaturę powierzchni mórz i nasze środowisko.

Ludzkie zachowania i wybory wzmacniają planetarne procesy. Nie ma jednak czegoś takiego jak nieodwracalna zmiana. A Ziemię nie obchodzi, jakie życie tutaj istnieje.

Można się zastanawiać, czy nadal panujemy nad procesami, które zapoczątkowaliśmy, takimi jak przekształcanie środowiska spowodowane rewolucją przemysłową czy masową eksploatacją zasobów naturalnych. Wierzysz, że możemy sprawić, by przebiegały inaczej, wolniej? Albo nawet się zatrzymały?

Jako ludzie jesteśmy bez wątpienia bardzo pomysłowi, możemy więc tworzyć rozmaite rozwiązania napotykanych problemów. Możliwości mamy szerokie. Jeśli podróżowałeś do takich państw jak Arabia Saudyjska, gdzie temperatura często przekracza 40 stopni Celsjusza, a nawet sięga 50 stopni, to wiesz, że to nie jest naturalne miejsce do życia. Ale jeśli masz dość pieniędzy, możesz zainstalować klimatyzację. Oczywiście problem robi się wtedy, gdy brakuje zasobów. W kwietniu tego roku 50 najgorętszych miast na świecie znajdowało się w Indiach – cała pięćdziesiątka, a w każdym z nich temperatura przekraczała 45 stopni.

Jednak jeśli znajdujesz problem, to masz szansę znaleźć rozwiązanie. Każdy rozwiązany problem to jakiś krok naprzód. To prawda, że wraz z kolejnymi krokami pojawią się nowe problemy, ale uważam, że jesteśmy pomysłowi i możemy mieć dużo nadziei.

To nie znaczy, że o problemach można zapominać. To znamienne, że jeśli cofniemy się do początków historii pisanej, to zauważymy, że niemal wszystkie wielkie teksty świata ostrzegają przed jakąś katastrofą środowiskową. Choćby biblijna historia Noego i potopu. To nie była tylko jakaś ustna opowieść. Została spisana i uczono jej ludzi. Że jeśli będziemy zachowywać się głupio i samolubnie, to rozgniewamy Boga, który wszystkich zabije.

Zresztą, Adam i Ewa w raju to też podobna opowieść środowiskowa, ważna dla chrześcijan, Żydów i muzułmanów. Bóg mówi do nich: macie wszystko, czego tylko zapragniecie. Warunki są doskonałe. Musicie tylko przestrzegać zasad i nie zachowywać się głupio. Ale ponieważ Adam i Ewa łamią przykazanie, spada na nich kara, która ma charakter środowiskowy. Zostają wyrzuceni z Edenu i muszą martwić się suszą i upałem. Powodziami. Tym, że nie zdołają wyprodukować dostatecznie dużo żywności.

Boża kara za bezmyślność i egoizm ma charakter środowiskowy – taka myśl mogłaby połączyć różne strony debaty klimatycznej.

Podobną przestrogę znajdziemy w innych systemach wierzeń – chińskim, indyjskim. Podkreślają one związek dobrego zachowania, szacunku do przyrody i Boga, do ustanowionego porządku, a także innych ludzi, z groźbą kary o charakterze środowiskowym. To pokazuje, że w naszej historii istnieje głęboki lęk związany z myśleniem o tym, jak mogłaby wyglądać tragedia na poziomie gatunku, że wszyscy mogliby zostać zgładzeni.

Możemy na to spojrzeć optymistycznie: zawsze się tego obawialiśmy, a jednak nadal tu jesteśmy.

Jeśli chodzi o lęk przed nieodwracalnością i niepewną przyszłością, to myślę, że nie jest zaskoczeniem, że część ruchu ekologicznego przypomina zorganizowaną religię, w której funkcjonują tacy „święci" jak Greta Thunberg czy ekolodzy prorokujący: „Jeśli dalej będziemy spalać paliwa kopalne, nastąpi katastrofa i wszyscy zginiemy".

To postawy zakorzenione w długiej i głębokiej tradycji obaw o to, co się stanie, jeśli nasze środowisko stanie się niezdatne do życia. Nie znaczy to oczywiście, że takie postawy nie mają oparcia w faktach. Wielkie miasta przeszłości, takie jak Uruk, Niniwa czy Babilon, już nie istnieją. Historia rzeczywiście uczy, że jeśli przekroczone zostaną pewne granice, to przychodzą konsekwencje.

Wrócę do tego, jak ja odbieram Twoją książkę. Mam silne wrażenie, że to opowieść pokazująca krok po kroku, w linearny sposób, jak ludzie podążają w kierunku katastrofy, ponieważ posunęli się zbyt daleko w wykorzystywaniu zasobów przyrody.

„Linearny" to dla historyka zawsze kłopotliwe słowo. Historia cywilizacji i ich upadku zawsze jest długa i głęboka. To zawsze historia kolejnych niepowodzeń i wytrwałości, która musiała w końcu zostać nagrodzona.

Dziś, kiedy jestem trochę starszy i bardziej pewny siebie, staram się nie myśleć o przeszłości jak o fabule serialu Netfliksa, tylko raczej w kategoriach pewnych kluczowych dla globalnej historii wątków. Takich kamieni budulcowych historii. Możemy pomyśleć o czterech rzeczach, których ludzie potrzebują, by się rozwijać. Po pierwsze, dostęp do pożywienia. Dlatego Polska jest atrakcyjnym miejscem do życia, a Sahara nie. Druga rzecz – obfitość wody. Nie tylko do gaszenia pragnienia czy higieny, także ze względu na łatwy transport. Trzecia rzecz to źródła energii. Na początku mogą być drzewa, które można spalać jako paliwo.

Energii potrzebujemy do ogrzewania się, wytwarzania metali, napędzania naszych fabryk.

Czwarta kwestia wiąże się ze środowiskiem chorobowym. To, jakie patogeny mogą się rozwijać w jakich warunkach. W strefach tropikalnych występuje znacznie więcej chorób zakaźnych niż w chłodniejszych regionach, położonych dalej na północ. Środowisko chorobowe ma związek z oczekiwaną długością życia – im mniej chorób, tym ta długość życia wyższa. A to z kolei przekłada się na poziom ufności do innych, który też rośnie, gdy przesuwamy się ku północnym szerokościom geograficznym. Zmienia się więc nasz stosunek do obcych, ale też relacje między kobietami i mężczyznami, to, jakie prace przypisuje się danej płci. Zazwyczaj im dalej na północ, tym większy poziom równości między płciami. To nie wynika z faktu, że Skandynawowie są mądrzejsi albo milsi czy mają bardziej niebieskie oczy. Częściowo wiąże się to natomiast z reakcjami na środowisko naturalne.

Wydaje mi się więc, że można znacznie więcej zrozumieć, jeśli spojrzysz na świat w takiej szerokiej perspektywie.

W ostatnich rozdziałach piszesz o tym, że te wszystkie ważne dla życia składniki – żywność, woda, energia, panowanie nad chorobami – są zagrożone. Gleba jest zanieczyszczona. Do wody wyrzucamy plastik. Mamy problemy z energią, bo ta tania napędza zmiany klimatyczne. A pandemia nam pokazała, jak trudno opanowywać choroby. Właśnie dlatego czytam tę książkę jako opowieść o ludzkości zmierzającej w kierunku katastrofy.

Ostatnią rzeczą, o której wspominam w książce, jest raport przygotowany przez rząd brytyjski, według którego wszyscy razem na Ziemi zużywamy o połowę więcej pewnych zasobów, niż Ziemia może zapewnić. To trochę jak z pożyczaniem zbyt dużej ilości pieniędzy z banku. Te zagrożenia, które widzimy na całym świecie, są realne i poważne.

Jestem dzieckiem zimnej wojny, czyli czasów, gdy byliśmy dobrze przygotowani na zagrożenia egzystencjalne. A teraz mam wrażenie, że przez ostatnie 30-40 lat wszyscy zasnęli. Nie pomaga to, że obecnie nasza zdolność do globalnej współpracy jest wyjątkowo niska. Mamy



CHARLES MORIARTY / MATERIAŁY PRASOWE W.A.B.

PETER FRANKOPAN jest profesorem historii globalnej w Worcester College na Uniwersytecie Oksfordzkim. Specjalizuje się w historii Bizancjum, początkach Rosji, historii religijnej, ekonomicznej, środowiskowej i kulturowej. Autor bestsellerów takich jak „Pierwsza krucjata", „Jedwabne szlaki" i „Odmieniona Ziemia".

nieprzewidywalne Stany Zjednoczone, nieprzewidywalną Rosję, nieprzewidywalne Chiny, nieprzewidywalny Iran. Duże części świata są w ruchu.

Nie wszyscy mamy równe szanse. Miejsca najbardziej narażone na zmiany klimatu – Afryka Subsaharyjska, Azja Południowa, Azja Południowo-Wschodnia, wschodnie Chiny – dostały inne karty niż my tutaj, w Europie. Ale przygotowanie i zrozumienie, na czym polegają problemy, jest kluczowe. W Polsce jesteście trzeźwi w ocenie tych spraw, ponieważ rozumiecie, jak to jest znaleźć się po niewłaściwej stronie historii.

Miejscami, które pięć tysięcy lat temu znalazły się we właściwym momencie historii, były Nil, Mezopotamia, Rzeka Żółta, Jangcy, Dolina Środkowego Meksyku i Dolina Indusu. Tam narodziły się cywilizacje. Dziś wszystkie te miejsca znajdują się w niepewnej sytuacji.

Jednak wierzysz, że możemy znaleźć wyjście z tych wszystkich problemów. Znajomość historii, przebiegu oddziaływań ludzi i środowiska, prób znajdowania dróg wyjścia z katastrof, jakie podejmowano w dziejach, pomaga w tym utrzymaniu optymizmu?

Oczywiście. Dobrym przykładem jest sama Polska. W 1990 r. wasz PKB na mieszkańca wynosił 2 tys. dolarów. Teraz wasz PKB na mieszkańca wynosi tyle samo co w Wielkiej Brytanii. To świadectwo tego, jak wygląda ciężka praca. Ciężka praca, planowanie oraz zdolność zrozumienia, że jeśli odpowiednio się przygotujemy i będziemy ciężko pracować, możemy wprowadzić rozwiązania.

Myślę też o osiągnięciach nauki. Tutaj, w Oksfordzie, w ciągu roku stworzono szczepionkę przeciw koronawirusowi, ponieważ jeśli umieści się w jednym pokoju wielu mądrych ludzi z dobrym budżetem, to można różne rzeczy naprawić. Ale często najpierw trzeba się przestraszyć albo zaniepokoić.

Mam jeszcze jedną myśl, gdy czytam „Odmienioną Ziemię". To również książka o tym, jak bardzo zmieniła się historia jako dyscyplina akademicka. Jak wiele zawdzięcza naukom przyrodniczym.

Zmieniła się całkowicie. Gdy robiłem doktorat 35 lat temu, musiałem się nauczyć czytać swoje źródła, potem zająć się trochę archeologią i historią sztuki, żeby rozumieć przedstawienia wizualne. Teraz historyk musi rozumieć nauki o klimacie, te ogromne archiwa rdzeni lodowych, danych o słojach drzew, skamieniałych pyłków, osadów jeziornych, w których możemy wykonywać pomiary. Również takie rzeczy jak genetykę.

Jestem zaangażowany w projekt dotyczący czarnej śmierci, wielkiej zarazy, która ogarnęła całą Europę w latach 40. XIV w. i zabiła być może 40 proc. ludności. W Polsce śmiertelność była znacznie niższa. Dlaczego? Czy po prostu brakuje dobrych danych, które potwierdziłyby rzeczywistą, równie wysoką śmiertelność? Nie wiemy.

Ale dziś możemy przyjrzeć się samemu patogenowi, wyizolować go, zobaczyć, że rozdziela się na cztery różne linie. Możemy cofać się, jak po drzewie, żeby zobaczyć, skąd pochodzi ten korzeń, gdzie znajdowałby się punkt rozgałęzienia. Możemy spekulować, co spowodowało to rozgałęzienie, dlaczego jedna z tych czterech linii stała się znacznie bardziej niebezpieczna i śmiercionośna niż pozostałe.

Historycy mogą dziś czerpać wiedzę z analizy ludzkich migracji, zmian w języku, chorób, klimatu. To nie jest dla historyków łatwe, bo ci z Wielkiej Brytanii ostatni raz zajmowali się matematyką i naukami przyrodniczymi, jak mieli ↦

↦ po 16 lat. Historycy często pracują jak mnisi, każdy zamieszkuje w swojej osobnej jaskini, a potem co trzy czy cztery lata wychodzą z książką, mówiąc: „Oto, co stworzyłem”.

A w globalnym ujęciu – czego jeszcze te wszystkie nowe dane dotyczące naszej przeszłości nas uczą?

Pokazują choćby, że nowe odpowiedzi pociągają za sobą nowe problemy do rozwiązania. W Europie jesteśmy dziś bardzo podzieleni w kwestiach tożsamości i etniczności. Wystarczy spojrzeć na Ukrainę i Rosję – Putin mówi, że przecież są jednym narodem. Materiał genetyczny, który tak wiele mówi o historii, może zostać wykorzystany jako broń. To już się dzieje. W Indiach pyta się, kim jest prawdziwy Hindus. Czy to ktoś, kto ma związki z Ariami? Czy ktoś, kto ma – jak w północnych Indiach – wspólne DNA w ok. 20 proc. z mieszkańcami Skandynawii?

Kwestie dotyczące tego, skąd pochodzimy, są trudne i politycznie wrażliwe. Wiele społeczeństw próbuje mówić o własnej mitycznej przeszłości. W Turcji istnieje baza danych, w której można sprawdzić czworo dziadków każdej osoby, i jeśli ma się czworo przodków urodzonych w Turcji, to szanse na pracę w służbie cywilnej są większe niż wtedy, gdy jeden z nich nie jest Turkiem. Podobnie jest w Chinach, w Indiach, w Rosji.

W starożytności Rzymianie robili to inaczej: jeśli mieszkało się w granicach Cesarstwa Rzymskiego, było się Rzymianinem. Można było mówić w dowolnym języku, można było mieć dowolne przekonania religijne. To wystarczało. Dziś pytamy: skąd pochodzisz? Jaki masz kolor skóry? Jakie jest twoje dziedzictwo? Jakie jest twoje pochodzenie etniczne? I nikt nie wie, jaka jest właściwa odpowiedź na te wszystkie pytania.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI



Peter Frankopan
ODMIENIONA ZIEMIA. NIEOPOWIEDZIANA HISTORIA
Wydawnictwo W.A.B.
Wrocław
2026

Dieta, której nie było

ŁUKASZ KWIATEK

ANTROPOLOGIA | Paleolityczny styl życia, obejmujący rezygnację ze zbóż, nabiału i przetworzonej żywności, nadal ma swoich zwolenników. Choć nowe odkrycia archeologiczne są dla nich kłopotliwe.

Jest rok 1987. Biolog Jared Diamond – już wtedy ceniony naukowiec i popularyzator, ale jeszcze nie autor bestsellerów takich jak „Trzeci szympans” czy „Strzelby, zarazki, maszyny” – publikuje w magazynie „Discover” (mającym niemal milionowy nakład) artykuł, który zmieni sposób myślenia rzeszy ludzi na temat fundamentów naszej cywilizacji.

Tekst nosi tytuł „Największa pomyłka w dziejach ludzkości” i mówi o... rolnictwie. To oczywiście prowokacja – Diamond sam przypomina, że dzięki rolnictwu zaludniliśmy Ziemię, „zbudowaliśmy Partenon i skomponowaliśmy Mszę h-moll”, bo wszystkie nasze osiągnięcia z ostatnich 10 tys. lat zawdzięczamy ostatecznie temu, że kilku różnym społecznościom udało się udomowić kilkanaście gatunków zwierząt i roślin.

Skąd więc tytułowa pomyłka? Diamond przekonywał, że nasze typowe, ponure wyobrażenia na temat sposobu życia tradycyjnych społeczności zbieracko-łowieckich są błędne. Przywołał m.in. dane pokazujące, że ludzie żyjący w epoce lodowej byli nawet 12-15 centymetrów wyżsi niż członkowie cywilizacji z początku epoki brązu. To sugeruje, że łowcy-zbieracze odżywiali się znacznie lepiej niż rolnicy.

Plecy rolnika, zęby myśliwego

Według innych przywołanych doniesień, członkowie społeczności Dickson Mounds z Illinois, którzy w XII w. rozpoczęli uprawę kukurydzy, mieli po zmianie stylu życia o połowę częściej defekty szkliwa niż ich przodkowie. Również czterokrotnie częściej zapadali na anemię i trzykrotnie częściej na choroby, które zostawiły trwały ślad w ich szkielecie, nie wliczając nawet wzrostu występowania zwyrodnień kręgosłupa, które łatwo połączyć ze zwiększonym obciążeniem pracą na roli.

To tylko wybrane dane historyczne – można również wspomnieć o masie problemów związanych ze współczesnym, siedzącym stylem życia, w zbyt gorących, zabetonowanych i przeludnionych miastach, z dostępną na każdym kroku wysoko przetworzoną żywnością.

„Okazuje się – pisał Diamond o współczesnych członkach tradycyjnych społeczności zbieracko-łowieckich z Afryki – że ludzie ci mają mnóstwo wolnego czasu, dużo śpią i są mniej zapracowani niż ich sąsiedzi uprawiający rolę. Na przykład jedna z grup Buszmenów poświęca na zdobywanie żywności przeciętnie zaledwie od 12 do 19 godzin tygodniowo, a koczowniczy Hadza z Tanzanii – 14 godzin lub mniej. Kiedy jednego z Buszmenów zapytano, dlaczego nie poszedł w ślady sąsiednich plemion i nie zajął się rolnictwem, odpowiedział: »Po co mielibyśmy to robić, skoro na świecie jest tyle orzechów mongongo?«”.

Jeśli dodamy do tego choroby zakaźne – których przynajmniej część zawdzięczamy udomowionym zwierzętom – czy najróżniejsze wyzwania społeczne (nierówności mogły zacząć się wtedy, gdy nauczyliśmy się produkować pożywienie, które można długo przechowywać), to zrozumiemy, dlaczego zdaniem Diamonda rolnictwo było „pomyłką, z której konsekwencji nie podźwignęliśmy się do dzisiaj”.

Diamond nie był jednak twórcą, a raczej popularyzatorem tego rewizjonistycznego poglądu na temat rolnictwa. Przedstawił wielu odbiorcom idee, które w antropologii i medycynie od jakiegoś czasu wzbierały na sile.



SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

Łowcy-zbieracze z zamieszkującej Europę kultury graweckiej (ok. 33-22 tys. lat temu) polowali na wiele gatunków zwierząt, w tym mamuty, ale w ich diecie znajdowały się też wytwory z mąki.

Ewolucyjne niedopasowanie

Oczywiście, uczeni rozmyślający o sielskim życiu łowców-zbieraczy nie zachęcali do powrotu do życia w lesie i jaskiniach. Dla ludzi, którzy nie zostali wychowani w tradycyjnej społeczności, z jej znajomością środowiska i wypracowanymi od setek pokoleń praktykami, rezygnacja ze zdobyczy cywilizacji skończyłaby się po prostu źle.

Jest jednak istotny obszar naszego życia, który da się stosunkowo łatwo zmienić: dieta. Skoro bowiem rolnictwo (w kategoriach ewolucyjnych niedawny wynalazek) było katastrofą społeczno-zdrowotną, a nasze ciała zdają się być nieprzystosowane do spożywania współczesnego pokarmu, to może zmiana nawyków żywieniowych – na takie, które miały panować w epoce kamienia przez 2-3 miliony lat – wyszłaby nam na dobre?

Te pytania postawili m.in. lekarz S. Boyd Eaton i antropolog Melvin Konner, którzy w 1985 r. wprowadzili do dietetyki tzw. hipotezę ewolucyjnego niedopasowania. Mówi ona, że cechy, które były korzystne dla naszych przodków w czasie, gdy wyewoluowały, u ludzi żyjących we współczesnym środowisku prowadzą do problemów zdrowotnych. Prostym przykładem jest preferowanie słodkich i tłustych pokarmów. Dzięki niemu w epoce kamienia nasi przodkowie sięgali po pożywne owoce i polowali na mamuty, których mięso zapewniało przeżycie całej społeczności. A my objadamy się czekoladą i chipsami.

Niedługo później Eaton i Konner wspólnie z antropolożką Marjorie Shostak wydali książkę zawierającą kompletny przepis na „życie jak w paleolicie", napędzając kiełkujący wówczas ruch, który w następnych dekadach zyskał na Zachodzie wielu zwolenników. Główną częścią tego ruchu jest dieta odrzucająca to wszystko, co pojawiło się w naszym jadłospisie w ciągu ostatnich 10 tys. lat dzięki rolnictwu (zboża, nabiał, rośliny strączkowe, przetworzona żywność) na rzecz tego, do czego mógłby mieć dostęp stereotypowy jaskiniowiec (mięso, ryby, jaja, orzechy, owoce, miód).

Swój szczyt popularności ta tzw. dieta paleo osiągnęła kilkanaście lat temu, gdy społeczność jej zwolenników dorobiła się już kolejnych książek (m.in. Lorena Cordaina), blogów, influencerów i producentów żywności. Według danych Google'a w latach 2013 i 2014 to właśnie dieta paleo była tą najczęściej wyszukiwaną w USA, przed dietą sokową i śródziemnomorską.

Do dzisiaj w sklepach w Wielkiej Brytanii, Australii i USA można natknąć się na produkty paleo (skrupulatnie certyfikowane przez Paleo Foundation), które nadają się także dla osób na diecie bezglutenowej czy wysokobiałkowej. Ale sam ruch paleo jest już cieniem samego siebie sprzed dekady, co raczej ma więcej wspólnego z pojawianiem się nowych trendów żywieniowych i zjawisk kulturowych niż z nowymi doniesieniami naukowymi. Choć trzeba przyznać, że te ostatnie dla najwierniejszych zwolenników diety paleo są kłopotliwe.

Żywieniowi oportuniści

W 2010 r. zespół Anny Revedin opisał kilka sporych, płaskich kamieni, datowanych na ok. 30 tys. lat, znalezionych na stanowiskach archeologicznych w Czechach (Pavlov), Rosji (Kostenki) i Włoszech (Bilancino). Znajdowały się na nich mikroskopijne ziarenka skrobi pochodzące m.in. z kłączy pałki wodnej. Jak ustalono, kamienie te służyły do mielenia bogatych w skrobię części roślin.

Odnalezienie skrobi, głównego składnika wielu rodzajów mąki, w obozowiskach łowców-zbieraczy – 20 tys. lat przed powstaniem pierwszych społeczności rolniczych – było sensacją. Z nowszych badań wiemy, że mąka z bogatych w skrobię bulw, kłączy, nasion dzikich zbóż oraz z żołędzi wytwarzana była już dziesiątki tysięcy lat temu przez różne europejskie grupy łowców-zbieraczy. Nawet najstarszy znany chleb upiekli łowcy-zbieracze z kultury natufijskiej na Bliskim Wschodzie 14,5 tys. lat temu.

Z irackiej jaskini Shanidar mamy zaś dowody na to, że nawet 70 tys. lat temu neandertalczycy zjadali dzikie rośliny strączkowe, których przygotowanie było problematyczne – mogło obejmować tłuczenie, namaczanie i ogrzewanie.

Co ważne, nie mówimy tu o pojedynczych eksperymentach kulinarnych. Liczba znalezisk, odległości między stanowiskami archeologicznymi, a przede wszystkim stopień trudności odpowiedniej obróbki roślin przekonuje, że mamy u łowców-zbieraczy do czynienia z przegapioną wcześniej przez archeologów technologią żywieniową.

Jednak nawet fakt, że łowcy-zbieracze zjadali pokarmy odrzucane we współczesnej diecie paleo, nie jest dla niej najbardziej kłopotliwy. Dziś zdajemy sobie sprawę z tego, że w paleolicie nie było jednej diety, a ludzie żyjący na różnych obszarach – i w różnych okresach – żywili się czym innym. Istnieją np. rozsądne argumenty, że ważnym źródłem białka i mikroelementów dla naszych bardziej odległych przodków były owady.

Najważniejszą cechą paleolitycznej diety był raczej nie jej skład, lecz elastyczność. Przez ogromną część epoki kamienia nasi przodkowie żyli w świecie, w którym dostępność różnych rodzajów pożywienia zależała od klimatu, pory roku i miejsca. Czasem, żeby przeżyć, trzeba było po prostu zjadać wszystko, co dało się wziąć do ust.

Co nie znaczy – i to już porada dietetyczna – że powinniśmy robić tak samo. ©℗

DRZWI NA ESTRADĘ

Po raz pierwszy odbył się w Warszawie, w roku 1935, od razu stając się najważniejszą imprezą wiolinistyczną w Polsce. Po wojnie przeniesiony został do Poznania – i od tego czasu gości w urodziwej Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, głównej sali koncertowej miasta.

W tym roku czeka nas już XVII edycja Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego, który co pięć lat gromadzi młodych skrzypków z całego świata. Poznań czeka na 50 gości z 36 krajów, a sam turniej, w czterech etapach, potrwa od 8 października (przesłuchania od 9), do 22, kiedy to, po finałowym wykonaniu Koncertów patrona, poznamy kolejność nagród – a następnie będziemy jeszcze słuchać koncertów laureatów.

Konkurs wyróżnia się ciekawymi nowościami w programie: w II etapie, kameralistyki z fortepianem, kandydaci nie unikną utworów z polskiego repertuaru (jest w czym wybierać!), natomiast w III etapie, zamiast dotychczasowego Mozarta, zagrają jeden z utworów z orkiestrą smyczkową, Góreckiego, Panufnika, Wajnberga lub Vaksa. M.in. o tych zmianach rozmawiamy z dyrektor Konkursu, Karoliną Kaźmierczak.



LESZEK ZADOŃ / FRESH FRAME

KAROLINA KAŹMIERCZAK, dyrektor Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego:

Tak programujemy repertuar, żebyśmy po konkursie wiedzieli, jaką osobowością jest laureat.

JAKUB PUCHALSKI: To dla Pani drugi Konkurs w roli dyrektora. Poprzednia edycja była takim sukcesem, także organizacyjnym, że została wyróżniona jako Wydarzenie Roku nagrody Koryfeusz Muzyki Polskiej. Mimo to tym razem sporo się zmieni.

KAROLINA KAŹMIERCZAK: Żeby iść do przodu, zawsze trzeba coś zmieniać. Zmienia się więc program. Pracowaliśmy nad tą koncepcją ponad trzy lata, wraz z Bartkiem Niziołem i z Agatą Szymczewską, którzy dołączyli do zespołu organizacyjnego bezpośrednio po poprzedniej edycji. Wsłuchiwaliśmy się w wiele różnych głosów, choć nie wszystkim jesteśmy w stanie sprostać – na przykład oczekiwaniom niektórych melomanów, którzy pragnęliby, aby ten konkurs był monograficzny.
Na nasze nieszczęście, Wieniawski miał tak intensywne życie koncertowe, że nie pozostawił po sobie tylu utworów, ilu byśmy sobie życzyli. Ale na pewno chcieliśmy, żeby miejsce Wieniawskiego było ważne. Jego muzyka otwiera i zamyka program przesłuchań konkursowych. To klamra kompozycyjna.

Zależało nam także, by bardziej promować polską muzykę. Stąd większa jej obecność w drugim i trzecim etapie. Przede wszystkim jednak chcieliśmy, żeby ten program dawał uczestnikom możliwość pokazania własnej osobowości i wrażliwości. I stąd element dowolności w początkowych etapach. Poza utworami obowiązkowymi, takimi jak kompozycje Wieniawskiego w pierwszym etapie, jeżeli uczestnik nie wypełni nimi minimum czasowego, musi go uzupełnić już dobranymi utworami dowolnymi. W tym momencie jest więc miejsce na kreowanie własnych programów, na przykład z Bachem albo z Paganinim, którzy zwyczajowo są pozycją obowiązkową na konkursach skrzypcowych.

Byli też dotąd na Konkursie Wieniawskiego, a tym razem faktycznie ich nie ma.

Ale mieli swoje miejsce w bardzo rozbudowanych etapach preselekcyjnych. W drugim etapie eliminacji mieliśmy jako utwory obowiązkowe właśnie solowego Bacha i kaprysy Paganiniego. A że myślimy o programie konkursowym całościowo, łącznie z eliminacjami, to nie chcieliśmy tego dublować. Aczkolwiek wśród utworów dowolnych paru uczestników wybrało właśnie Bacha i Paganiniego, obaj zabrzmią więc znowu podczas pierwszego etapu.

Chcieliśmy tak programować repertuar, żebyśmy po konkursie wiedzieli, jaką osobowością jest ktoś, kto zostaje „laureatem Wieniawskiego". Repertuar poniekąd zdefiniuje go jako muzyka, zamiast nadawać jedynie etykietkę laureata kolejnego konkursu.

Ewolucję przechodzi też skład jurorów.

To też był wybór kolektywny, wynikający z naszych naprawdę wielogodzinnych rozmów z Bartkiem i z Agatą. Przede wszystkim zależało nam na stworzeniu „zespołu jurorskiego", a nie zbioru indywidualności. Powołanie jury, które bierze odpowiedzialność za swoje wybory wspólnie, choć oczywiście wszyscy wciąż będą mieli odrębne opinie, bo to są artyści; każdy też słucha bardzo subiektywnie.

Czy zatem o wynikach będą decydować tylko punkty, czy jednak pojawi się dyskusja?

Przede wszystkim punkty. Zgodnie z dobrym zwyczajem opublikujemy je po zakończeniu konkursu. Ale też zawsze przewidujemy możliwość dyskusji.

Są także znane mechanizmy korekty, gdyby okazało się, że ocena jednego jurora znacząco odbiega od średniej ocen pozostałych jurorów.

Czasem budzi to kontrowersje, bo jeżeli komuś ufamy, zapraszając go do jury, to dlaczego cenzurować jego ocenę?

Tak, ale gdybyśmy nie wprowadzili tego mechanizmu korekty, traciłyby na tym przede wszystkim indywidualności artystyczne, bo to one najbardziej polaryzują opinie. Wskutek tego te indywidualności, które porywają publiczność, miałyby wyniki bardzo uśrednione, bo jedni będą dawać wysokie noty, inni niskie. W efekcie zwyciężaliby kandydaci bardzo porządni, grający równo – świetni, ale jednak bez rysu wyrazistej osobowości, pobudzającej do dyskusji.

Bardzo chcieliśmy też odejść od skali dwudziestopięciopunktowej. Uważam, że jest ona niestety w naszej mentalności bardzo mocno zakorzeniona w systemie szkolno-akademickim i część jurorów operuje skalą de facto od 11 do 25. Tak jakby 25 punktów oznaczało ocenę celującą, 24 to jest piątka, a 11 już niedostateczny.

To faktycznie typowy konkursowy problem. Tymczasem z samego założenia wszyscy przecież są przynajmniej piątkowi, a punkty mają jedynie wyłonić ich kolejność. 15 to nie trójka, tylko miejsce wśród bardzo dobrych.

Mamy więc nadzieję, że ta ograniczona skala, w której zachowujemy też opinie „tak" i „nie", czyli jest w niej jednak dość światłocienia, pomoże sędziom odejść od tego schematu.

Wygląda na to, że czeka nas ciekawy eksperyment.

Myślę, że fazę eksperymentów mamy już za sobą – w postaci jedenastej edycji Ogólnopolskiego Konkursu im. Zdzisława Jahnkego. Testowaliśmy tam ten nowy system oceniania – i jurorzy byli zadowoleni z ostatecznych wyników – a także praktycznie bliźniaczy program, poza etapem z orkiestrą kameralną. Na pewno nie chcielibyśmy eksperymentować na zupełnie żywym organizmie, którym jest duży konkurs.

W dzisiejszych czasach konkurs to jednak nie tylko wybór grupy laureatów, ale też to, co się dzieje później, czyli promocja tych młodych muzyków.

Już podczas poprzedniej edycji częścią nagrody dla naszych laureatów był udział w trasie koncertowej. Skala tej trasy przerosła nawet nasze oczekiwania, ponieważ nasi laureaci łącznie zagrali ponad 120 koncertów na pięciu kontynentach. Czyli otwieramy im drzwi na estrady, do których sami musieliby może pukać latami. Oczywiście, dalsza odpowiedzialność za to, jak tę szansę wykorzystają, spoczywa na nich samych.

Staramy się więc budować współpracę z innymi instytucjami, z salami koncertowymi, dbając nie tylko o laureata pierwszej nagrody, ale także o pozostałych. Nasi laureaci ponownie zagrają na wielu estradach całego świata. Mają już przecież gotowy materiał do koncertowania. Jednocześnie, grając i Wieniawskiego, i inne polskie utwory, będą promować i sam konkurs, i polską muzykę. Bo sukces konkursowy nigdy nie może być końcem drogi, jej celem. On ma być tylko jednym z kroków. I jeżeli jako machina promocyjna, przykuwająca uwagę mediów i publiczności, jest w stanie pomóc w rozwoju, być wyrzutnią do kariery, to jest to optymalna sytuacja.

Znamy przecież tyle niesamowitych osobowości, które wcale nie zdobyły głównych laurów, a mimo to konkursy pozwoliły im zaistnieć i zbudować całą karierę. Tego właśnie życzę zatem naszym uczestnikom: żeby każdy w ramach tego konkursu znalazł coś dla siebie. Coś, co pomoże mu w rozwoju, cokolwiek by to było.

© Rozmawiał JAKUB PUCHALSKI

MATERIAŁ PARTNERA

B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

dla tych, którzy łączą, nie dzielą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

KULTURA | Dla twórców i inicjatyw, które otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób i organizacji, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.

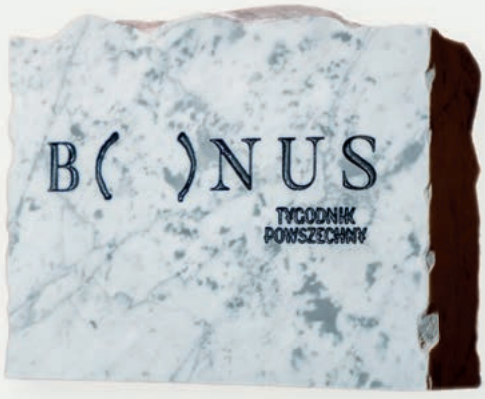
MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagroda dla tych, którzy poprzez wsparcie inicjatyw kulturalnych, naukowych i pomocowych budują wspólnotowość i zaufanie w przestrzeni publicznej.

Laureatów drugiej edycji Nagrody poznamy 7 listopada podczas gali w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie. Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

20 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków



FOT. MAREK BEDNARZ

Dowiedz się więcej

szczegółowe informacje o nominowanych i o nagrodzie na **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

PARTNERZY:

Kraków | ERGO HESTIA | TERLAN

PATRONI MEDIALNI:

65 TVP3 KRAKÓW | TVP Info | Trójka POLSKIE RADIO

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 41/2026

FESTIWAL NOWE OŚWIECENIE

CO DALEJ Z INTELIGENCJĄ?



NOi

17–24 PAŹDZIERNIKA 2026
URSYNOWSKIE CENTRUM KULTURY
„ALTERNATYWY"
UL. INDIRY GANDHI 9, WARSZAWA
(KOŁO METRA IMIELIN)
WWW.FESTIWALNOWEOSWIECENIE.ART

Przekornie staromodni

KRZYSZTOF CZUBASZEK,
DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU NOWE OŚWIECENIE:

To nie sztuczna inteligencja objaśnia nam świat. Robią to mądrzy ludzie, AI zaś jest jedynie narzędziem korzystającym z ich dorobku.



MICHAŁ SOWIŃSKI: Dlaczego inteligencja stała się tematem tegorocznej edycji Festiwalu Nowe Oświecenie? To pojęcie brzmi dziś trochę archaicznie.

KRZYSZTOF CZUBASZEK: Od początku istnienia Festiwalu stawiamy sobie oraz naszym gościom i uczestnikom pytania, które uznajemy za fundamentalne. Formułujemy je możliwie szeroko, aby nie wyznaczać dyskusji zbyt wąskich ram. Zaczęliśmy od pytania: „Czy to już koniec świata?". Później zastanawialiśmy się: „Kim jest człowiek?", „Po co nam kultura?", a podczas ubiegłorocznej edycji – „Czym jest polskość?". Są to pytania graniczne, można powiedzieć: maksymalistyczne.

Kiedy szukaliśmy tematu piątej, jubileuszowej edycji, uznaliśmy, że takim zagadnieniem może być właśnie inteligencja. Dziś słowo to kojarzy się przede wszystkim ze sztuczną inteligencją – jednym z najważniejszych tematów debaty publicznej, który rozpala wyobraźnię, budzi nadzieje, ale także niepokój. AI w pewnym sensie zawłaszczyła pojęcie inteligencji. Tymczasem ma ono również tradycyjne znaczenie: odnosi się zarówno do określonej warstwy społecznej, jak i do pewnej postawy wobec świata oraz innych ludzi. Zestawienie tych dwóch znaczeń wydało nam się bardzo interesujące.

O czym chcecie rozmawiać podczas Festiwalu?

Festiwal trwa osiem dni, a towarzyszą mu wystawy, projekcje filmowe, spektakle i koncerty. Stanowią one jednak oprawę wydarzenia, którego istotą pozostają rozmowa i namysł nad otaczającym nas światem.

Przez długi czas inteligencja odgrywała istotną rolę społeczną. Tworzyli ją liderzy opinii i autorytety – ludzie, których słuchano, ponieważ dysponowali wiedzą naukową lub życiowym doświadczeniem i dzielili się nimi w książkach, podczas wykładów oraz poprzez aktywny udział w życiu publicznym. Reprezentanci środowisk akademickich, naukowcy i specjaliści oczywiście nie zniknęli. Zanika natomiast dawna społeczna rola inteligencji.

Czyli nie tyle brakuje ludzi mających wiedzę, ile raczej wspólnych autorytetów?

Właśnie tak. Autorytety zastępują celebryci. Każdy może oczywiście mieć w swojej bańce osoby, które podziwia i za którymi podąża. Istotą dawnej inteligencji była jednak pewna powszechność. Uczelnie, książki i środki masowego przekazu tworzyły w miarę spójny główny nurt. Było to coś, co łączyło społeczeństwo.



DEAN TREML / GETTY IMAGES

Metro w Kopenhadze, czerwiec 2013 r.

Dziś możemy darzyć uznaniem wybitnych myślicieli czy osoby, które nazwalibyśmy inteligentami, jednak zasięg ich oddziaływania jest coraz mniejszy. Chcemy więc zapytać, czy inteligencja jako warstwa społeczna rzeczywiście zeszła już ze sceny, czy też taka diagnoza jest przedwczesna.

Czy część dawnej funkcji eksperckiej inteligencji przejmuje dziś AI?

Tak. Sztuczna inteligencja przestała być wyłącznie technologiczną ciekawostką czy wielką niewiadomą. Coraz częściej występuje w roli eksperta. Kiedy szukamy odpowiedzi, sięgamy po telefon lub laptop i pytamy Chata GPT albo inne narzędzie. Zdarza się nawet, że w przypadku dolegliwości zdrowotnych najpierw zwracamy się do AI, zamiast skonsultować się z lekarzem – nie mówię oczywiście o poważnych sytuacjach, które wymagają profesjonalnej pomocy.

Pojawia się więc pytanie: czy inteligenci są nam jeszcze potrzebni? Chcemy je postawić zarówno przedstawicielom środowisk akademickich i naukowych, jak i uczestnikom Festiwalu, którzy przysłuchują się debatom, a później sami włączają się do dyskusji.

Czy marginalizacja inteligencji jest wyłącznie znakiem czasu, czy także skutkiem jej własnych zaniedbań?

Moim zdaniem jest przede wszystkim znakiem czasu. Nie obarczałbym odpowiedzialnością inteligencji rozumianej jako środowisko ludzi zajmujących się zawodowo myśleniem – filozofów, humanistów, ale także przedstawicieli inteligencji technicznej i specjalistów nauk ścisłych. Ci ostatni zachowali zresztą silniejszą pozycję, ponieważ sztuczna inteligencja jest ich produktem. Nie oznacza to jednak, że ta grupa jest wolna od zagrożeń – widzimy je chociażby w branży ↦

↦ informatycznej, w której AI wypiera programistów i zaczyna się niejako sama reprodukować.

Co osłabiło inteligencję humanistyczną?

To rezultat przemian cywilizacyjnych i paradoksalny skutek zjawisk, które same w sobie są pozytywne: demokratyzacji społeczeństwa oraz upowszechnienia dostępu do wiedzy i informacji. Mamy dziś wiele alternatywnych źródeł i chętnie korzystamy z tej różnorodności. Nie jesteśmy już zdani na szkolny podręcznik czy jeden program edukacyjny w telewizji, który oglądał niemal cały kraj, ponieważ nie było innego wyboru.

Dziś możliwości są nieporównanie większe. Mamy setki wyspecjalizowanych kanałów telewizyjnych i internet, który daje dostęp do ogromnych zasobów wiedzy, ale jest również wielkim informacyjnym śmietnikiem. Nie chcę idealizować przeszłości, bo miała ona wiele ciemnych stron. Istniały jednak ośrodki, które selekcjonowały i porządkowały przekaz trafiający do odbiorców.

Problemem jest więc brak wspólnych filtrów?

Powszechny dostęp do treści sprawia, że każdy dokonuje własnego wyboru: może obejrzeć program popularnonaukowy, posłuchać wartościowego podkastu albo wróżki czy rozmaitych magów z YouTube'a. Wiele zależy od szkoły i mediów, które mogą kształtować wrażliwość, rozbudzać potrzeby i uczyć świadomego wybierania wartościowych treści. Ostatecznie jednak sami decydujemy, z jakich źródeł korzystamy, i coraz częściej zamykamy się we własnych bańkach.

Takich baniek jest nieskończenie wiele. Przestają nas łączyć wspólny etos i wspólne wartości, ponieważ wybieramy idee niczym produkty w supermarkecie. Inteligenci nadal mają wiedzę, ale stali się jednym z wielu jej źródeł. Muszą konkurować o uwagę odbiorców, którzy aktywnie korzystają z dostępnej różnorodności.

> Inteligencja długo odgrywała istotną rolę społeczną. Środowiska akademickie, naukowcy i specjaliści nie zniknęli – zanika dawna społeczna rola inteligencji.

Do tego dochodzi presja rynku na media i kulturę.

W realiach kapitalizmu dąży się do maksymalizacji zysku. Jeżeli badania pokazują, że większość odbiorców oczekuje prostszej, łatwiejszej w odbiorze rozrywki, media komercyjne będą ją dostarczać. Dlatego tak ważną rolę mają do odegrania media publiczne. Powinny pełnić funkcję edukacyjną, wyznaczać standardy i opierać się presji komercjalizacji oraz upraszczania przekazu.

Potrzebne są również prywatne media o uznanym dorobku i silnym etosie, na przykład reprezentujące wysoki poziom tygodniki opinii. Nikogo nie można zmusić do oglądania konkretnego programu czy czytania określonego tytułu. Sama obecność wartościowych mediów daje jednak możliwość wyboru. Jeżeli upadną, przegrywając z darmową konkurencją, nawet bardziej wymagający odbiorcy nie będą mieli po co sięgnąć. Tymczasem przygotowanie dobrych treści wymaga odpowiednich nakładów.

Czy państwo i instytucje publiczne powinny stawiać tamę temu spłyceniu?

Słowo „tama" może niepokojąco kojarzyć się z ograniczaniem wolności, a wolność dostępu do różnych treści jest wielką wartością. Wszystko, co legalne i niezabronione, powinno być dostępne. Zadaniem państwa, szkół, mediów publicznych i instytucji kultury jest natomiast tworzenie alternatywy: pokazywanie, że istnieją także inne możliwości. Dotyczy to również oferty kulturalnej, która może być atrakcyjna i na wysokim poziomie.

Festiwal Nowe Oświecenie jest takim projektem. To oczywiście propozycja niszowa, a nie masowa, kierowana do osób poszukujących wartościowych treści. Chcemy, aby w Ursynowskim Centrum Kultury „Alternatywy" oferta nie ograniczała się do rozrywki ani do kilku najpopularniejszych dziedzin, jak muzyka czy kino, ale żeby było w nim miejsce także na książki i dyskusje.

Jak rozumie Pan misję centrum kultury?

Już w koncepcji programowej przedstawionej w ramach konkursu, w wyniku którego objąłem kierownictwo „Alternatyw", zakładałem, że centrum kultury nie może ograniczać się do muzyki, filmu czy sztuk plastycznych. Są to oczywiście ważne dziedziny, a koncerty rzeczywiście przyciągają największą publiczność. Jeśli jednak placówka zamknie się w tych ramach, nie wypełni swojej misji.

Można twierdzić, że wykłady i debaty powinny organizować uczelnie, spotkania literackie – biblioteki, a projekcje filmowe – kina. Od początku sprzeciwiałem się takiemu podziałowi. Gdybyśmy w ten sposób zawęzili zakres naszej działalności, centrum kultury stałoby się po prostu centrum rozrywki.

Nie oznacza to, że kultura musi być ponura czy nieatrakcyjna. Przeciwnie. Centrum kultury powinno być – zabrzmi to może nieco górnolotnie – świątynią całokształtu cywilizacji. Dlatego jego misja jest również misją cywilizacyjną.

Czy Festiwal jest zatem odpowiedzią na traktowanie kultury jak towaru?

Tak. Tworzymy przestrzeń spotkania z ludźmi o znaczącym dorobku, którzy mają coś wartościowego do powiedzenia. Udział w tych wydarzeniach pozostaje oczywiście indywidualnym wyborem – nikogo do niego nie zmuszamy. Wszystkie festiwalowe rozmowy i debaty są bezpłatne. Jedyną ceną jest czas, który trzeba poświęcić, aby przyjść i posłuchać naszych gości.

Osobom, które nie mogą uczestniczyć w spotkaniach osobiście, udostępniamy transmisje internetowe. Pozostawiamy również w sieci ich nagrania, dzięki czemu można do nich wrócić nawet po dłuższym czasie.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 41/2026
REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
Na okładce: motyw graficzny 5. edycji Festiwalu Nowe Oświecenie

Co pozostaje po zakończeniu Festiwalu?

Od pierwszej edycji wybieramy najciekawsze dyskusje – oczywiście jest w tym pewien element subiektywnej oceny – opracowujemy je redakcyjnie i publikujemy w formie książki. Po każdej edycji powstaje obszerny tom zawierający zapis festiwalowych spotkań.

Praca nad taką publikacją trwa mniej więcej rok, dlatego podczas kolejnego Festiwalu prezentujemy książkę podsumowującą poprzednią edycję. Dzięki temu rozmowy nie kończą się wraz ze zgaszeniem świateł na scenie.

W programie jest wiele wydarzeń dla dzieci. Czy to także forma inteligenckiej „pracy u podstaw”?

Zdecydowanie. Jeśli nie wychowamy kolejnych pokoleń uczestników życia kulturalnego i przerwiemy międzypokoleniowy przekaz wartości, ambitna kultura stopniowo straci swoich odbiorców, a jej twórcy staną się coraz bardziej odizolowani od reszty społeczeństwa. Dlatego zapraszamy do centrum dzieci: zarówno maluchy przychodzące z rodzicami, jak i grupy przedszkolne czy uczniów odwiedzających nas z nauczycielami.

Wierzymy, że taka praca u podstaw przypomina siew, który z czasem przynosi plon. Nie chodzi przy tym o prosty podział na kulturę „wysoką” i „niską”, ani o przyklejanie wartościujących etykiet. Chodzi o rozwijanie otwartości na treści bardziej wymagające i złożone.

Potrzebne do tego kompetencje i wrażliwość należy kształtować od najmłodszych lat. Jeśli tego zabraknie, człowiek nie będzie miał ani odpowiednich narzędzi, ani tej wewnętrznej anteny, która pozwala odbierać bardziej zaawansowane przekazy.

Czego oczekuje Pan po tegorocznej edycji? Czy Festiwal może na nowo zdefiniować inteligencję lub ocalić jej etos?

Mam nadzieję, że przynajmniej przez kilka dni będziemy mówić o inteligencji nie tylko w kontekście tej sztucznej, który dominuje dziś w debacie publicznej. AI będzie oczywiście ważnym elementem programu, ale chcemy również przypomnieć tradycyjne znaczenie tego pojęcia: inteligencję jako środowisko ludzi, którzy dzięki swojej wiedzy oraz dorobkowi naukowemu i twórczemu mogą nadawać ton publicznej debacie. Nie chodzi przy tym o apoteozę warstwy społecznej w kategoriach klasowych.



EWELINA JANUSZEWSKA

DR KRZYSZTOF CZUBASZEK – historyk, polonista i doktor nauk humanistycznych, dyrektor Ursynowskiego Centrum Kultury „Alternatywy” w Warszawie, pomysłodawca i dyrektor programowy Festiwalu Nowe Oświecenie. Badacz dziejów społeczności żydowskiej w Łukowie, autor m.in. książki „Żydzi Łukowa i okolic” (2008), założyciel Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a.

Można odnieść wrażenie, że inteligencja straciła dziś swoją dawną pozycję i widoczność. Podczas Festiwalu chcemy ponownie skierować na nią uwagę. Zaprosiliśmy wielu wybitnych ludzi o znaczącym dorobku, a jednocześnie postanowiliśmy zestawić inteligencję tradycyjną ze sztuczną.

AI korzysta przecież z osiągnięć ludzi reprezentujących klasyczną inteligencję. To oni tworzą idee, rozwijają naukę i popychają cywilizację naprzód. Tymczasem, kiedy potrzebujemy odpowiedzi, coraz rzadziej sprawdzamy, co na dany temat powiedział konkretny profesor, badacz czy myśliciel. Zamiast tego pytamy maszynę, często nie zastanawiając się nawet, czy jej odpowiedź opiera się na uznanej wiedzy, czy jest konfabulacją.

Chciałby Pan, aby przez te osiem dni ludzie „promptowali” innych ludzi?

Właśnie tak – autorytety, profesorów, pisarzy, dziennikarzy, myślicieli i filozofów. To ich wiedza znajduje odbicie w odpowiedziach udzielanych przez AI, choć czasem zostaje w nich zniekształcona lub przedstawiona w krzywym zwierciadle.

Sztuczna inteligencja jest oczywiście ogromnym technologicznym ułatwieniem. W ciągu kilku sekund gromadzi i przetwarza informacje, podczas gdy samodzielne przeszukiwanie internetu czy wertowanie książek wymaga znacznie więcej czasu.

Żyjemy w ciągłym pośpiechu, ale nie możemy zapominać, że wiedza przekazywana przez AI została wcześniej wytworzona i zgromadzona przez człowieka. To nie sztuczna inteligencja objaśnia nam świat. Robią to mądrzy ludzie, a AI jest jedynie narzędziem korzystającym z ich dorobku.

Dlaczego w epoce ekranów wciąż stawiacie na spotkania twarzą w twarz?

Chcemy być trochę przekornie staromodni. Okazuje się zresztą, że ludzie bardzo potrzebują takiego kontaktu. Kilka miesięcy temu uruchomiliśmy w „Alternatywach” kameralny projekt – Alternatywny Klub Dyskusyjny. Osoby, które wcześniej się nie znały, spotykają się na dwie lub trzy godziny, aby rozmawiać bez z góry narzuconego tematu. Z dyskusji wyłączamy jedynie politykę, ponieważ zazwyczaj wywołuje silne emocje i podziały, a nam zależy na swobodnej wymianie myśli.

Pomysł wyrósł z obserwacji festiwalowych spotkań. Po debatach uczestnicy chcą zadawać pytania, ale czasu na to jest niewiele. Po pytaniu z sali następuje zazwyczaj tylko odpowiedź gościa – brakuje miejsca na rzeczywistą wymianę zdań. Klub tworzy przestrzeń dla niespiesznej rozmowy prowadzonej dla niej samej. Z miesiąca na miesiąc uczestniczy w nim coraz więcej osób i być może wkrótce będziemy musieli przenieść spotkania do większej sali.

Pokazuje to, że czasem chcemy wysiąść z pędzącego pociągu rzeczywistości, zatrzymać się, spotkać drugiego człowieka, wysłuchać go i powiedzieć, co sami myślimy. Wierzę, że ta podstawowa potrzeba nie zniknie mimo rozwoju innych form komunikacji. Festiwal, choć transmitowany w internecie, pozostaje przede wszystkim przestrzenią bezpośredniego spotkania.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Inteligencja po przejściach

MICHAŁ SOWIŃSKI

Nieraz przepowiadano jej koniec, utrata autorytetu bywała jednak początkiem zmiany. Także dziś warto pytać o nowe zadania dla inteligencji, zanim uznamy tę historię za zamkniętą.

Byliśmy głupi" – tak Marcin Król podsumował doświadczenie liberalnych elit po roku 1989. W książce wydanej przeszło dekadę temu przyznawał, że zbyt łatwo zaufały one rynkowi i nie dostrzegały społecznych kosztów zmian ustrojowych. Osobnego nurtu krytyki doczekało się szlacheckie dziedzictwo inteligencji i związany z nim paternalizm. Dziś dochodzi do tego obawa, że sztuczna inteligencja przejmie część pracy ludzi wykształconych i osłabi ich pozycję zawodową.

Te rozpoznania dotyczą różnych podstaw znaczenia inteligencji. Krytyka paternalizmu podważa przekonanie, że wykształcenie uprawnia do rozstrzygania, co jest dobre dla innych. Rozliczenie transformacji stawia pytanie o odpowiedzialność tej części inteligencji, która współtworzyła nowy porządek i uzasadniała jego reguły. Obawy związane z AI dotyczą natomiast samej wartości wiedzy i umiejętności, z których ludzie wykształceni się utrzymują i którym zawdzięczają pozycję społeczną. Gdy maszyny wykonują zadania uznawane dotąd za wymagające ludzkiego rozumowania i reaktywności, pod znakiem zapytania staje również przekonanie, że te zdolności zapewniają człowiekowi wyjątkowe miejsce w świecie.

Historia inteligencji nie musi więc być opowieścią o jednej formacji, która stopniowo traci znaczenie. Można ją czytać jako historię zmieniających się ról i sporów o własne miejsce w społeczeństwie. Kiedy słabły dotychczasowe podstawy autorytetu, część jej przedstawicieli próbowała na nowo określić swoje zadania. Samokrytyka pozwalała niekiedy nazwać ograniczenia dawnej roli. Zanim więc po raz kolejny ogłosimy koniec inteligencji, warto zapytać, co właściwie kończy się tym razem. I czy nie jest to przypadkiem początek czegoś, czego nie potrafimy jeszcze nazwać.

Kim są inteligenci

Pojęcie inteligencji łączy opis warstwy społecznej z wyobrażeniem o jej obowiązkach. Tradycyjnie zaliczano do niej ludzi utrzymujących się z pracy umysłowej wymagającej wykształcenia. Zarazem oczekiwano od nich odpowiedzialności za sprawy wykraczające poza wykonywany zawód. Był to jednak ideał, któremu nie wszyscy potrafili sprostać.

Początki tej grupy wiążą się z rozwojem szkolnictwa i administracji w epoce oświecenia. W XIX w. rosła jej liczebność i kształtowało się poczucie odrębności. Ważną część stanowili potomkowie szlachty, ale od początku współtworzyli ją również ludzie pochodzenia mieszczańskiego, a nawet chłopskiego.

Pod zaborami prowadzenie polskiej szkoły czy wydawanie książek mogło służyć podtrzymywaniu kultury wspólnoty pozbawionej niepodległego państwa. Takie doświadczenia sprzyjały kształtowaniu etosu służby społecznej. Wykształcenie traktowano jako zobowiązanie wobec tych, którzy mieli mniejsze możliwości nauki. Autorytet inteligencji mógł wynikać z pracy i ponoszonego ryzyka. Poczucie odpowiedzialności łączyło się jednak niekiedy z przekonaniem o prawie do decydowania za innych. Powstawało więc pytanie, czy pomoc „słabszym" zwiększa ich samodzielność, czy utrwala przewagę tych, którzy występują w ich imieniu.

Podważać autorytet

Na początku XX w. Stanisław Brzozowski pytał o warunki, które pozwalają inteligencji zajmować się kulturą i przemawiać w imieniu społeczeństwa. W „Legendzie Młodej Polski" podważał przekonanie, że życie umysłowe jest osobnym światem, którego wartość można oceniać niezależnie od podtrzymującej go pracy innych ludzi. Pisarz pewny swojej duchowej niezależności mógł nie dostrzegać, jak wiele zawdzięcza porządkowi społecznemu, który zapewnia mu możliwość tworzenia. Broniąc własnej pozycji, mógł być przekonany, że broni wartości uniwersalnych.

Praca oznaczała dla Brzozowskiego działalność, dzięki której ludzie podtrzymują i przekształcają warunki swojego istnienia. Myśl i literatura również mogły w niej uczestniczyć. Wymagało to jednak rozpoznania związku między twórczością a życiem społeczeństwa. Literatura miała pomagać ludziom pracy rozumieć ich położenie i rozwijać zdolność do samodzielnego kierowania wspólnym życiem. A inteligencja miała uzasadnić swoją rolę przez udział w tym procesie. Sama wrażliwość na narodowe cierpienie czy znajomość tradycji nie wystarczały.

Brzozowski krytykował inteligencję, do której sam należał. Zakwestionowanie jej autorytetu było zarazem próbą innego określenia własnych zobowiązań. Pozostawało też pytanie wykraczające poza polskie doświadczenie: jak uczestniczyć w społecznych konfliktach, zachowując zdolność do niezależnego osądu?

Kogo reprezentuje inteligencja?

Rozwój partii masowych na przełomie XIX i XX w. zmieniał warunki działania



SHUTTERSTOCK

inteligencji. Ruchy robotnicze i chłopskie tworzyły własne organizacje, których przedstawiciele formułowali żądania swoich środowisk. Inteligenci uczestniczyli w tych przemianach, ale coraz trudniej było im uzasadniać prawo do przemawiania w imieniu całego społeczeństwa. Musieli określić swój stosunek do grup, które samodzielnie zabiegały o wpływ na życie publiczne.

Julien Benda w „Zdradzie klerków" z 1927 r. bronił autorytetu opartego na niezależnym osądzie i wierności zasadom sprawiedliwości. Intelektualista miał stosować je również wobec własnego narodu lub obozu politycznego. Mógł uczestniczyć w publicznych sporach, lecz tracił podstawę swojego autorytetu, gdy podporządkowywał ocenę działań lojalności wobec jednej ze stron. W świecie masowych mobilizacji Benda przypominał o roli człowieka zdolnego sprzeciwić się także tym, z którymi łączy go wspólna sprawa.

Antonio Gramsci w „Zeszytach więziennych" wskazywał natomiast, że intelektualiści uczestniczą w organizowaniu społeczeństwa także wtedy, gdy uważają się za niezależnych. Jego „intelektualista organiczny" pomagał określonej klasie wypracować wspólny obraz świata i zdobywać społeczne poparcie. Działalność ta mogła służyć zarówno zdobywaniu wpływu na społeczeństwo, jak i utrwalaniu już istniejącej przewagi. ↦

W tych sporach przeformułowywało się pytanie o inteligencką misję. Coraz trudniej było mówić o służbie społeczeństwu bez określenia, czyje dążenia się wspiera i jakie może to mieć konsekwencje dla innych. Niezależny osąd i społeczne zaangażowanie pozostawały ważnymi, lecz nie zawsze zgodnymi wymaganiami wobec ludzi wiedzy.

Inteligencja wobec państwa

W Polsce po II wojnie światowej pytanie o służbę społeczeństwu stało się zarazem pytaniem o stosunek do państwa komunistycznego. Odbudowa kraju wymagała pracy wykształconych kadr, a rozwój szkolnictwa otwierał drogę do zawodów inteligenckich ludziom z rodzin robotniczych i chłopskich. Państwo stawało się głównym pracodawcą tej warstwy, dążąc jednocześnie do jej politycznego podporządkowania. Dawny etos służby mógł uzasadniać pracę w publicznych instytucjach. Coraz wyraźniej ujawniała się jednak sprzeczność między odpowiedzialnością za społeczeństwo a żądaną przez władzę lojalnością.

Jedną z odpowiedzi na ten kryzys wypracowały środowiska opozycyjne. Powstały w 1976 r. Komitet Obrony Robotników łączył sprzeciw wobec represji z pomocą prawną i materialną dla prześladowanych. Prestiż znanych pisarzy i uczonych uwiarygodniał tę działalność, a kontakt z robotniczymi rodzinami pozwalał przełamywać nieufność. Zobowiązanie do pomocy zyskiwało formę współpracy między środowiskami. W Solidarności inteligenci współdziałali już z masowym ruchem robotniczym, mającym własnych przywódców i postulaty. Wiedza doradców wspierała jego działania, lecz nie była źródłem samego protestu.

Autorytet tej części inteligencji umacniał się dzięki współpracy i gotowości ponoszenia ryzyka. Nie wynikał wyłącznie z wykształcenia ani odziedziczonego prestiżu. Po 1989 r. część jej przedstawicieli znalazła się jednak wśród rządzących. Zmiana ustroju oznaczała dla nich również zmianę roli: od sprzeciwu wobec władzy do współodpowiedzialności za jej decyzje.

Obietnica awansu

Zmiana ustroju naruszała także kulturowe podstawy inteligenckiego autorytetu. Maria Janion opisywała ten przełom jako zmierzch paradygmatu romantycznego: osłabienie modelu kultury podporządkowanego obronie narodowej wspólnoty. Romantyzm pozostawał źródłem wyobraźni, lecz jego nakazy miały przestać obowiązywać wszystkich. W demokracji Janion widziała szansę na współistnienie różnych projektów egzystencjalnych, co wymagało też przemyślenia roli inteligencji jako strażniczki wspólnego kanonu.

> Łatwo uznać, że skoro inteligencja znajdowała w przeszłości nowe zadania, znajdzie je również teraz. Nie ma jednak pewności, że tak się stanie.

Część elit wywodzących się z opozycji znajdowała nowe uzasadnienie przywództwa w kompetencjach potrzebnych do przebudowy państwa i gospodarki. Pozostawało poczucie szczególnej odpowiedzialności za zbiorowy los, ale ocenie podlegały teraz także skutki sprawowania władzy. Dawne zasługi nie mogły rozstrzygać sporów o to, kto korzysta z reform, a kto ponosi ich koszty.

Równocześnie zmieniała się sama warstwa ludzi wykształconych. Gwałtowny wzrost liczby studentów po 1989 r. poszerzał dostęp do zawodów wymagających dyplomu. Ukończenie studiów mogło służyć awansowi zawodowemu bez przyjęcia dawnego etosu publicznej służby. Przybywało absolwentów, lecz nie oznaczało to odtwarzania inteligencji jako środowiska połączonego wspólnym poczuciem misji.

Obietnica awansu dzięki edukacji mogła sprzyjać przekonaniu, że o pozycji człowieka decydują wyłącznie jego zdolności i wysiłek. Brytyjski socjolog Michael Young ostrzegał, że ludzie, którzy tak tłumaczą własny sukces, łatwo uznają swoje przywileje za w pełni zasłużone. Z kolei amerykański filozof Michael Sandel w „Tyranii merytokracji" pokazał drugą stronę tego założenia: ludzi w trudnej sytuacji obwinia się o brak starań, pomijając warunki, na które nie mieli wpływu. Marcin Król przyznawał, że jego środowisko również uwierzyło, iż każdy powinien radzić sobie sam. Elity popierały reformy rynkowe, poświęcając zbyt mało uwagi ich społecznym kosztom. Chciały kierować przemianami, choć nie rozumiały dostatecznie sytuacji wielu ludzi. Samokrytyka mogła otworzyć drogę do uwzględnienia doświadczeń tych, których wcześniej pomijano. Samo przyznanie się do błędu nie oznaczało jednak, że tak się stało.

Prawodawcy i tłumacze

Rozliczenie Króla podważało przekonanie, że inteligencja potrafi wskazać drogę właściwą dla całego społeczeństwa. Takie roszczenie do przywództwa Zygmunt Bauman wiązał z rolą prawodawcy. W książce „Prawodawcy i tłumacze" wydanej w 1987 r. opisywał intelektualistę przekonanego, że wiedza uprawnia go do rozstrzygania, jakie zasady powinny obowiązywać wszy stkich.

Bauman dostrzegał jednak, że pozycja prawodawcy słabnie wraz z uznaniem różnorodności sposobów życia. Coraz trudniej było traktować odmienne wartości i obyczaje jako odstępstwa od jednego, właściwego wzoru. Autorytet jego znawców i strażników tracił tym samym społeczne oparcie. Wiedza pozostawała potrzebna, lecz nie wystarczała do rozstrzygania każdego sporu o to, jak należy żyć. W tych warunkach Bauman widział miejsce dla tłumacza.

Jego zadaniem jest ułatwianie wzajemnego zrozumienia ludziom, którzy inaczej postrzegają świat. Tłumacz wyjaśnia, z jakich doświadczeń wynikają cudze przekonania i dlaczego coś oczywistego dla jednych budzi sprzeciw innych. W sporze o transformację pomagałby na przykład zrozumieć, dlaczego te same reformy bywają oceniane jako sukces i jako źródło krzywdy. Rzetelna ocena przemian wymaga uwzględnienia obu tych doświadczeń.

Zrozumienie cudzego stanowiska nie oznacza jego przyjęcia. Tłumacz zachowuje własny osąd i może krytykować poglądy, które objaśnia. Bauman podkreślał również, że powinien on pytać o możliwości pominięte w przedstawianych ludziom propozycjach. Gdy jakieś rozwiązanie uchodzi za jedyne dostępne, warto sprawdzić, jakie założenia pozwoliły wy-

kluczyć pozostałe. Wiedza ma wówczas pomagać zainteresowanym w samodzielnej ocenie dostępnych możliwości i ich konsekwencji.

Z dawnego etosu pozostaje przekonanie, że wiedza wiąże się z obowiązkami wobec innych. Zmienia się sposób ich wypełniania: inteligent pomaga ludziom samodzielnie oceniać rzeczywistość i rozumieć się mimo różnic. Nie znaczy to jednak, że inteligencja jako całość przyjęła tę rolę. Prawodawstwo i tłumaczenie mogą współistnieć, również w działalności jednej osoby. A sama umiejętność tłumaczenia nie zapewnia trwałego autorytetu. Zależy on także od tego, czy ludzie potrzebują takiego pośrednictwa i czy mu ufają.



SHUTTERSTOCK

Tłumacz w epoce AI

Warunki tego pośrednictwa zmieniły się wraz z rozwojem platform internetowych. Łatwiej dziś zabrać głos bez zgody redakcji czy wydawcy także ludziom wcześniej pomijanym w publicznej debacie. Zarazem dotarcie do odbiorców zależy od algorytmów, które porządkują treści, przewidując zainteresowanie użytkowników. Obok kompetencji autora znaczenia nabiera jego umiejętność działania w realiach, które ustala prywatna firma. Tłumacz może znaleźć nową publiczność, ale o zasięgu jego wypowiedzi współdecydują mechanizmy, na które ma niewielki wpływ.

Rozwój AI dotyka natomiast części czynności składających się na pracę objaśniania. Systemy te mogą wyjaśniać trudne pojęcia i przedstawiać różne stanowiska, dostosowując odpowiedź do kolejnych pytań użytkownika. W ten sposób korzysta się z nich choćby w edukacji. Dla ludzi wykształconych AI staje się zarówno narzędziem pracy, jak i konkurencją: pomaga przygotować wyjaśnienie, ale odbiorca może też szukać go samodzielnie.

Nie oznacza to jeszcze przejęcia całej roli tłumacza w rozumieniu Baumana. Zestawienie argumentów różnych stron nie jest tym samym co udział w publicznym sporze, w którym trzeba zdobyć zaufanie i odpowiadać za własny osąd. Pozycja pośrednika może jednak słabnąć także wtedy, gdy technologia zastępuje tylko część jego pracy: odbiorca uznaje odpowiedź systemu za wystarczającą i nie szuka już kontaktu z człowiekiem.

Zmiana ta podważa również przekonanie, że zdolność tworzenia wyjaśnień i interpretacji wyróżnia podmiotowość człowieka. Potrzeba rozumienia pozostaje, ale coraz mniej oczywiste jest, komu będziemy powierzać tę pracę i na jakiej podstawie uznamy jego odpowiedzi za godne zaufania.

Kto po tłumaczu?

Na przestrzeni ostatnich 200 lat nie każda utrata znaczenia inteligencji była stratą dla społeczeństwa. Gdy ludzie, w których imieniu dotąd przemawiała, tworzyli własne organizacje i przedstawiali własne żądania, jej przywództwo przestawało być oczywiste. Poszerzanie dostępu do wykształcenia osłabiało wyjątkowość dyplomu, a zarazem otwierało możliwości wcześniej dostępne nielicznym. Także dzisiejszych przemian nie sposób oceniać wyłącznie z punktu widzenia tych, którzy obawiają się utraty swojego autorytetu.

Samokrytyka pozwalała niekiedy dostrzec tę różnicę: oddzielić odpowiedzialność za wspólne sprawy od przywiązania do własnej pozycji. Jednak po wyznaniu „byliśmy głupi" nadal trzeba zapytać, co rzeczywiście się zmieniło. Przyznanie się do błędu może prowadzić do uważniejszego słuchania innych, ale może również przynieść uznanie za szczerość i na tym się skończyć. Dawni przewodnicy pozostają wtedy w centrum uwagi, tyle że zamiast objaśniać społeczeństwu jego błędy, będą celebrować własne.

Łatwo uznać, że skoro inteligencja znajdowała w przeszłości nowe zadania, znajdzie je również teraz. Nie ma jednak pewności, że tak się stanie. Może trafnie rozpoznać przyczyny własnego kryzysu, a mimo to nie znaleźć dla siebie nowej roli.

Dlatego nie wystarczy dopisać jej kolejnego zadania, które miałoby ocalić ciągłość tej historii. Trzeba pozostawić miejsce na możliwość, że niektóre funkcje przetrwają bez poczucia wspólnej misji, a część okaże się potrzebna w zupełnie innej postaci. Byłaby to zmiana trudna do opisania zarówno językiem upadku, jak i odnowy. Nie wiemy jeszcze, kto przyjdzie po tłumaczu. Nie wiemy nawet, czy ci, którzy podejmą tę pracę, rozpoznają w historii inteligencji własną przeszłość.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Autor jest dziennikarzem Radia Kraków

Organizator
URSYNOWSKIE CENTRUM KULTURY ALTERNATYWY
instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy
Partnerzy
VISTULA
fundacja sztuki kreatywna przestrzeń
Patroni honorowi
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Marszałek Województwa Mazowieckiego
Prezydent miasta stołecznego Warszawy
Patroni medialni
TYGODNIK POWSZECHNY
GAZETA wyborcza
POLSKIE RADIO RDC
TVP KULTURA

KULTURA

WOKULSKI: TYGRYS EUROPY

Nowe ekranizacje „Lalki" pokazują Polskę, z której jesteśmy dumni. Polskę z okładek zagranicznych pism, która pnie się w górę, odnosi sukcesy, dogania Japonię.

MONIKA OCHĘDOWSKA



Bez względu na to, co sądzimy o nowych adaptacjach „Lalki", wspólne stanowisko wypracowaliśmy jak dotąd w jednej zasadniczej kwestii: przyjemnie pospierać się o klasykę literatury, zapominając na moment o bieżącej polityce czy szansach wybuchu europejskiej wojny.

Autorom filmu i serialu udało się wyrwać spór o twórczość Bolesława Prusa ze szkolnego korytarza, czyniąc go – przynajmniej na kilka jesiennych tygodni – żywotnym elementem naszej codzienności. „Lalkę" w reżyserii Macieja Kawalskiego obejrzałam w dniu premiery na jednym z przedpołudniowych seansów, w towarzystwie sporej grupy licealistów. Wychodząc z kina, z przejęciem spierali się o to, co było lepsze: serial czy film. Przyjemnie było nadstawić ucha.

Nowym ekranizacjom „Lalki" towarzyszą nie tylko omówienia i recenzje, wywiady z twórcami, sesje zdjęciowe kolorowych pism i opinie widzów publikowane w mediach społecznościowych (Instytut Monitorowania Mediów w ciągu 5 dni od premiery serialu naliczył 5 tys. materiałów na jego temat). Mamy wokół twórczości Prusa także liczne literackie zabawy.

Szczepan Twardoch, Sylwia Chutnik i Wojciech Chmielarz napisali inspirowane „Lalką" opowiadania na zamówienie mecenasa filmu, a Jakub Jarno wydał obszerny fanfik pod tytułem „Marionetki", w którym pozwala spotkać się potomkom Wokulskiego i Łęckiej równo sto lat po wydarzeniach, które opisuje w swojej powieści Prus.

Inspirowaną kinową „Lalką" kolekcję prezentuje jedna z sieci odzieżowych, a słodko-kwaśne „ciastka Łęckiej" sprzedaje warszawska sieć cukierni (beza w kształcie muszelki wypełniona kremem z cytryn i konfiturą z czerwonych porzeczek). Zaraz po deserze można się wybrać do Łazienek na wystawę kostiumów zaprojektowanych na potrzeby filmu przez Katarzynę Lewińską i Tomasza Ossolińskiego.

Ale to jeszcze nie wszystko

Od dwóch tygodni sprawdzamy też, „jak było naprawdę", wpisując w Google „o czym jest »Lalka«" oraz „jak się kończy" powieść, a nawet „kim była Orzeszkowa" (pisarka pojawia się w adaptacji Maślony, Demirskiego i Dutkiewicz). W zasadzie już 17 września, dzień po premierze serialu, zaczęliśmy wertować pod tym kątem Wikipedię, a następnie samą powieść Prusa w serwisie Polona. „Wolne Lektury" także zanotowały większy ruch na stronie z plikiem „Lalki" (wzrost o 17 proc. w porównaniu do września zeszłego roku). W krakowskich i śląskich bibliotekach



MATERIAŁY PRASOWE KINOŚWIAT

Marcin Dorociński w filmie „Lalka”, reż. Maciej Kawalski

na papierowy egzemplarz powieści trzeba się zapisywać i czekać w kolejce. Wzrosty sprzedaży zanotował Empik.

Wszystko to nie zmienia oczywiście faktu, że zabieg przepisywania klasyki, szczególnie na język współczesnego serialu, okazał się dla niektórych z nas bolesny, a zabawa szkolną lekturą nie tyle nas zawiodła, co wręcz rozwścieczyła. I choć Maciej Kawalski, reżyser filmu (dość wiernego książce) jest zdania, że „Lalka” jest „na tyle pojemną powieścią, że można ją ekranizować na wiele różnych sposobów”, a scenarzysta serialu Paweł Demirski przyznaje, że „kultura żyje wtedy, kiedy ją dekonstruujemy”, to wielu z nas się z tym pogodzić nie może. Więcej nawet: trafia nas szlag.

Zastanawiali się Państwo, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego uważamy, że nie powinno się w klasykę ingerować, zmieniać zakończeń powieści, dopisywać wątków, dorzucać postaci? Krytyczka i tłumaczka Alberta Camusa Joanna Guze niespełna sześć dekad temu pisała w jednej z gazet, że „sytuacja u nas jest pod tym względem dość specjalna – Prus, Żeromski czy Sienkiewicz są nietykalni”. Demirski w rozmowie z „Rzeczpospolitą” sugeruje, że to z powodu naszej potrzeby „bronienia przeszłości jako bezpiecznego miejsca”.

Zatrzymajmy się tu zatem na chwilę, bo „bezpieczne miejsce” można rozumieć co najmniej dwojako: w kontekście świata przedstawionego i naszym własnym. Po pierwsze, Wokulskiego nie wolno ruszać, ponieważ jest jedynym kupcem i mieszczuchem, jakiego kiedykolwiek zaakceptowaliśmy jako swojego. W tej jednej, konkretnej wersji. Czy pamiętają Państwo, że mniej więcej w tym samym czasie swojego Stacha (także kupca), tyle że Połanieckiego, proponował nam Henryk Sienkiewicz? O różnicach między Wokulskim a Połanieckim przeczytają Państwo zresztą w nowej książce Sławomira Sochaja opowiadającej o tym, jak Polska stawała się w ostatnich latach nową ziemią obiecaną. Czy to nie interesujące, że esejom o naszym cudzie gospodarczym patronuje – i to od pierwszej strony – właśnie Wokulski?

Sochaj twierdzi, że Wokulski wygrał pojedynek z Połanieckim przede wszystkim ze względu na skłonność ↦

↦ do romantycznej miłości i pozytywistycznej wiary w moc nauki. Zgrabnie połączył też inteligencki etos ze sprawczością i rozmachem, do których tak tęsknimy. Połaniecki był dla nas zbyt pragmatyczny.

Kariera powieści Prusa i klęska Sienkiewicza, twierdzi Sochaj, wiele mówi nie tylko o aspiracjach polskiej inteligencji, ale też o jej specyficznej optyce. Akceptujemy bohatera będącego „moralnym wzorem, kogoś zawsze gotowego służyć i dyscyplinować się, kogoś, kto kocha bez żądzy". Takiego Wokulskiego, świetnego skądinąd, daje nam dziś w swoim filmie Kawalski. Czy jakikolwiek inny sprzedawca mógłby zostać narodowym bohaterem? Naszą ulubioną postacią filmową był dotąd, jak pokazywały liczne plebiscyty, Adaś Miauczyński, znerwicowany inteligent bez grosza przy duszy.

No dobrze, spróbujmy w takim razie jeszcze innego sposobu na zrozumienie tego, czym jest bezpieczne miejsce, którego tak zaciekle bronimy w dyskusjach o „Lalce". Tym razem musimy się jednak na moment rozstać z Prusem i spojrzeć na kulturę szerzej, poprzez ofertę serwisów streamingowych, zapowiedzi kinowych premier, afisze teatrów, wydawnicze nowości.

Co z tego wynika?

Otóż kiedy zaczną się Państwo przyglądać temu wszystkiemu, co oferuje dzisiejsza kultura, okaże się, że żyjemy w czasach repetycji i reprodukcji. Powracamy do starych, sprawdzonych historii i czasów, które kojarzą się nam z dzieciństwem i młodością – a może w ogóle z czymś, czego nawet nie mamy prawa pamiętać.

Właśnie obejrzeliśmy w kinach piątą (skądinąd świetną) część „Toy Story". W streamingu czekają na nas nie tylko czarno-białe seriale *noir*, ale też nowa adaptacja „Na wschód od Edenu" (premiera 1 października). Za moment w kinach obejrzymy kolejne wcielenie „Rozważnej i romantycznej" Jane Austen (16 października), a potem śledzić będziemy losy bohaterek „Dumy i uprzedzenia" (3 grudnia, Netflix). Gdański Teatr Wybrzeże zapowiada wariację na temat „Podwójnego życia Weroniki" Krzysztofa Kieślowskiego, warszawski Powszechny wystawi „Złego" Leopolda Tyrmanda, a krakowski Ludowy „Wichrowe Wzgórza", które dopiero co oglądaliśmy przecież w kinach.

Wokulski ma proteuszową naturę, bywa jednocześnie Don Kichotem i Hamletem. Najbardziej zajmuje go to, **czym jest dzisiaj człowiek wobec świata.**

Amerykanin Percival Everett całkiem niedawno odebrał nagrodę Pulitzera za przepisanie powieści Marka Twaina z perspektywy niewolnika Jima. Barbara Kingsolwer umieściła akcję „Davida Copperfielda" Charlesa Dickensa w Wirginii, wśród uzależnionych od opiatów młodych ludzi. A jeśli komuś Dickensa mało, tuż przed Bożym Narodzeniem czeka nas nowa „Opowieść wigilijna". I tak w kółko. Na podobnych zasadach wraca do nas „Lalka". No dobrze, ale dlaczego właściwie wszystko to robimy?

Czemu przepisujemy stare historie na nowo?

Najprostsza odpowiedź jest taka, że robimy to, by uwzględnić niegdyś pomijaną, queerową wrażliwość, perspektywę feministyczną albo losy mniejszości. Proszę zerknąć na dziesiątkę najchętniej oglądanych dziś produkcji Netfliksa. Zaraz za „Lalką" zobaczymy tam ekranizację opartej na prawdziwej historii opowieści o procesie Lizzie Borden. W momencie, gdy toczy się akcja powieści Prusa, panna Borden ma 18 lat i szykowana jest do zamążpójścia. Opresyjna matka szkoli dziewczynę, jak zachowywać się względem adoratora. Lizzie, w odróżnieniu od naszej Izy, postanawia już w pierwszej ze scen wziąć sprawy w swoje ręce i pozbawić rodziców życia. Oba seriale – choć zrealizowane w zupełnie innym gatunku – opowiadają o próbach wyzwolenia się młodych kobiet spod presji społecznej.

Zatem możemy powiedzieć, że twórcy wykorzystują znane narracje jako przestrzeń do renegocjowania ról płciowych, podważania struktur patriarchalnych oraz przywracania głosu postaciom dotąd marginalizowanym, bohaterkom bądź bohaterom funkcjonującym dotąd na obrzeżach opowieści. Dzięki temu rozmawiamy potem w ogóle o chłopkach, włókniarkach i służących, dostrzegamy wokół siebie osoby atypowe, staramy się mierzyć z nierównościami, krytykujemy nepotyzm.

To dlatego w świat Łęckich wprowadza nas w serialu Marianna. Razem z jej postacią twórcy mogli pomieścić na małym ekranie wiele zagadnień kluczowych dla feministycznej ekonomii. Pokazują wykonywaną przez kobiety pracę, która z perspektywy Łęckich (ale też czytelniczek i czytelników powieści) pozostawała dotąd niewidzialna. Aby Izabela mogła usiąść do śniadania i przejrzeć „Bluszcz", wiele osób musiało wykonać szereg skomplikowanych czynności: pranie, prasowanie, gotowanie, zakupy. Teraz to dostrzegamy.

Tyle że zmiana perspektywy to w gruncie rzeczy najbardziej oczywista odpowiedź na pytanie o popularność tzw. retellingów (przetworzeń znanych historii), która nie powinna nas do końca satysfakcjonować. Szukajmy w takim razie dalej. Jak i gdzie? Gdybym mogła, spytałabym o zdanie Zygmunta Baumana. A ponieważ zapytać nie mogę, sięgam do książki, w której filozof próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego rządzi nami przeszłość.

Dlaczego rządzi nami przeszłość?

Jeszcze w wieku XVII nostalgię uznawano za „łatwą do wyleczenia dolegliwość" – relacjonuje Bauman. Szwajcarscy medycy zalecali na nią opium, pijawki albo wycieczki w góry. Z biegiem lat „przejściowe schorzenie" rozwinęło się jednak „w nieuleczalną kondycję związaną z nowoczesnością", pisze filozof.

Nostalgia nie dość, że nas nie opuszcza, to wręcz się nasila. Bauman, co ciekawe, łączy ten proces z fizycznym odkryciem, że „nasz świat tu i teraz stanowi raptem jeden z wielu możliwych światów". Otóż probabilistyczny (niepewny co do skutku) charakter obserwowanych przez nas (a właściwie przez fizyków kwantowych) zjawisk sprawia, że coraz mocniej tęsknimy za światem, którym rządził determinizm.

Z drugiej strony Bauman sugeruje, że „globalna epidemia nostalgii" nadeszła zaraz po tym, gdy wyleczyliśmy się z „gorączki postępu". O ile wiek XIX optymistycznie patrzył na rozwój nauki, w wieku XXI obawiamy się skutków jej nieustannego parcia naprzód. Jednym z silniejszych dziś lęków jest obawa przed rozwojem sztucznej inteligencji.



MATERIAŁY PRASOWE KINOŚWIAT

Kamila Urzędowska w filmie „Lalka", reż. Maciej Kawalski

Boimy się, że AI zabierze nam pracę, prestiż, społeczną pozycję. A skoro tak, to droga powrotna, droga wiodąca ku przeszłości wydaje się całkiem rozsądnym i bezpiecznym schronieniem. W tym „bezpiecznym miejscu" historie mają swój ustalony porządek, świat działa wedle stałych, niezmiennych reguł, bieg zdarzeń jest z góry przesądzony.

Tymczasem warto pamiętać, że u Prusa tego bezpieczeństwa w gruncie rzeczy nie ma. „Prus daje nam świat pokawałkowany i daje do zrozumienia, że jest on nie do poskładania w całość", uczy profesor Ryszard Koziołek (na łamach internetowego magazynu „Mint"). Świat jest przedziwny, niezrozumiały i pełen paradoksów. Dla fizyki klasycznej był jak książka, w której za każdym razem odnajdujemy tę samą historię. Współczesna fizyka kwantowa sugeruje jednak (zupełnie jak forma „Lalki"), że ta sama książka zawiera w sobie wiele możliwych wersji opowieści i dopiero moment jej odczytania sprawia, że jedna z nich staje się faktem.

Ustalony raz na zawsze porządek świata reprezentuje u Prusa Ignacy Rzecki. Po co zmieniać to, co dobrze działa, pyta subiekt. Po co ryzykować? Rzeckiego pociąga wizja świata opartego na logice i rozumie. Wokulski tymczasem ma proteuszową naturę, odradza się w coraz to nowych formach: jako żołnierz, kupiec, naukowiec, dobroczyńca, inwestor, kochanek. Najbardziej obchodzi go jednak to, czym w ogóle jest człowiek w obliczu całego świata i dlaczego postępuje tak, jak postępuje. Blisko mu zarówno do Don Kichota z powieści Miguela de Cervantesa, jak i szekspirowskiego Hamleta.

„Wokulski jest Elonem Muskiem" – mówi nam dziś profesor Koziołek. Zaiste, jeśli Wokulski reprezentuje nieustanną zmianę i wiarę w postęp, Rzecki choruje razem z nami na nostalgię.

Jak się zmienia Warszawa i co nam to mówi?

Ciekawe, że za czasów ekranizacji Wojciecha Jerzego Hasa czuliśmy się raczej więźniami chwili bieżącej niż przeszłości. Pamiętają Państwo klaustrofobiczne, zawalone rekwizytami przestrzenie pierwszej ekranizacji „Lalki"? I w ogóle – nudę tamtego filmu, któremu ewidentnie brakowało, jak to ujął lubelski filmoznawca Marcin Maron, „progresji dramatycznej"?

Recenzentki szydziły zresztą z reżysera, że „trwające blisko trzy godziny widowisko może wypędzić z kina nawet najbardziej cierpliwą wycieczkę szkolną, z panią od polskiego na czele". Maron w swojej rozprawie o filmografii Hasa stara się jednak zrozumieć intencje twórcy, pisząc, że Has próbował nam pokazać Wokulskiego jako „człowieka żyjącego w czasie dramatycznie zawężonych perspektyw". Czas biegnie w jego życiu siłą bezwładu – „niczym mechanizm jakiejś nakręcanej za pomocą klucza karuzeli", pisze Maron. Wokulski od początku wie, że nic dobrego go w Warszawie nie czeka.

To metaforyczne „rumowisko historii" symbolizowało skądinąd dramatyczne wydarzenia marca 1968 r. Dlatego warto zerknąć na film Hasa, a potem włączyć serial Netfliksa i wreszcie wybrać się do kina – chociażby po to, żeby się przekonać, jak bardzo tamta Warszawa niepodobna jest do dzisiejszej, choć wszystkie one pokazują nam ten sam rok 1878.

Jeśli Warszawa Hasa była szara, wypełniona śmiercią i pozbawiona szans na zmiany, Warszawa Maślony i Kawalskiego jest nowoczesną europejską stolicą. Dzisiejsze ekranizacje pokazują nam Polskę, z której jesteśmy dumni, Polskę z okładek pisma „The Economist" i z artykułów w „Die Welt" i „Washington Post". Kraj, który pnie się w górę, odnosi sukcesy, goni nie tylko Wielką Brytanię, ale i Japonię.

Tygrys Wschodniej Europy, piszą o nas w świecie (odsyłam do wspomnianej książki Sochaja, która zbiera wszystkie publikacje). Jak to się stało, że się tak nagle wzbogacił? Skąd wziął pieniądze? Tak właśnie wygląda dyskusja wokół fenomenu, który w zagranicznej prasie zyskał miano „Poland economy". Oto nasz Wokulski.

A co ze Stachem i Belcią?

O ile serial Maślony jest przede wszystkim portretem Izabeli, film Kawalskiego zbliża się właśnie do Stanisława. Maślona pozwolił swoim bohaterom na wyzwolenie – uwolnił ich, pozwolił iść własną drogą. Kawalskiego interesował raczej nasz obecny stan ducha.

Zresztą także Demirski w jednym z wywiadów powiedział, że zastanawia go, dlaczego Wokulski jest wiecznie ze swojej pozycji niezadowolony. Dlaczego nie pasuje do żadnego miejsca. „Myślę, że to bardzo przypomina myślenie naszej klasy średniej" – odpowiada sobie scenarzysta. „Warszawa jest jak Wokulski, który cały czas robi nowy sklep". Jest w tym wiele racji. Nowe „Lalki" to pierwsze od dawna filmowe obrazy, które pozwolą nam w kinie zobaczyć siebie, współczesnych.

Dotąd z badań dotyczących sposobu postrzegania naszego odbicia w zwierciadle ekranu wynikało, że rzeczywistość ukazywana przez polskie filmy jest co najwyżej rodzajem symulakrum zbudowanego ze stereotypów: albo modne mieszczuchy, albo zacofana wieś, albo pijany kler, albo ludzie ze szklanych domów. Nic pomiędzy. „Lalki" wreszcie mącą ten obraz, ciekawie go komplikują. Wedle Kawalskiego „Wokulski dotyka polskiej duszy w jej najjaśniejszych i zarazem najbardziej destrukcyjnych miejscach". Myślę, że udało mu się to z powodzeniem pokazać w filmowej adaptacji.

Szczęście, że w końcu mamy szansę o tym porozmawiać, a nawet się o to pokłócić, zanim starym zwyczajem wrócimy do obstawiania szans na wybuch nowej europejskiej wojny.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Zadanie z gwiazdką

PAWEŁ MAŚLONA, REŻYSER:

ROZMOWA | W ekranizacji nie ma znaczenia, co chciał powiedzieć autor powieści. Kino nie może być brykiem literackim ani hołdem składanym komukolwiek.

MATEUSZ DEMSKI: Przeczuwałeś, że będzie zadyma?

PAWEŁ MAŚLONA: Trochę, ale na pewno nie tego, że rozrośnie się do takiej skali. Nie spodziewałem się, że zrobi się z tego ogólnonarodowa dyskusja, która mnie zresztą bardzo cieszy. Dla twórcy nie ma nic lepszego niż fakt, że cała Polska rozmawia o dziele, które stworzył.

Jak myślisz, z czego to wynika?

Jedna z możliwych odpowiedzi jest taka, że ten najbardziej jaskrawy, negatywny objaw emocji nie ma nic wspólnego z „Lalką". W naszym społeczeństwie jest tyle różnych napięć, które domagają się ujścia, że serial jest tylko pretekstem do tego, by mogły się one ujawnić.

Po części to się może bierze z tego, że „Lalka" jest dla ludzi ostoją bezpieczeństwa. Klasyka daje poczucie, że istnieją rzeczy stałe, niezmienne w dynamicznie zmieniającym się świecie. Ingerowanie w historię, która tak mocno funkcjonuje w zbiorowej świadomości, może wywoływać lęk – ale też ekscytację.

A może sprawa jest prostsza, może po prostu lubimy wracać do sprawdzonych historii?

Ja uwielbiam dyskomfort w kinie, lubię iść w poprzek oczekiwań widzów. Dla mnie zabawa z mieszaniem różnych rejestrów bierze się z chęci wyrwania widza z jego przyzwyczajeń. Uważam, że jak się człowiek umości w jednym miejscu, to warto go stamtąd zabrać. Zależy mi też na tym, by rzeczywistość, do której widza zabieram, nie była jasno i ostatecznie dookreślona. A on sam nigdy nie był pewien, co go dalej czeka.

Jakie komentarze słyszałeś po „Kosie"?

Wtedy dyskusja nie była aż tak intensywna, chociaż pojawił się opór – głównie ze względu na to, że ukazujemy w złym świetle polską szlachtę. Ale z drugiej strony sam Kościuszko, choć opowiadamy o nim inaczej, pozostaje szlachetny, nikt więc nie mógł powiedzieć, że godzimy w dobre imię narodowego symbolu. Co zresztą nigdy nie było moim zamiarem.

„Kanonu nie wypada zmieniać" – wiele razy spotkałem się z tym zdaniem w kontekście Waszej „Lalki".

Dopiero po reakcjach widzów i komentatorów dowiedziałem się, że w naszym serialu jest dużo wulgaryzmów. Wcześniej tego nie czułem. Nie pomyślałbym, że to może być temat. Ludzie oglądają filmy Patryka Vegi i nie mają z tym problemu. Myślę więc, że nie chodzi wcale o wulgaryzmy, ale o to, że – według niektórych – wulgaryzmów nie powinno być akurat w „Lalce". Bo w ten sposób coś bezcześcimy.

Chcieliśmy zdjąć z postaci XIX-wieczny gorset językowy, który w dzisiejszym odbiorze często brzmi dramatycznie, sztucznie, a czasami wręcz komicznie. Użycie żywego, niekiedy brutalnego języka miało zbliżyć bohatera do widza i oddać realne emocje oraz konflikty społeczne tamtej epoki.

I pomógł w tym „chujec borsuczy"?

Akurat „chujec borsuczy" wydawał mi się rozkosznym, zabawnym i pięknym wulgaryzmem. Na pomysł jego użycia wpadł Paweł Demirski, pokochałem to określenie z miejsca. To nawet nie jest wulgarne, to jest zupełnie osobna kategoria.

Obserwuję też wiele innych wątków i scen, które ludzie pokochali i oglądają wielokrotnie, bawią się nimi. Cieszą nas te entuzjastyczne reakcje i mam wrażenie, że one w równym stopniu napędzają konwersację, co krytyczne opinie. Myślę, że w dużej mierze to kwestia tego, jak rozumiemy kino.

A jak Ty je rozumiesz?

Kino powinno być przygodą, podróżą. Nie może być brykiem historycznym czy literackim, ani hołdem składanym komukolwiek w jakiejkolwiek intencji. Kino jest samoistnym dziełem. Nie jest narzędziem, tylko celem samym w sobie.

Wielu osobom trudno zrozumieć, że w ekranizacji czy reinterpretacji Prusa nie ma znaczenia, co autor powieści chciał powiedzieć. Gdybym się tym zajmował, sprzeniewierzyłbym się swojemu powołaniu, które traktuję śmiertelnie poważnie. Moją misją jest stworzyć możliwie jak najlepsze, najbardziej uczciwe dzieło, które rezonuje ze mną na głębokim poziomie, i którym chcę podzielić się z innymi ludźmi.

Oczywiście, używamy do tego Prusa, jego uniwersum, wychodzimy z jego propozycji, co też mu służy – to poszerza kontekst rozmowy o jego utworze i wynosi go do rangi czegoś niezmiernie ważnego. Ale powieść Prusa, jakby to nie zabrzmiało, jest drugorzędna wobec naszego serialu, który jest autonomicznym dziełem, odrębną wypowiedzią artystyczną, stworzoną dla zupełnie innego medium.

Jak wyglądała Twoja powtórka z Prusa przed pracą nad serialem?

Moja konstatacja była następująca: „Lalka", wbrew pozorom, nie jest powieścią stworzoną do ekranizacji. Wszystko, co najciekawsze, dzieje się w dialogach. Nie ma tam zagęszczenia rzeczywistości właściwego kinu. Bohaterowie przechadzają się, rozmyślają, rozmawiają w różnych salonach, część powieści to są zapiski Rzeckiego, czyli „Pamiętnik starego subiekta". To, co stanowi o wielkości tej powieści, niekoniecznie przekłada się na język filmowy. Kino potrzebuje zdecydowanie więcej ruchu.

Wróciłem na chwilę do „Lalki" Wojciecha Jerzego Hasa. Z ciekawości chciałem sprawdzić, czy nie warto byłoby się pobawić w podobną inscenizację, opartą na długich ujęciach i montażu wewnątrzkadrowym, którą Has uwielbiał. Szybko zweryfikowałem, że ten rodzaj opowia-



ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

dania nie klei się z naszą opowieścią – i z moim temperamentem.

Dla mnie to, co mówisz, pokazuje potencjał, jaki tkwi w tej książce. Zakładam, że mogłoby powstać równolegle jeszcze kilka „Lalek" i każda byłaby inną opowieścią.

Ten potencjał drzemie w silniku historii napisanej przez Prusa, a jest nią obsesyjna miłość Wokulskiego do Łęckiej. Bohater powieści jest zdeterminowany, by zdobyć ją niemal za wszelką cenę. To odwołuje się do jednej z największych ludzkich potrzeb, z którą łatwo człowiekowi się spotkać, bez względu na czasy.

Z naszej opowieści przebija też potrzeba podmiotowości, szacunku i uznania. Nasi bohaterowie próbują na swój sposób o to zawalczyć. To nie dotyczy tylko Wokulskiego i Łęckiej, której nadaliśmy podobny rys.

Florentyna jest postacią, która na przestrzeni naszej opowieści uczy się, że może żyć nie tylko dla innych, ale też dla siebie. Ten temat niesie też Rzecki, który przestaje być tylko przyjacielem Stacha, dostaje szansę na przeżycie własnej historii miłosnej.

Na jedną z najważniejszych bohaterek naszego serialu wyrasta Marianna. Jej fantazja o innym życiu przeradza się w historię upokorzenia i zemsty – to postać, która dosłownie walczy o swoją godność. I wygrywa.

PAWEŁ MAŚLONA (po prawej) jest reżyserem i scenarzystą. Przewodniczący Gildii Reżyserów Polskich. Ukończył politologię na UJ w Krakowie oraz reżyserię na WRiTV UŚ w Katowicach. Debiutował filmem „Atak paniki" (2017), a jego „Kos" (2023) zdobył Złote Lwy na 48. FPFF w Gdyni. Serial „Lalka" w jego reżyserii miał niedawno swoją premierę na Netfliksie.

Na zdjęciu z Sandrą Drzymalską na planie serialu „Lalka".

Chodziły słuchy, że pierwotnie serial miał rozgrywać się współcześnie. Ze smartfonami i social mediami w tle.

Łatwo mi sobie wyobrazić szkaradną wersję tego pomysłu, który się nie udaje i zalicza klapę. Wszystko jest do zrobienia, co nie zmienia faktu, że byłoby to trudne zadanie. Wśród nas są tacy ludzie jak Wokulski, Łęcka i Rzecki. Te postawy w ogóle się nie zdezaktualizowały, są żywe i dzisiaj, ale to nie znaczy, że potrzeba nam współczesnych rekwizytów.

Każdy film czy serial, którego zrobienia się podejmuję, jest opowieścią o współczesnym świecie. Kostiumu używam jako sztafażu. Nasi aktorzy dostają na Instagramie wiadomości od widzów z Chile, którzy potrafią odnaleźć się w historycznych realiach.

Bo kino jest medium, które – może poza muzyką – najlepiej komunikuje się z ludźmi odmiennych kultur i przekracza granice. Wierzę, że to, co zrobiliśmy, ma taki potencjał. I sądząc po odbiorze naszego serialu za granicą, to w dużej mierze się udało.

Nawet jeśli połowa polskich maturzystów obleje teraz przez Ciebie maturę?

Dlatego ten egzamin nazywany jest egzaminem dojrzałości, bo od ludzi, którzy do niego podchodzą, wymaga się tego, żeby uczciwie i z należytą starannością się do niego przygotowali.

Naszą „Lalkę" można co najwyżej wykorzystać jako tzw. lekturę nadobowiązkową, która daje szansę na podwyższenie oceny. W szkole sam zresztą powoływałem się na filmy, żeby ratować sobie skórę. Zawsze nadrabiałem kinem. W ten sposób poszerzałem kontekst swojej wypowiedzi i dzięki temu na maturze miałem celujący. Zachęcam, żeby potraktować naszą „Lalkę" jako zadanie z gwiazdką. ©



Małgorzata Mycek, Sąd Ostateczny, **PIEKŁO MĘŻCZYZN**, *2026, tempera żółtkowa na desce*

Wieśniara

PIOTR KOSIEWSKI

SZTUKA | Dzikie koty, ikony oraz sterty siana w galerii. Nagrody dla Małgorzaty Mycek wzbudzają w środowisku artystycznym zdziwienie i sprzeciw.

Bielska Jesień to największy i jeden z najbardziej prestiżowych konkursów malarskich w naszym kraju – na ubiegłoroczną edycję nadesłano aż 1005 zgłoszeń! Wśród laureatek i laureatów Bielskiej Jesieni są tak znani artyści jak Wilhelm Sasnal, Ewa Juszkiewicz, Martyna Czech czy Karol Palczak. Każdy, kto otrzymał tu wyróżnienie, zajmuje obecnie ważne miejsce w polskim życiu artystycznym.

Decyzja o przyznaniu Grand Prix Małgorzacie Mycek spowodowała jednak dyskusję o niespotykanej od lat skali. Krytykę wywołała decyzja jury, które przyznało Mycek główną nagrodę „za odważne przepisanie wizualnej geografii wsi – wrażliwe, ironiczne i polityczne zarazem – które redefiniuje ją jako przestrzeń oporu, wspólnoty i queerowej wyobraźni".

Przede wszystkim jednak oburzenie (szczególnie wśród niektórych polityków) wywołały forma i tematyka malarstwa Mycek oraz używanie przez artystę żeńskiego imienia i męskich zaimków jednocześnie. Do ataku ochoczo dołączyli komentatorzy i komentatorki w mediach społecznościowych oraz niektóre osoby ze świata sztuki.

Przewidywalny był atak motywowany niebinarnością artysty, większe zaskoczenie budzi jednak drugi powód krytyki. Otóż Mycek długo malował surowe, radykalne formalnie obrazy, w których świadomie nawiązywał do twórczości dzieci oraz osób nieposiadających profesjonalnej edukacji artystycznej. Dodatkowo, jako podłoże do swych prac wykorzystywał materiały postrzegane jako mało artystyczne, np. stare billboardy. Jego malarstwo z założenia miało po prostu być „nieładne".

Grand Prix dla Mycek uznano więc za atak na system i hierarchie zakorzenione w akademiach. Podważenie statusu, jaki uzyskuje się dzięki wykształceniu artystycznemu i zrównanie twórczości „profesjonalnej" z „nieprofesjonalną", „ludową" czy „naiwną".

Tymczasem Mycek (rocznik 1993) ukończył Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu. Znalazł się nawet wśród finalistów konkursu im. Marii Dokowicz na najlepszą pracę dyplomową. Brał udział



KRZYSZTOF MORCINEK / MATERIAŁY PRASOWE GALERII BIELSKA BWA X2

Małgorzata Mycek, **MANDYLION**, *2026, tempera żółtkowa na desce, szlagmetal*

w wielu istotnych wystawach, m.in. w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Współpracuje też z BWA Warszawa, jedną z najważniejszych prywatnych galerii w naszym kraju. Wreszcie jego nowe prace, w tym pokazane na Bielskiej Jesieni, były powrotem do bardziej klasycznego malarstwa.

A jednak artysta zapisał się jednocześnie na studia na Uniwersytecie Ludowym Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej. W przypadku osoby, która zdobyła już wyższe wykształcenie, może to zostać odebrane za gest podważający dotychczasowy porządek w akademickim świecie sztuki, w którym wyraźnie oddzielono kształcenie profesjonalne od „amatorskiego". Co więcej, w Woli Sękowej uczy się tkactwa, haftu oraz ceramiki, a więc technik, które w tradycyjnych hierarchiach uchodzą za gorsze, mniej „artystyczne", bo użytkowe.

Mycek zaczął też – wykorzystując nowe umiejętności – pracować z ceramiką oraz rzeźbić w drewnie. Nie tylko tworzy sięgając do tradycji sztuki ludowej, ale przed kilkoma miesiącami w BWA Warszawa otworzył wystawę „Ludowe Archiwum Państwowe", której był kuratorem.

Była to jedna z najbardziej niezwykłych ekspozycji ostatnich lat, a jednocześnie rodzaj autorskiego manifestu. Znalazły się na niej prace ponad 40 artystek i artystów reprezentujących różne pokolenia. Obok siebie, na tych samych warunkach, znalazły się osoby, które ukończyły akademickie uczelnie artystyczne, oraz takiego wykształcenia nieposiadające. Co więcej, pominięto kwestię „sztuki ludowej", uznając, że wraz z odejściem od tradycyjnych podziałów klasowych, kulturowych czy artystycznych, to określenie straciło swój pierwotny sens.

Punktem wyjścia dla wystawy w BWA Warszawa stała się po prostu współczesna polska wieś, jej tradycje, zachodzące zmiany kulturowe i społeczne. Społeczność, której od dawna przygląda się w swej twórczości Mycek i której czuje się częścią.

Artysta wywodzi się z Radoszyc, niewielkiej podkarpackiej wsi, w której mieszka ok. 150 osób. W 2023 r. podjął decyzję, by tam wrócić. I, jak podkreśla, jest osobą dumną ze swojego wiejskiego rodowodu. „Wieśniara to wspaniałe słowo" – mówił w rozmowie z miesięcznikiem „Dialog".

Twórczość Mycek, podobnie jak Karola Palczaka czy Patryka Różyckiego, można określić mianem „malarstwa pochodzenia". Artyści bowiem, analogicznie jak Didier Eribon, Anne Ernaux czy Édouard Louis we francuskiej literaturze, nieustannie wracają do świata, w którym się urodzili i dorastali. Do miejsc poza wielkimi metropoliami, przeoranych przez procesy globalizacyjne i głębokie transformacje gospodarcze. Oraz do ich mieszkańców, którzy w tej rzeczywistości często nie potrafili się odnaleźć.

Osobie, która zdobyła Grand Prix Bielskiej Jesieni, organizowana jest wystawa. „Dziadostwo" – tak prowokacyjnie zatytułowano otwartą właśnie w Bielsku ekspozycję Mycek. Po raz kolejny opowiada ona o rodzimym środowisku artysty, pokazując, jak zmieniła się jego twórczość pod wpływem studiów na Uniwersytecie Ludowym. Na wystawie obejrzymy nie tylko obrazy, ale też ceramikę i meble jego autorstwa.

Cała przestrzeń została starannie zaaranżowana. Pierwsza jej część przypomina nieco wnętrze kościoła albo salę lekcyjną. Pomieszczenie zostało pomalowane w jasnych odcieniach i przyozdobione turkusową lamperią. Na środku stoją stare, drewniane ławy. Jest też stojak na kwiaty, który przybrał postać nagiej osoby. Nie zabrakło stolików (jeden z nich ma fantazyjnie pomalowany blat) oraz małej szafki z ozdobnie wyrzeźbionymi drzwiczkami. Stoją na nich prace ceramiczne Mycek. Na ścianach zawieszono zaś mozaikę z przedstawieniem traszki oraz obrazy: odmienne od tych, które dotąd powstawały w jego pracowni.

Mycek sięgnął tym razem do tradycji malarstwa ikonowego, zaczął malować temperą żółtkową na desce. Nie tylko wykorzystał dawną technikę, ale też ikonografię i stylistykę ikon karpackich. Wrócił do wzorców artystycznych związanych z rodzimym miejscem – przed II wojną światową Radoszyce zamieszkiwali przede wszystkim grekokatolicy, a tamtejsza Cerkiew św. Dymitra była ważnym miejscem pielgrzymek.

Nie kopiuje ikon, przetwarza ikonograficzne wzorce. I tak ikona Sądu ↦



MATERIAŁY PRASOWE GALERII BIELSKA BWA

Małgorzata Mycek, **MIECZ NA MŁOT NA CZAROWNICE**, *2024, olej na płótnie, Grand Prix 47. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2025*



KAROLINA JACKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE GALERII BIELSKA BWA

Małgorzata Mycek w swojej pracowni w Radoszycach, 2026 r.

↦ Ostatecznego stała się tu punktem wyjścia dla przedstawienia „piekła mężczyzn". W centrum innego obrazu króluje hybrydalna postać o nieokreślonych cechach płciowych otoczona postaciami wynikającymi z heteroseksualnych wzorców. Na obrazach postaci zaczerpnięte z demonologii ludowej służą do opowiadania o odmienności i wykluczeniu.

Druga przestrzeń wystawy przypomina wnętrze stodoły. Na środku znalazł się surowy, drewniany stół. Wmontowano też stare wrota, a na podłodze leżą sterty siana. Jego zapach, a także woń suszonych roślin unosi się w całej galerii. Bardzo ważny jest ten sensualny wymiar ekspozycji. Odwołano się w niej do wszystkich zmysłów. Nie tylko do wzroku, ale też zapachu i dotyku: można usiąść przy stole, poczuć surowe, chropowate drewno, z którego został wykonany. Wreszcie – ważną jej częścią jest muzyka skomponowana przez Anię Cringe.

W tej części wystawy wyświetlany jest również film. Przedstawia Mycek wcielającego się w kota. Artysta naśladuje jego obyczaje, obchodzi miejsca, ociera się, zostawiając swój zapach, wita się z innymi kotami. Stara się przyjąć koci sposób poruszania. Możliwie wiernie go odtworzyć. To zresztą nie jedyne kocie wcielenia artysty.

Kot pełni szczególną rolę na tej wystawie, pojawia się także na obrazach. Nawet wężo-człowiecza hybryda na jednej z prac ma wiele z tego futrzaka. Jest to szczególna odmiana kota: jego wiejskie, nie do końca udomowione wcielenie, mające swobodę szwendania się, przemykania. To istota stale obecna w wiejskiej przestrzeni, ale zazwyczaj niedostrzegana, często bezdomna. Podobnie jak osoby wyłamujące się z heteronormatywnego wzorca, z różnych powodów odmienne, długo pozbawiane widzialności czy skazane na funkcjonowanie na marginesie lokalnej społeczności.

Jest na wystawie dużo przewrotności i humoru. Już sam tytuł „Dziadostwo" odwołuje się do pogardliwych określeń, które padały pod adresem artysty. Tymczasem Małgorzata Mycek odwraca dyskurs. Odziera go z pogardy. Podobnie zresztą jak obraz samej wsi. Pokazuje jej codzienność, obyczajowość, w tym nadal ważną rolę Kościoła w życiu społeczności. Opowiada o skomplikowanej i wielowątkowej tożsamości jej mieszkańców oraz zmusza do wyjścia poza własne wyobrażenia o nich. Warto się z tym zmierzyć.

© PIOTR KOSIEWSKI

Małgorzata Mycek, **DZIADOSTWO**, Galeria Bielska BWA, wystawa czynna do 25 października, kuratorka: Paulina Darłak



■ *Aldona Kopkiewicz,*
KIM JEST ONA, GDY MNIE NIE MA. ESEJE W POSZUKIWANIU SIEBIE, *Czarne*

Książki o sobie bywają ryzykowne – potrzeba prawdziwego talentu, żeby nie wpaść w pretensjonalny egotyzm. Od autoanaliz mamy teraz Instagram i magazyny, w których ludzie zasobni w czas, pieniądze i miłość własną opowiadają o tym, jak pracują nad sobą. Aldona Kopkiewicz od prozy życia nie stroni. Mieszka w Holandii i musi pracować w kinie, bo z polskiej wierszówki niewiele można tam zdziałać. Nie oferuje heroicznych opowieści o tym, jak tworzy nocami, zainspirowana lokalnym *terroir* pod dyktando muz. Praca, nawet na pół etatu, zwyczajnie ją wyczerpuje. Eindhoven jest nudne, a jej trudno wciskać pisanie między inne obowiązki. To Zachód *non-fiction* i pisarstwo bez ściemy. Opowieści o poszukiwaniu prawdziwego ja są zwykle zero-jedynkowe, tymczasem Kopkiewicz starannie unika wszelkich dychotomii. Zamiast esencjalizmu dostajemy więc nieustanne hamletyzowanie, bo autorka natychmiast podważa i problematyzuje własne osądy. Praca etatowa zabija w niej twórczość i zaprząta jej głowę, ale kontakt z ludźmi wzbogaca ją i inspiruje. Źle żyć z daleka od rodzimego podwórka, ale oddalenie daje ciekawą perspektywę. Z książki wyłania się zatem „ja" wielorakie i płynne, pełne sprzeczności. Nie ma tu odpowiedzi, tylko coraz więcej pytań, które inspirują czytelnika do własnych poszukiwań. Dzięki Kopkiewicz wiem, że nie jestem sama. Są ludzie, którzy czytają, żeby dowiedzieć się czegoś o świecie. Wybierają książki jak najdalsze własnemu doświadczeniu. Ja niestety najchętniej czytam o ludziach do mnie podobnych: białych kobietach w wieku średnim i z problemami, o których nasze babki czy matki nie miały czasu nawet pomyśleć. Z Kopkiewicz łączy mnie wiek i doświadczenie emigracji. Dzieli zaś to, że ona swoje egzystencjalne lęki i choroby potrafiła przekuć w zbiór fascynujących esejów. I to nie tylko dla neurotycznych czterdziestolatek. Bo kto nigdy nie myślał, kim jest, albo kim mógłby być i czy na pewno żyje własnym życiem?

© DOROTA MALINA



■ *Angélica Gorodisher,*
CESARSTWO, KTÓRE NIGDY NIE ISTNIAŁO,
tłum. Tomasz Pindel, ArtRage

Wiek dwudziesty mnie przygnębia – mówiła ustami jednego ze swoich bohaterów. Chwilę wcześniej dziękowała za „słowa wsparcia" H. Ch. Andersenowi, który zmarł kilkadziesiąt lat przed jej narodzinami. W swoich książkach także umiejętnie mieszała powagę z ironią i blagą. Potrafiła tworzyć piętrowe, fantastyczne światy, ale też nasycać je realistyczną grozą oraz tragizmem. Angélica Gorodischer (1928-2022) to argentyńska pisarka znana głównie jako twórczyni szeroko pojętej fantastyki. Wydane po raz pierwszy w Polsce „Cesarstwo, które nigdy nie istniało" jest bodaj jej najpopularniejszą książką. W stylizowanej na kronikę powieści autorka opowiada o losach fikcyjnego Cesarstwa, osadzonego w alternatywnym świecie, gdzie nikomu nie śniło się o Rzymie; ludzie nie wiedzą, czym jest taniec, a alchemicy, medycy i sekciarze myślą jeszcze dziwaczniej niż ci, których znamy z prawdziwych kronik. Niezmiennie mamy tu jednak do czynienia z pragnieniem władzy, doświadczamy namiętności, obserwujemy wynikające z nich zbrodnie oraz spiski. Choć w powieści znajdziemy niezliczoną liczbę postaci i zdarzeń, to jej właściwym bohaterem jest Cesarstwo – jego dzieje, wzloty, upadki i przemiany przestrzeni, którą zajmuje. W tym sensie książka argentyńskiej pisarki przypomina trochę „Równiny" Geralda Murnane'a – przetłumaczoną niedawno na polski powieść, w której autor próbuje metafizycznie i poetycko zmierzyć się z ogromem australijskiego interioru. Bezkres u Gorodischer ma w sobie jednak coś południowoamerykańskiego. Poziomy opowieści, intrygi i mity piętrzą się tu szaleńczo jak w twórczości Jorge Luisa Borgesa, a my beznadziejnie próbujemy złożyć spójny świat z porozrzucanych po kartach fragmentów historii. To dobra, pouczająca, ale też z lekka przytłaczająca zabawa.

© ADAM WOŹNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY
Sklep „Tygodnika Powszechnego"
DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA
SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Drugie imię Róży

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Markus Schleinzer należy do tych coraz mniej licznych filmowców, którzy zostawiają szerokie pole naszej wyobraźni i domysłom.



MATERIAŁY PRASOWE

To tylko kawałek materiału – mówi w pewnym momencie bohaterka grana przez Sandrę Huller, tłumacząc, dlaczego przywdziała kiedyś spodnie. Jest XVII wiek, jeszcze nie ostygła ziemia po wojnie trzydziestoletniej, a Róża spędziła na niej połowę jej trwania.

W męskim przebraniu przyjeżdża do niemieckiej wioski i podaje się za spadkobiercę lokalnego gospodarstwa. Tak rozpoczyna się film Markusa Schleinzera, w którym kobieta udaje mężczyznę raczej nie z powodu takiej czy innej tożsamości płciowej bądź orientacji seksualnej. „Róża" to po części apokryficzna opowieść o tym, jak nie mogąc „być panią samej siebie", bohaterka próbuje być przynajmniej swoim „panem".

Jego imię celowo ani razu nie pada, za to od początku wiemy, w przeciwieństwie do mieszkańców wsi, kto kryje się pod bezpłciową sylwetką z drobnymi dłońmi i pod przecinającą twarz blizną. To oczywiście pamiątka z wojny i Róża do tej pory przechowuje tamtą kulę, międląc ją czasami w ustach. Poza tym bardzo dobrze naśladuje męskie ruchy.

Wieś z początku traktuje przybysza z dystansem, ale rychło stanie się on liderem społeczności – przedsiębiorczy, pełen zapału do pracy i edukatorskich ambicji. Na dodatek potrafi zabić niedźwiedzia, który jest postrachem okolicy. Kiedy jednak zapragnie poszerzyć swoje włości, w zamian będzie musiał poślubić córkę innego gospodarza. Tylko jak tu w noc poślubną spełnić swoją małżeńską powinność, a tym bardziej społeczną i religijną misję spłodzenia potomka? Tajemnica, pilnie dotąd przez Różę strzeżona, zostaje poddana coraz to nowym próbom i, jeśli miejscowi odkryją jej prawdziwą tożsamość, cena tej przebieranki może być bardzo wysoka.

Schleinzer od lat przygląda się bohaterom ze społecznych obrzeży tudzież relacjom tych postaci z otoczeniem. Tak było w przypadku tytułowego Angela w filmie o małym czarnoskórym niewolniku, który stał się dworską maskotką, czy w historii tytułowego Michaela – austriackiego pedofila tworzącego z porwanym chłopcem perwersyjną i niejednoznaczną więź.

Austriackość reżysera ma tu znaczenie, jako że przez lata pracował nad obsadą filmów Michaela Hanekego, Ulricha Seidla czy Jessiki Hausner, przejął więc, chcąc nie chcąc, ich mroczną wrażliwość tudzież krytyczne spojrzenie na mechanizmy władzy i kontroli. Za każdym razem czerpał też z autentycznych historii, co poniekąd ma miejsce także w „Róży".

Scenariusz, napisany wspólnie z Alexandrem Bromem, powstał w oparciu o prawdziwe akta oskarżenia dotyczące różnych kobiet, które na przestrzeni wieków po kryjomu zakładały męskie ubrania – z rozmaitych powodów. Na tej podstawie poznajemy również wcześniejszą historię Róży: kiedy, w jakich okolicznościach i dlaczego przywdziała spodnie, a potem wojskowe kamasze.

Nieśpieszna kamera Geralda Kerkletza trzyma się bardzo blisko Róży, jakkolwiek widz może wielokrotnie poczuć w sobie rodzaj niezdrowej ciekawości: jak ona to robi?, w jaki sposób się załatwia czy podmywa, żyjąc pod jednym dachem z młodą żoną i czeladzią? Przede wszystkim jednak udziela się wielki strach Róży. Nie chodzi przecież o nielegalne przejęcie ziemi, ale znacznie poważniejsze oszustwo, związane ze złamaniem obyczajowego tabu i pogwałceniem odwiecznych porządków. Tymczasem atmosfera wokół Róży zaczyna gęstnieć.

W wiosce panuje surowy protestancki duch, a samo życie – kapryśna pogoda, bieda, ciężka praca – nie oszczędza wieśniaków. Z pewnością nie są gotowi na żadną karnawalizację czy „performowanie męskości", lecz jakże często ta niegotowość staje się usprawiedliwieniem dla czyichś uprzedzeń i złej woli.

Tyle że Róża wcale nie jest w filmie Schleinzera typową ofiarą, chociaż w pewnym momencie może się wydawać kimś na kształt Joanny d'Arc, co jeszcze bardziej podkreślają surowe czarno-białe zdjęcia, przywodzące na myśl jej klasyczne wcielenie filmowe autorstwa Carla Theodora Dreyera.

Nadzwyczajnie „unerwiona" twarz Sandry Hüller, nagrodzonej za tę rolę na tegorocznym Berlinale, do końca skrywa w sobie wiele tajemnic i choć bezlitosny scenariusz dokłada Róży coraz więcej ciosów, to wszystko co najgorsze odbywa się właściwie poza kadrem. A i pewne zacho-



RÓŻA *(Rose) – reż. Markus Schleinzer. Prod. Austria/Niemcy 2026. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 9 października.*

Markus Schleinzer, austriacki reżyser, scenarzysta, aktor i reżyser castingu, zadebiutował 15 lat temu filmem „Michael", inspirowanym sprawą więzionej w piwnicy Nataschy Kampusch. W 2018 r. nakręcił film „Angelo", o afrykańskim chłopców wychowywanym w XVIII w. na austriackim dworze. „Róża", za którą otrzymał liczne nagrody, jest kandydatem Austrii do Oscara.

Na zdjęciu: Sandra Hüller w filmie „Róża"

wania głównej bohaterki dyskwalifikują ją przed nazbyt pochopnym uświęceniem. W ten sposób chłodny austriacki film nie czyni z Róży męczennicy w imię sprawy, a raczej potencjalną narratorkę jej prywatnej herstorii i właśnie w ten przewrotny sposób stara się uczynić z Róży „panią samej siebie".

Mimo że wizualna strona tego filmu, stylizowana na stare kino, skupiona na szorstkich fakturach, pobrużdżonych twarzach, surowych pejzażach, nakłada nań gruby filtr, przebija się spod niego przypowieść będąca cichym manifestem wolności. Bo ten „kawałek materiału" z męskiej szafy pozwala nie tylko Róży doświadczyć jakiejś namiastki samostanowienia; również jej młoda żona Suzanna (Caro Braun), która zapyta z ciekawością „kim jesteś?", odnajdzie w dziwnym małżeństwie chwilową szansę na bycie tym, kim jest.

Niektórzy zarzucają Schleinzerowi, że skupiając się na spodniach, odebrał swojej bohaterce jej żywą cielesność, o seksualności nie wspomniawszy. Lecz chociaż reżyser sam jest osobą queerową, nie o tym doświadczeniu nakręcił swój film. Zwrócił uwagę na to, jak bardzo męski ubiór wpływa na społeczny odbiór Róży – wszak bez swojego oszustwa nie byłaby w stanie przejąć gospodarstwa, nie zdobyłaby we wsi autorytetu i nie przyczyniłaby się do jej rozkwitu.

Okazuje się to stanowczo za mało, by przełamać utrwalone przez wieki kulturowe wzorce. To one zmusiły Różę, by przebrała się za mężczyznę i zaczęła odgrywać – czasem z dużym powodzeniem – stereotypowo męskie role. Te same wzorce zmuszą ją jeszcze brutalniej, by powróciła do swojej roli biologicznej.

Zresztą Schleinzer należy do tych coraz mniej licznych dzisiaj filmowców, którzy więcej nie pokazują, aniżeli pokazują, czym zostawia szerokie pole naszej wyobraźni i domysłom. W wywiadach mówi, że jest przeciwny zarówno eksponowaniu nagiej przemocy, jak i zaglądaniu komukolwiek w spodnie.

O tym też jest jego film – dosłownie i w przenośni, albowiem przemoc ma tutaj wiele twarzy. A powściągliwa, skupiona i milcząca gra Sandry Hüller oraz jej pokiereszowana bliznami twarz prócz enigmatycznej aury nadają tej historii jeszcze coś – szczyptę nienachalnej melancholii. ©

Lektor:
Królik, świat odzyskany



▪ *Inga Iwasiów*
TOBIASZ I WIELKI LIŚĆ
Filtry, Warszawa 2026

Należę do osób, które na Facebooku śledzą losy tytułowego bohatera tej książki (czy też jego pierwowzoru) i dzięki temu wiem, jak uroczo wygląda. Tobiasz, Tobiancino – a liczba jego czułych przezwisk jest znacznie większa – szaroniebieski królik karzełek baranek trafił do narratorki dosyć niespodziewanie, jak – nie zdradzę, by nie psuć zabawy.

Więc powieść o króliku? Też byłoby miło, ale ta książka ma dwoje bohaterów. Pojawienie się królika nastąpiło w chwili, gdy narratorka przeżywała kryzys, tym niebezpieczniejszy, że skutecznie skrywany przed światem. „Z zewnątrz wyglądałam dość dobrze, dawałam radę ożywić się, mniej spać, nie pić, pokonywać długie trasy, siedzieć w saunie, parować aurą dojrzałej mądrości. (...) Nic mi jednak nie dawało radości. Wnętrze nie zgadzało się z zewnętrzem. Byłam otynkowaną ruiną, mogącą się w każdej chwili obrócić w kupkę bibliotecznego kurzu. Moje siostry, Anomia, Afazja i Anhedonia, zgarniane pod szafę, robiły się zaborcze". Dzieci wyjechały za granicę, małżeństwo zmienia się w koleżeństwo, dawne przyjaźnie wygasają, praca na uczelni staje się zbiurokratyzowaną nudą. Dodam, że ten opis wszechogarniającego kryzysu jest i straszny, i zabawny, a przy tym trafny i dość uniwersalny.

Rewolucja, jakiej mimowolnie dokonuje Tobiasz, wywraca część przynajmniej niewzruszonych zasad na nice. Nowy lokator chrupie książki? I co z tego, ważne tylko, by się nie zatruł kolorowymi okładkami... Mieszkanie w poniemieckiej szczecińskiej kamienicy, a przynajmniej jego część, staje się teraz wspólną norą, która spełniać musi wymagania obojga lokatorów. Z Tobiaszem czyta się książki, z Tobiaszem się rozmawia. No a miłość do niego – bo to jest miłość! – łączy się z pragnieniem przeniknięcia tajemnicy jego istnienia.

Czy da się zrozumieć królika? Ba, a czy da się zrozumieć drugiego człowieka? Przekorna i zbuntowana przeciw schematom bohaterka odzyskuje przynajmniej świeżość spojrzenia. No i nabywa, a z nią czytelnik, sporą wiedzę o króliczym rodzie. A jak napisała chwaląc tę książkę Renata Lis, przed poznaniem Tobiasza „jego przyszła niewolnica żyje wśród wyczerpanych dyskursów i spróchniałych instytucji".

W finale dowiadujemy się o planowanym pozyskaniu dla Tobiasza towarzyszki. Jako użytkownik fejsa wiem, że Marysieńka już przybyła. Czy więc będą ciągi dalsze? Ślub pod wielkim liściem jarmużu? . ©℗

PAWEŁ

Bravo:

To dla ciebie, ptaszku



Osiemset lat minęło w zeszłą sobotę od dnia, gdy Franciszek – jeszcze wtedy nominalnie nie święty – z Asyżu opuścił tę sferę istnienia, którą wielu surowych teologów zbywa pogardliwym mianem świata doczesnego. Onże sam miał zgoła inną postawę wobec, jak to pisał pewien poeta ogniskowy, krainy na dół od Edenu i uczył iść bez gniewu poprzez śniegi, deszcze, blaski oraz cienie.

Naprzeciw pałacu biskupów w Krakowie, na kawałku trawnika, który przylega do klasztoru franciszkanów i pewnie do nich należy, stoi mały barek z kawą i łakociami o nazwie Gubbio, na widok czego szybciej bije mi serce z racji tego, że mam najszczęśliwsze z możliwych wspomnienia tygodni spędzonych w tym miasteczku na skraju Umbrii, w sposób dla mnie niepojęty, ale korzystny omijanym przez masową turystykę. Nie jesteśmy masą, więc zachęcam: jedźcie tam i ślijcie mi pocztówki na adres redakcji, ale nie wszyscy i wszystkie razem, żeby wilków nie płoszyć, na pewno grasuje po okolicznych wzgórzach potomstwo tego osobnika, z którym Franciszek ongiś mediował porozumienie. Chodziło o to, by głodny zwierz przestał napadać na mieszczan, a oni w zamian mieli go dożywotnio karmić.

Jakże więc nie lubić Gubbio (choćby jego krakowskiej wypustki). Może dlatego że obecny w tej opowieści o biedaczynie duch negocjacji i kompromisu, poszukiwania wyjścia z problemu zamiast świętej jedynej racji, rezonuje z tym, czego uczyli nas na różnych kursach – niestety zaliczonych bez zrozumienia.

Pogadałbyś, Franek, z tymi dzikami teraz, sobie myślę, idąc wieczorem od przystanku do domu i słysząc odgłosy chrupania żołędzi spod drzew pośrodku wcale nie bocznej ulicy. Może je namówisz, żeby nie ryły rabat i wychuchanych trawników, przez co ludzie przestaną ich nienawidzić i traktować jak szkodniki albo zgoła zagrożenie. Może da się wymyśleć sensowny sposób podkarmiania ich, rozsądnego i z umiarem, tak by nie kusiły ich nasze nieprzebrane, marnotrawne, wszechobecne śmieci, skoro i tak już wylazły z lichych kniei, jakie im pozostały po naszej ekspansji. Jeśli dzik rozbabrze śmietnik, to kto tu jest przede wszystkim nie w porządku? Chyba ten, kto uczynił zeń darmowy supermarket. Po co pytać ekonomistów o naszą stopę życiową, zapytajcie siwą wronę, kiedy już skończy sortować wasz worek.

Wiem, że dotąd wolałeś gadać z ptakami, drogi F., ale z tym byłbym ostrożny, nadmiar miłości, jak się okazuje, szkodzi, a zrazu drobna pomoc i odruch litości zamieniają się w wielki nieporządek ekosystemu. Oto brytyjskie Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków – organizacja założona niegdyś przez



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

kobietę, chcącą ratować okazy zabijane, by pozyskać pióra na kapelusze dam, a dziś jeden z najbardziej wpływowych głosów w ochronie przyrody – właśnie wystosowała nowe wytyczne dla milionów przydomowych karmicieli.

Chodzi m.in. o to, by niczym ptasząt nie dokarmiać od maja do października, potem zaś unikać płaskich naczyń, czyścić regularnie karmniki i miski na wodę, usuwać resztki, które wypadły. Przemoczone ziarno jest idealnym rozsadnikiem trichomonozy – pierwotniaka dotychczas kojarzonego z gołębiami. Tym szarym paskudom nie bardzo szkodzi, ale szerząc się w karmnikach wyciął w pień ponad połowę wyspiarskiej populacji zięby (ptaka cenionego tam znacznie bardziej niż u nas) i zagraża kolejnym gatunkom. Niezależnie od chorób, te ok. 100 tysięcy ton (tak!) ziarna rocznie wysypywanego przez Brytyjczyków wyraźnie faworyzuje najbardziej bezczelne gatunki – sikory w pierwszym rzędzie i sroki. Ale te bardziej nieśmiałe i przegrywające w tym układzie są równie potrzebne dla ogólnej ekologii zbawienia, zwanej po świecku bioróżnorodnością. Byłaby więc cała nasza dobra wola i odruchy dzielenia się z pierzastym bractwem kolejnym przykładem marnotrawstwa?

A przecież sklecenie niewprawnymi rączkami koślawego karmnika to od pokoleń w naszej kulturze pierwszy krok małego człowieka na drodze do bycia *homo faber*, sprawczym manipulatorem nieożywionej materii. Chociaż czy surowe drewno w dotyku na pewno wydaje się takie całkiem nieżywe? To też pierwszy kontakt z prawami fizyki. Są „nieubłagane", powiada wyświechtana fraza, ale przecież boli palec walnięty młotkiem



Dziki na ulicy 3 Maja w Łodzi, kwiecień 2026 r.

i dźgnięty drzazgą. Za to cieszy konstrukcja, która się trzyma w równowadze, o ile udało się przybić w miarę symetrycznie cztery słupki.

Słupki naszego antropocenu z pewnością stoją koślawo, trudno w tym rozchwianiu racji znaleźć jakieś nawet nie „dobre", ale choćby znośnie sprawiedliwe wyjście, posługując się tylko prostym odruchem serca. Kiedy ściągam przecenione potrawy z knajpy udostępnione poprzez aplikację, która ma zapobiec marnowaniu żywności, czuję ciepło słuszności. „Uratowałem" sobie obiad. Niestety wtedy, gdy większość prostych aspiracji mamy już pozałatwiane, słuszność, bycie po dobrej stronie stało się bardzo pożądanym przez marketing odruchem (strach i nienawiść jako dźwignie handlu zostawmy na boku). Stąd się bierze praktyka w dużych sieciach gastro, by z rozmysłem produkować za dużo, bo wizerunkowy bonus, jaki można dostać za akcję „tu się nie marnuje", z nawiązką wynagrodzi fakt, że coś zeszło ze stanu po kosztach.

No ale w takim razie mamy nie kupić? Ależ kupić, nasz żołądek jest bardzo lokalny, perspektywę planety rozważmy po kolacji. Kupmy jednak tylko tyle, ile się da radę zjeść, albo nawet mniej – bo to już wiemy, że resztki dla ptaszków na daszku muszą zostać w tekście wierszyka Brzechwy.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Zapiekane zielone pomidory

SKŁADNIKI:
6 zielonych pomidorów (nie bardzo wielkich) 200 g bułki tartej 100 g tartego parmezanu ▪ pęczek natki pietruszki ▪ oliwa ▪ sól ▪ pieprz

To jest ten krótki okres, kiedy możemy pomóc zaprzyjaźnionym ogrodnikom (albo sobie, jeśli mamy ogród) zutylizować ostatnie zielone pomidory, które już za żadne skarby nie zechcą się zaczerwienić. Nigdy nie uważałem, żeby to był jakiś szczególny specjał – mają przyjemną kwaskowatość zrównoważoną po obróbce termicznej lekką słodyczą – ale pociągająca jest w nich ta jednorazowość, bardzo wąska sezonowość. Zgodnie z tytułem kultowej powieści i filmu należy je przede wszystkim smażyć – większość przepisów radzi je obtoczyć bądź w bułce tartej, bądź w grysiku kukurydzianym, żeby stworzyć chrupiącą skórkę. Z moich doświadczeń wynika przekonanie, że jest to sztuka cyrkowa, przeważnie spora część panierki odrywa się w trakcie smażenia i dalej dochodzi do stanu zwęglonego na patelni – albo może trzeba jej dać bardzo dużo i smażyć na naprawdę głębokim tłuszczu, ale to się wtedy robi za ciężkie w stosunku do przyjemności. Ostatnio więc dusiłem dość cienkie (4-5 mm) plastry po prostu na małej ilości oliwy, za to pod przykryciem, po kilka minut z każdej strony, dodając parę gałązek bazylii – tę też trzeba wyciąć z doniczek przed nadejściem przymrozków. Na wydaniu dobrze takie pomidory (jak na zdjęciu poniżej) czymś zaostrzyć.

Ale jest też nieco bardziej pracochłonna wersja z panierką: mieszamy w misce bułkę tartą, parmezan lub podobny ser, drobniutko posiekaną natkę i pieprz. Stopniowo wlewamy oliwę i mieszamy, aż uzyskamy konsystencję lekko mokrego piasku. W brytfance (najlepiej szklanej lub ceramicznej) wysmarowanej oliwą kładziemy luźno pierwszą warstwę plastrów pomidora (ok. 5 mm grubości), posypujemy połową „piasku". Na to druga warstwa, równie luźno i tak, by nie przykrywała dokładnie dolnej, i na to reszta posypki. Możemy też ułożyć, jeśli wolimy, jedną warstwę pomidora w dachówkę. Wstawiamy do górnej części piekarnika rozgrzanego do 180 stopni, pieczemy ok. 10 minut, pomidory powinny stać się całkiem miękkie, a panierka ozłocona, na koniec na minutę czy dwie włączamy piekarnikowego grilla od góry. Ilość posypki możemy zwiększyć oraz doprawiać ją wedle smaku, zastępując część lub całość pietruszki innym zielem.

Uwaga! Niedojrzałe pomidory zawierają tomatynę – pewien alkaloid, który służy roślinie do obrony przed pasożytami – udawajmy, że nimi nie jesteśmy. W małych ilościach raczej nie jest dla nas szkodliwy. Nie należy jednak obżerać się takimi pomidorami codziennie przez okrągły tydzień. ©℗



PAWEŁ BRAVO

PSYCHE

JAK SIĘ KOLEGOWAĆ

JULIUSZ STRACHOTA, JAKUB ŻULCZYK:

Mamy dużo cech, w których jesteśmy do siebie podobni. Często takich, które wydawałoby się, że nas różnią. Na przykład jesteśmy spięci.

EWELINA BURDA: Duet Jakub Żulczyk i Juliusz Strachota znany jest z rozmawiania. I dziś chciałam z Wami pogadać o tym rozmawianiu.

JULIUSZ STRACHOTA: Trochę się już nagadaliśmy. Kiedy sześć lat temu zaczynaliśmy z podkastem „Co ćpać po odwyku", mieliśmy ułatwione zadanie. Gadanie o uzależnieniach to była niemal niezagospodarowana nisza. Po drugie: my po odwykach, grupach terapeutycznych, mitingach już to umieliśmy. Przez chwilę wydawało mi się, że ja to całe rozmawianie mam w małym palcu. Ale to nie była prawda – miałem jeden temat, o którym do znudzenia gadałem. Na inne gadać nie umiałem.

JAKUB ŻULCZYK: To jest klasyczna krzywa: myślisz, że masz coś w małym palcu. Idziesz w to dalej i okazuje, że nigdy tego w żadnym palcu, nawet małym, nie miałeś.

Ze sobą umiecie rozmawiać?

JS: Moim zdaniem nasza siła polega na tym, że nie ukrywamy tego, że nie do końca potrafimy.

JŻ: Tak myślisz? Że nie potrafimy rozmawiać ze sobą?

JS: Dalej są momenty, że nam nie wychodzi.

JŻ: Ale w podkaście już potrafimy twoim zdaniem?

JS: Kurczę, podkast to takie nasze laboratorium, eksperyment. Strasznie bawi mnie *feedback*, że nasze nagrywki to przykład tego, że faceci wreszcie potrafią rozmawiać o emocjach. Kiedy to słyszę, myślami przenoszę się do domu i widzę minę mojej kochanej żony, która dobrze wie, że ja kompletnie nie potrafię rozmawiać o uczuciach. Nie mieliśmy nigdy celu, że to będą jakieś programowe męskie rozmowy. Może to się czasem dzieje, ale nie było to zaplanowane.

JŻ: Coś powiedzieliśmy, do pewnej grupy trafiło. Nie chcieliśmy czegoś ludziom wykładać ani wkładać do głów. Za dużo jest kontentu, który ma forsować jakieś postawy, wzorce męskości czy inne. Więc fajnie, jak nas posłuchasz: raz cię ukoimy, raz wkurzymy. Ale lepiej, jak ty z kimś usiądziesz i też pogadacie.

A Wasze rozmawianie jakie jest?

JS: Okoliczności co jakiś czas wymuszają nowe tematy. Kiedyś razem piliśmy, potem nie piliśmy, robiliśmy podkast, razem pisaliśmy książkę, razem mamy firmę, wydawnictwo Newhomers. Wspólna działalność zawodowa zmieniła wiele naszych rozmów, ale też gwałtownie przyspieszyła naukę gadania. Lubię te zmiany dynamiki. Oczywiście największą zmianą jest to nasze pierwsze spotkanie na trzeźwo.

Kiedy to było?

JS: Spotkaliśmy się na nowo jakieś dziesięć lat temu.

JŻ: Chyba osiem.

JS: Osiem, dziesięć, to nieważne. Byliśmy w innych momentach życiowych, zawodowych. Kuba był wtedy wielką gwiazdą, to był czas serialu „Ślepnąc od świateł".

A Ty?

JS: Ja byłem na etapie, który nazywam: „może by mi się coś wreszcie w tej literaturze udało". Wydałem wtedy „Turystę polskiego w ZSRR". I przyznam zupełnie szczerze...

JŻ: ...ale ta książka ci się przecież udała. To jest mocna książka.

JS: Ale ja nie chcę o tym. Chcę o tym, że przez tę różnicę w życiu zawodowym podchodziłem do ciebie wtedy z pewną jednak nieśmiałością.

JŻ: Tak?

JS: No tak. Bo pierwszy raz poznaliśmy się lata temu jako ci młodzi, debiutujący pisarze, mieliśmy po dwadzieścia lat.

JŻ: To była jakaś impreza organizowana przez środowisko „Lampy" Pawła Dunina-Wąsowicza.

JS: Tak. I nasze życiorysy, te zawodowe, miały punkty styku. Kontakt później był sporadyczny, nie to, że się przyjaźniliśmy. A przy naszym drugim poznawaniu się byliśmy już w zupełnie innych miejscach. Ja wyszedłem z odwyku, próbowałem się jakoś budować, i życiowo, i zawodowo. Odrobiłem lekcje, które musi odrobić każdy uzależniony: znalazłem mieszkanie, pracę. Generalnie już coś lepiłem, ale to życie było dalej takie... A Ty, Kuba, na tym polu zawodowym, które było dla mnie wtedy mocnym wyznacznikiem wartości, byłeś już zbudowany. I dlatego czułem ten respekt.

LIDIA ŻULCZYK



Kto zainicjował to drugie-pierwsze spotkanie?

JS: Ja. Mój brat powiedział mi: „Ej, ten Żulczyk, co się znacie, pisze na Facebooku posty o zen, weź się do niego odezwij". Zen to był mój świat, praktykowałem już poważnie kilka lat. I napisałem do ciebie, że może pójdziemy razem na praktykę.

JŻ: Julek napisał do mnie w tonie: Ej, stary, obaj już nie pijemy, nie ćpamy, obaj piszemy książki. Znaliśmy się kiedyś, ale może byśmy się jeszcze raz poznali? Chodź, zaczniemy się kolegować.

Dużo odwagi to wymaga, odezwać się do kogoś po latach?

JS: Bardzo dużo. Ale tak jakoś czułem, że to jest ten Kuba, którego kiedyś poznałem, polubiłem. Nawet jak już został gwiazdą.

JŻ: To dla mnie jest takie dziwne, może śmieszne, jak sobie przypominam tamten moment, bo nie czułem się jak gwiazda.

JS: I odzywałem się do ciebie z niepewnością, bo byłem człowiekiem strasznie niepewnym siebie.

Byłeś?

JS: Teraz, osiem lat później, jestem swoją własną odwrotnością. W całej swojej niepewności, w całej swojej nieumiejętności, ale pewnym. I to jest pokłosie tamtego spotkania. Z niego wyniknęły nie tylko podkast, wydawnictwo i inne zawodowe rzeczy.

JULIUSZ STRACHOTA (ur. 1979) jest przedsiębiorcą, pisarzem i podkasterem. Autor opowiadań i powieści, m.in. „Relaks amerykański", „Turysta polski w ZSRR" i „Buddaland". Na zdjęciu z lewej.
JAKUB ŻULCZYK (ur. 1983) jest pisarzem, scenarzystą, podkasterem. Autor kilkunastu książek, w tym bestsellerów „Informacja zwrotna", „Ślepnąc od świateł" i „Dawno temu w Warszawie". W październiku ukaże się jego nowa powieść „Pan Darek". Na zdjęciu z prawej.
Wspólnie prowadzą podkast „Co ćpać po odwyku", ostatnio opublikowali książkę „Rozmowy po odwyku".

A Wasze pierwsze spotkanie po latach?

JŻ: Pamiętam, że padał mocny deszcz. Ze Służewia jechałem do domków fińskich koło Parku Ujazdowskiego na rowerze pożyczonym od kumpla. Beznadziejnie się na nim jechało. Potem się okazało, że to był rower do downhillu, a ważył mniej więcej tyle co śmieciarka. A ja w ogóle nie cierpię jeździć rowerem po mieście. I to nasze spotkanie to jest dla mnie taki miraż. Pamiętam, jak szliśmy na tę praktykę zen. Nie pamiętam, o czym gadaliśmy. Bolały mnie plecy, nie mogłem tam wytrzymać, to była jakaś tortura. Tak naprawdę to wtedy byłem na takim etapie ze sobą, że... Nie chcę w to wchodzić jakoś bardzo, ale krótko: nie było ze mną git w sensie stanu czapki, psychicznym. Żyłem w jakimś okropnym lęku, myślę dziś, że może też w depresji, takim poczuciu bezsensu tego wszystkiego. Z różnych rzeczy to wynikało i próbowałem znaleźć na to jakieś remedium. Wchodzenie w zen też miało takie podłoże. ↦

↦ I to nasze pierwsze spotkanie to był element takiej drogi, która wciąż trwa. To, co robimy, wciąż się zmienia. Dla mnie najbardziej cenne jest to, co teraz jest. I to, co może być.

Co sprawiło, że to drugie zakolegowanie Wam wyszło?

JS: Okazało się, trochę paradoksalnie, że mamy dużo cech, w których jesteśmy do siebie podobni. Często takich, które wydawałoby się, że nas różnią. I ta nasza bliskość w dużej mierze opiera się na podobieństwie.

Jakie to cechy?

JS: Jesteśmy spięci. Inaczej, ale spięci. Jesteśmy kompletnie nieelastyczni.

JŻ: Ja myślę, że my nie jesteśmy tak generalnie nieelastyczni, tylko to są bardziej takie autystyczne nieelastyczności, mocno wypracowane rutyny.

JS: No właśnie. Bardzo jesteśmy przywiązani do swoich rutyn, trybów życia. U mnie ten tryb życia jest regulowany przez życie rodzinne, szkołę.

JŻ: U mnie to jest bardziej ten czas zawodowy, na pisanie. Nie można mi tego zaburzać. Jak jeszcze byłem w czynnym uzależnieniu, to pracowałem po nocach. I to pisanie po nocach kojarzy mi się, powiem tak skrótowo, z piciem i ćpaniem. Dlatego dla mnie ważne jest teraz, żeby pracować w dzień, bo to podświadomie łączy mi się z trzeźwością. A to siedzenie po nocach przy komputerze, te słodycze, pornosy, alkohol... Mam swoje godziny wstawania, czas na pracę. I tej rutyny bardzo pilnuję. Ale tak wcześnie jak ty, o piątej rano, to chyba nie będę nigdy wstawał. No, chyba że jeszcze spotka mnie w życiu dar ojcostwa, to też nie jest wykluczone.

JS: Wtedy będziesz marzył, by móc wstawać o piątej rano. W sensie, że tak późno.

JŻ: To wtedy będzie zgoda na rozwalenie tej mojej rutyny. Teraz nie ma, koniec.

JS: A ja bym o tym ojcostwie chciał, jak je tu Kuba tak ładnie wprowadził. Mamy inne rutyny i inne wiodące role w życiu. I rola ojca to pierwsza z ról, która mnie tak naprawdę ustanowiła w życiu. I jak mam o 16.00 odebrać córkę z zerówki, to żadne prace świata mi w tym nie przeszkodzą. I do tego świat musi się dostosować, sorry.

Czyli umiesz stawiać granice?

JS: W tym też się podszkoliłem w naszej relacji. Bo Kuba ma osobowość silną, potrafi stawiać granice, walnąć pięścią. Ja...

JŻ: No, ty też nie jesteś jakimś miękiszonem.

JS: Poczekaj. Kuba tę złość, niezgodę na przekraczanie granic bardzo szybko zawsze wyrażał. Ja długo kisiłem ją w sobie. I to między nami jakoś tak zaczęło przepływać, poziom się równał. I nauczyłem się stanowczości. Nie takiej samej, jaką ma Kuba, bo przefiltrowanej przeze mnie.

JŻ: Walenie pięścią jest dobre do czasu. U każdego przychodzi moment, że musisz odrobić ćwiczenia z bezsilności i bezradności. I w nich walenie pięścią już nie pomoże. Dochodzisz do takiego momentu... nieważne kim jesteś, czy Taylor Swift, czy Kanym Westem. Każdy jest więźniem Babilonu, nie? Przychodzi moment, że dostajesz lepca od świata i musisz się nauczyć inaczej.

JS: Jakaś pokora przychodzi wtedy. Przynajmniej na chwilę.

JAKUB ŻULCZYK:
Przy okazji tego naszego miksu przyjaźni z pracą nauczyłem się, żeby oddawać komuś to, co jego.

A żarty Was łączą?

JŻ: Tak, lubimy sobie pożartować, czasem grubo. I to tak, że tylko nas to bawi.

JS: Bo lubimy pożartować z narkotyków i alkoholu.

JŻ: I to niektórym wydaje się skandaliczne. Ostatnia historia: moja narzeczona jest didżejką w warszawskim klubie Luzztro. Ludzie z tego miejsca też mają takie nasze poczucie humoru. I dostałem ostatnio od nich zdjęcie naszej pierwszej książki „Co ćpać po odwyku", której okładka była cała poryta liniami od białych kresek. Widać, że było z niej wciągane. Jak o tym mówię, to mnie to dalej bawi. I wysłałem to Julkowi.

JS: I ja też uważam, że to było super śmieszne.

JŻ: A myślę, że wiele osób, nawet z naszego kręgu, by tego nie skumało i było oburzonych. Może dlatego, że w tym kręgu dużo jest różnych... hunwejbinów, tak ich nazwę. To, że robimy, co robimy, nagrywamy, o czym nagrywamy, nie znaczy, że musimy być zawsze tacy poprawni, wszystkim się podobać.

JS: Mam takiego branżowego kolegę na Podlasiu, z którym też tak żartuję: gdy do niego jadę, to lubię napisać „Szykuj wódeczkę". Czuję się wtedy wyzwolony z pewnej roli. Bo, kurde, minęło już kupę lat. Czuję, że temat nałogów, uzależnienia jest coraz mniej mój. Wiodący wątek słabnie. To zawsze będzie super ważna część mojego życia, ale ono poszło dużo dalej.

Jest jeszcze coś, w czym jesteście do siebie podobni?

JS: Obydwaj bywamy dla ludzi bardzo surowi...

JŻ: ...ale dla innego rodzaju ludzi.

JS: Dla tych, dla których ja jestem pobłażliwy, może czasem za bardzo, to Kuba jest surowy. Mamy radary ludzkie inaczej poustawiane, ale skutecznie się krzyżują.

A wobec siebie jesteście surowi? Umiecie się pochwalić?

JS: Tak. Ja cię ostatnio chwaliłem.

JŻ: I ja też cię pochwaliłem. Wczoraj lub przedwczoraj.

JS: Tak było, potwierdzam. Dziś z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że Kubie ufam. A to jest taka waluta, w której mało kredytów udzielam.

JŻ: I ja też ci ufam.

To już wiem, że są między Wami miłe słowa. A są też niemiłe? Kłócicie się?

JŻ: Często. I tych kłótni, od czasu, jak robimy razem już poważniejszy biznes, jest dużo więcej. I one są inne też, prawda?

JS: Tak jest. Ale to moim zdaniem dobrze, że się kłócimy, bo cały czas się uczymy, jak to robić. I już umiemy się całkiem dobrze kłócić, tak sądzę.

Dla mnie to jest cały czas ciekawe, bo długo byłem człowiekiem niekonfrontacyjnym. Chowałem się, nie umiałem. I podglądałem, jak Kuba umiał walnąć tą pięścią. I czasem miło

umieć tak walnąć. Ale nie zawsze trzeba. I teraz, w tej naszej relacji, jak walnę pierwszy, to mam w sobie dalej ogromne zdziwienie. Reflektuję się, że mogłem cię zranić.

JŻ: Ty mnie kiedyś zraniłeś?

JS: Ale na pewno powiedziałem czy zrobiłem coś takiego, że było ci przykro, prawda? I jak ty pierwszy raz wyartykułowałeś, że sprawiłem ci przykrość, to byłem w szoku.

JŻ: Trzeba się nauczyć to mówić.

JS: Ja dalej trochę nie wiem, po co się te rzeczy mówi.

JŻ: Żeby ktoś zrozumiał, o co ci chodzi.

JS: Spoko, tylko że najpierw ja to bym musiał rozumieć. W domu rodzinnym nie miałem z tego ćwiczeń. Pamiętam, że chciałem sprostać, bo inni tak robili. Więc udawałem. Mówiłem, że jest mi przykro albo jestem wkurzony, ale w sobie tego nie czułem. Klasyczne autystyczne maskowanie. Musiałem się nauczyć powiedzieć: „Stara, ja nie wiem, jakie są we mnie teraz uczucia. Potrzebuję z pół godziny, żeby się nad tym zastanowić". Jeszcze niedawno, kilka lat temu nawet, miałem momenty, że chciało mi się płakać, bo nie czułem jakiegoś uczucia, które rzekomo się czuje w danym momencie. Jak dzieci są chore, to się nie stresuję, ale jak nagle dostanę wiadomość, żebym na spacerze zabrał paczkę z paczkomatu, to wpadam do czarnej dziury. No i wciąż często nie wiem, co czuję. Tylko nie boję się mówić, że nie wiem. Dobrze się czuję z tym, że nie wiem.

A trudno się przyjaźnić i robić interesy?

JS: Nasza relacja może się niektórym wydawać w pewnym sensie publiczna, bo widać, jak gadamy na YouTubie, jak odsłaniamy siebie, swoją prywatność, ale to tej relacji niczego nie odbiera. Czasem odbierana jest jako nierównoważna: kilka razy usłyszałem, że „Co ćpać po odwyku" to podkast, w którym rozmawia Żulczyk z tym drugim. Albo że to jest podkast Żulczyka. W pewnym sensie mi się to podoba, że widzę ten mechanizm. Wiem, jaki obrazek ludzie wycinają sobie już z powycinanych social mediów. A tej nierównowagi realnie nie ma.

JŻ: Dla mnie też jej nie ma. Ja przy okazji tego miksu przyjaźni z pracą nauczyłem się, żeby oddawać komuś to, co jego.

To znaczy?

JŻ: Julek już mówił, że jak zaczynaliśmy nasze drugie poznanie, podkast, to ja miałem rozbujane swoje rzeczy. Miałem bestsellery, robiłem seriale, każdy chciał ze mną pracować. Jakoś te swoje marzenia realizowałem. I hodowałem wtedy takie poczucie toksycznej nadmuchanej pewności, które przykrywało różne lęki, niepewności i napięcia. Byłem w takim stanie ducha na swój własny temat, że jak ktoś chce ze mną tańczyć i się mierzyć, to zapraszam, zobaczysz, jaki jestem: a jestem kozak.

W naszym duecie to Julek wymyślił, żebyśmy zrobili podkast. Julek wymyślił, żebyśmy założyli wydawnictwo. Julek wpada na kluczowe dla niego projekty, no, z małymi wyjątkami. Te twoje lata roboty w reklamie zrobiły swoje. Ja też daję z siebie, ale Julek jest w tym świecie wydawnictwa stale, ja jestem bardziej z boku, mamy też wspólnika, Marcina.

JULIUSZ STRACHOTA:

Dziś z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że Kubie ufam. A to waluta, w której mało kredytów udzielam.

Więc to ty byłeś tym kołem zamachowym. I przy tobie się tego nauczyłem: że nie zawsze jestem tylko ja. I żeby oddawać Bogu, co boskie.

JS: To powiem ci taką rzecz: ja się nauczyłem to przyjmować.

JŻ: Wiem to.

JS: Nie mam potrzeby, żeby cały świat wiedział, że to ja coś wymyśliłem. Mam nerdowską, autystyczną frajdę z pociągania za sznurki. To jest totalnie stresujące, ale fajnie się w tym pływa. Zostałem Juliuszem biznesu po prostu. I w byciu prezesem wydawnictwa, w co mnie chłopaki wkręcili...

JŻ: Ta, wkręcili. Biedny Julek, no naprawdę...

JS: ...to muszę przyznać, że dobrze się odnalazłem. Tak jak czterdzieści lat temu odnajdywałem się w byciu szefem bandy, który ustalał, w co wszyscy mają się bawić.

Gdy byliście chłopcami, to był ktoś, z kim lubiliście rozmawiać tak jak teraz ze sobą?

JŻ: Thorgal był.

JS: Też miałem moich bohaterów, oni do mnie gadali. Tak normalnie z ludźmi to nie lubiłem. Nie lubiłem i nie umiałem. Lubiłem natomiast mówić, co mają robić. Inne dzieciaki musiały się bawić dokładnie w to, co im kazałem. A potem świat mi odpowiedział, że tak nie można, więc zawstydzony ukryłem tę dziwną cechę. Po czterdziestu latach umiem z niej korzystać, ale lepiej mi też wychodzi słuchanie.

JŻ: Ja te pierwsze bardziej świadome lata dzieciństwa spędziłem na głębokiej wsi. W szkole miałem problemy komunikacyjne. To były takie brutalne lekcje: że świat dookoła nie jest zainteresowany tym, co mówię, nie jest zainteresowany mną. I długo żyłem we własnej głowie, te rozmowy stamtąd się dla mnie najbardziej liczyły.

Z mamą rozmawiałem. Późna podstawówka, liceum, wtedy przyszły przyjaźnie. Udawało się spotkać ludzi mniej lub bardziej podobnych do siebie. I mogłeś wejść z nimi w proces długiego rozmawiania na ważne dla was tematy. Koleżeństwo uczyło rozmowy.

JS: Mi bardzo długo trudno było podjąć rozmowę, ponieważ długo w życiu udawałem kogoś, kim nie jestem. Nie dało się ze mną rozmawiać, bo to nie byłem ja. Milczenie też niejako odziedziczyłem. Moi rodzice ze sobą milczeli, aż się nagle głośno rozwiedli. Teraz pytam ich czasem o to, o czym oni tak bardzo ze sobą nie rozmawiali. Ale żeby przestać milczeć, zacząć z ludźmi rozmawiać, to trzeba przestać udawać, ukrywać siebie, swoje napięcie. Przestać się bać, że świat to odkryje.

JŻ: Napięcie to też jest coś, co nas od zawsze bardzo łączy.

JS: Strasznie się cieszę, że nastąpiła we mnie zgoda na to, żeby nie próbować przetransformować swojego napięcia. Zgodziłem się, żeby ono było, żeby mieć z nim luz. Ja to wiem, Kuba to wie, inni to wiedzą. Mam już czterdzieści siedem lat, nie muszę udawać, że nie jestem spięty. To jest duża ulga. Siedzę dosyć spięty i tak se jednak gadamy.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

TOMASZ

Stawiszyński:
Czy leci czarny łabędź?



Wielkoskalowe zjawiska społeczne mają to do siebie, że nie sposób ich do końca przewidzieć. Tę banalną, a zarazem niewygodną i systematycznie nieprzyjmowaną przez ludzkość do wiadomości prawdę ujął ongiś w zgrabną figurę „czarnego łabędzia" amerykańsko-libański filozof Nassim Nicholas Taleb. Ów „czarny łabędź" to zdarzenie o masywnych konsekwencjach, którego jednak... nikt się nie spodziewa. Dopiero *post factum* jego wystąpienie wydaje się oczywiste, a prowadzące do niego szlaki stają się aż nadto widoczne. Wcześniej, z tajemniczych powodów, nasze oko nie trafia na nie. Ale kiedy już łabędź nadleci, wszyscy nagle uważają, że jego pojawienie się było najzupełniej naturalne. Ba, mogą być przekonani, że od początku na niego czekali.

Z czego to wynika? Najkrócej rzecz ujmując, z wytartych schematów poznawczych, jakimi się – w ramach mentalnych oszczędności – posługujemy. Bierzemy pod uwagę głównie to, co mamy bezpośrednio przed oczami; rozumujemy na podstawie tego, co już wiemy; oczekujemy, że będzie się działo to, co chcemy, żeby się działo – i w związku z tym ignorujemy scenariusze mniej prawdopodobne albo dogodne.

Owszem, nauka jest właśnie systemem budowanym wbrew naszym odruchom i zakrzywieniom, ale w przypadku prognozowania zachowań tak złożonych układów jak procesy historyczne trudno o naukową ścisłość. Dlatego właśnie zalecenie Taleba brzmi: zamiast skupiać się na próbach prognozowania, co się stanie, lepiej zainwestować tę energię we wzmocnienie odporności na zjawiska niemożliwe do przewidzenia. Że różnie z tą odpornością u nas bywa, przekonaliśmy się choćby przy okazji pandemii covid-19. Z jednej strony – porażka, jeśli chodzi o ochronę ludzi starych i schorowanych (ponad połowa wszystkich europejskich ofiar to mieszkańcy domów spokojnej starości i domów opieki). Z drugiej – błyskawiczna odpowiedź medycyny, wypracowanie skutecznych szczepień, względnie szybkie oddalenie największego zagrożenia.

Zaraz potem stanęliśmy wobec innej sytuacji potencjalnie katastrofalnej, czyli rosyjskiej agresji na Ukrainę. To również było wielkie zaskoczenie. Przypomnę – pod koniec 2021 r., a nawet jeszcze na początku 2022 znakomita większość ekspertów perswadowała, że tej wojny z pewnością nie będzie. Że jest nieopłacalna, że to tylko straszenie, że Putin musiałby być szaleńcem, żeby się na nią poważyć. Chwilę później, kiedy się jednak poważył, przekonywano nas, że Rosja poniesie lada moment srogą klęskę, bo jej armia jest bez mała na poziomie epoki kamienia łupanego. A nawet jeśli – dodawano – armia by sobie jakoś poradziła, to za góra pół roku nastąpi w Rosji implozja z powodu nałożonych na nią sankcji. Różni wytrawni ekonomiści dowodzili tego tonem wysokiej pewności. Zaznaczając przy tym – w drugiej połowie 2022 r. – że o żadnej rosyjskiej eskalacji w kierunku państw NATO nie może być mowy. Putin wie przecież, że zupełnie by sobie wtedy nie poradził, że byłby to całkowity jego koniec i blamaż. Dlatego też wszystko, co mówi, należy traktować jak blef. Bo to tylko finalna szarża człowieka, który już wie, że przegrał, i próbuje na koniec robić jeszcze dobrą minę do fatalnej gry.

Cóż, po czterech latach wojna trwa, Rosja nie odpuszcza, jej gospodarka nie padła, a od kilku miesięcy wszystkie niemal zachodnie wywiady donoszą o planowanej – takiej czy innej – eskalacji konfliktu i rozszerzeniu go na państwa NATO. Siergiej Ławrow, jedna z najbardziej odpychających i cynicznych figur na do cna odpychającym i cynicznym dworze Putina, z charakterystycznym, ledwie dostrzegalnym uśmieszkiem powiada przed kamerami, że europejskie przygotowania na rosyjską agresję mogą się zaraz stać „samospełniającą się przepowiednią". W powszechnej opinii znajdujemy się na równi pochyłej i zmierzamy do konfrontacji.

Przyznam, że ten scenariusz nie jest dla mnie zaskakujący, pisałem o nim na łamach „TP" cztery lata temu w felietonie „Logika i apokaliptyka". Zdawało mi się wtedy, że na Zachodzie bardzo nie chcemy dostrzegać konsekwentnie ofensywnej i gotowej na frontalne zderzenie rosyjskiej strategii, opartej nie na logicznym – w naszym pojęciu – rozumowaniu i kalkulacji ani też nie na szaleństwie jednego dyktatora, lecz na myśleniu apokaliptycznym. O charakterze typowo religijnym, choć niekoniecznie posługującym się otwarcie religijnymi pojęciami. Na apokaliptycznej wyobraźni, która w poczuciu nieuchronności i doniosłości własnej dziejowej roli kieruje się ku ostatecznemu rozładowaniu narastającego napięcia. Za wszelką cenę i wszelkimi środkami.

Jeśli byłaby to faktycznie prawda, że czeka nas już tylko eskalacja, a w konsekwencji III wojna światowa, jej miara mogłaby przerosnąć wszystko, co dotąd znaliśmy. Broń jądrowa, jaką dysponują państwa, które miałyby potencjalnie do takiej wojny przystąpić, czyni widmo globalnej katastrofy czymś przerażająco realnym.

W jaki sposób zejść z tej drogi – nie poświęcając Ukrainy, nie ustępując bezwzględnemu reżimowi wyposażonemu w potężny arsenał, nie wywołując zarazem atomowej wojny? Z pewnością istnieją na to jakieś sposoby i jakieś realne scenariusze... Ale nie należy też zapominać o możliwości pojawienia się na niebie czarnego łabędzia. Nawet jeśli go jeszcze nie widać – co wszak naturalne – może jednak nadleci i znienacka odmieni to, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się nieuchronne. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

Soli Deo Gloria



CITHARA SANCTORUM SILESIA

VI Festiwal im. Jerzego Trzanowskiego 2026

15 —— 18–30 października

BIELSKO-BIAŁA
DROGOMYŚL
WISŁA
CIESZYN

BACH ROMANTIQUE ◆ **ZBIGNIEW PILCH**

JAM JEST PASTERZ DOBRY ◆ **SCEPUS BAROQUE**
wykład spacerowy po Bielskim Syjonie ◆ Katarzyna Sylwestrzak

HYMNY BIBLIJNE ◆ **KOLEGIUM MUZYKI EWANGELICKIEJ**
wykład Historie kościoła w Drogomyślu ◆ Jan Paweł Borowski

POCZĄTKI REFORMACJI W MUZYCE ◆ **FILATURA DI MUSICA**
spotkanie wokół kancjonałów „Cithara sanctorum"
w zbiorach ewangelików wiślańskich ◆ Joanna Sztuchlik

PATER NOSTER ◆ **CAPELLA AUGUSTANA**
zwiedzanie Muzeum Protestantyzmu ◆ Marcin Gabryś

NA WSZYSTKIE WYDARZENIA WSTĘP WOLNY

PATRONAT HONOROWY
Jerzy Samiec, Biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP
Adrian Korczago, Biskup Diecezji Cieszyńskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP
Jarosław Klimaszewski, Prezydent Bielska-Białej
Janina Żagan, Starosta Cieszyński
Gabriela Staszkiewicz, burmistrz Cieszyna

Dofinansowano ze środków budżetowych Miasta Bielska-Białej – Polskiej Stolicy Kultury 2026
Zadanie jest współfinansowane ze środków Powiatu Cieszyńskiego, Miasta Cieszyna, Gminy Wisła

PATRONAT MEDIALNY



18. — JUŻ PEŁNOLETNI – WCIĄŻ NIEPOSŁUSZNY – 18. EDYCJA FESTIWALU CONRADA

nieposłuszeństwo
conrad festival
19—25.10.2026
kraków

pełny program:

OGŁOSZENIE OPP

ORGANIZATORZY:
Kraków
Instytucja Kultury Miasta Krakowa kbf:
Kraków Miasto Literatury UNESCO
Fundacja Tygodnika Powszechnego

DOFINANSOWANIE:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

PARTNERZY STRATEGICZNI:
Tygodnik Powszechny
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie